

Litery

miesięcznik społeczno-kulturalny wybrzeża

rok X, nr 7 (115)

40791

GDĄSK, lipiec 1971

Cena 5.- zł



FOT. JERZY HAJDUL

- GROTOWSKI W SKANDYNAWII
- TEATR HANUSZKIEWICZA NA PÓŁNOCY
- WSTĘP DO WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY FIŃSKIEJ
- WSPÓŁCZESNA TWÓRCZOŚĆ OPEROWA W SZWECJI
- ZUPA W TAK GWALTOWNY SPOSÓB...
- CHRISTIANSØ

- WALDEMAR IV ODNOWICIEL
- ŚLUBOWANIE
- PÓŁWIECZE DEDECIUSA
- PRACOWNIA W FAŁOWCU
- ZRZESZENIE KASZUBSKO-POMORSKIE
- NAGIE GWIAZDY



Fot. Antero Tenhunen

ADAM HANUSZKIEWICZ W FINLANDII

Jednym z najbardziej cenionych w Skandynawii artystów teatru „kontynentalnego” jest Adam Hanuszkiewicz; piszemy o jego pracach i występach w Finlandii, Szwecji i Norwegii w osobnym artykule. Bieżący numer „Liter” przynosi ponadto inne, obszerne informacje o problemach krajów północno-europejskich i o zagadnieniach współpracy kulturalnej polsko-skandynawskiej.

Na zdjęciu – Adam Hanuszkiewicz inscenizuje w Tampere (Finlandia) „Pannę Julię” Augusta Strindberga. W roli tytułowej – T. Vuolle.

SKANDYNAWIA – POLSKA

Kai Laitinen
WSTĘP DO WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY
FIŃSKIEJ

Trygve Nordwall
WSPÓŁCZESNA TWÓRCZOŚĆ OPEROWA
W SZWECJI

TEATR HANUSZKIEWICZA NA PÓŁNOCY

Zenon Ciesielski
GROTOWSKI I SKANDYNAWOWIE

Eustachy Tyszkiewicz
ZUPA W TAK GWALTOWNY SPOSÓB
ZASŁODZONA...

August Strindberg
ŚLUBOWANIE

Urszula Orzewska
ZWIĄZKI POLSKO-SKANDYNAWSKIE

Edwin Rozenkranz
WALDEMAR IV ODNOWICIEL

Jan Forkiewicz
JEDYNA W POLSCE

Jerzy Szukalski
CHRISTIANSØ – GRUPA WYSP

Gunnar Ekelöf
FUGA

Morten Nielsen
SPOTKANIE

Jörgen Gustava Brandt
FRAGMENT JUTRA

Gustaf Munch-Petersen
FALA

Gunnar Ekelöf
POETYKA

LITERATURA

PÓŁWIECZE DEDECUSA

Karl Dedecius
PRAWZÓR

Ewa Moskalówna
PRACOWNIA W FALOWCU

Zbigniew Herbert
COLANTONIO-S. GIEROLAMO E IL LEONE

Bernard
PIĘKNE MARGINESY

Helena Sperska-Abbe
LEKCJA HISTORII

Kazimierz Sopuch

SPRAWY I LUDZIE

Z MYŚLI O ROZWOJU ZRZESZENIA
KASZUBSKO-POMORSKIEGO

Marian Pelczar
JERZY PERTEK – MARYNISTA
OSTATNIEGO CZWIERĆWIECZA

LAUREACI NAGRODY WOJEWÓDZKIEJ
– 1971

Tadeusz Woźniak
NARKOTYKI WSPÓŁCZESNYCH
PAZIÓW

SZTUKA

Antonina Sowianka
NAGIE GWIAZDY

LEKTURY

Stefan H. Kaszyński
SZYPER Z POKŁADU „KAPELLI”

Bohdan Kubicki
BLIŻEJ FIORDÓW

Bohdan Kubicki
UPADEK KRÓLA

Tadeusz Bolduan
DZIAŁALNOŚĆ PUBLICZNA KOPERNIKA

Stanisław Pestka
KURHANY ZACHODNIOBAŁTYJSKIE
ZAPISKI WYDAWNICZE

INFORMACJE © KOMENTARZE © PO-
LEMIKI

Kai Laitinen

Przetł. Michał Misiorny

WSTĘP DO WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY FIŃSKIEJ

Literatura fińska jest młoda.* Piśmiennictwa starszych kultur europejskich znacznie wzbogaciły się w dobie renesansu i baroku. Prądy te nie ominęły także Finlandii, ale ich oddziaływanie miało tu inny charakter: jak przesadzone na północ rośliny z południa wydały one na trudnej glebie owoce osobliwe i wątłe. Istotny rozwój literatury fińskiej zaczyna się więc dopiero z początkiem XIX wieku; wtedy to pojawili się pierwsi, w pełnym tego słowa znaczeniu klasyczni autorzy, skryształizowały się najważniejsze idee, tendencje i style. Stąd też ów wiek XIX ma tak duży wpływ również na późniejszą literaturę fińską — spełniając wobec niej zarówno rolę inspiratora, jak też prawodawcy.

Piśmiennictwo fińskie uzyskało w minionym stuleciu rangę klasyczną w obrębie trzech dziedzin. Pierwszą z nich była poezja ludowa, drugą literatura szwedzkojęzyczna, trzecią zaś najpóźniej ukształtowana literatura fińska. Najłatwiej uchwycimy dziedzictwo XIX w. wybierając dla każdej z tych dziedzin typowy przykład i określając jego znaczenie dla późniejszego piśmiennictwa i dla całości życia duchowego kraju: *Kalevala* niech przeto reprezentuje dziedzicę poezji ludowej, dzieło Johana Ludwiga Runeberga niech reprezentuje literaturę szwedzkojęzyczną a dzieło Alexisa Kivi** Fińską.

KALEVALA

Poezja ludowa jest najstarszą z wymienionych dziedzin. Tkwi ona korzeniami w głębokiej przeszłości, w obrządkach szamańskich, w arktycznym obyczaju łowców, w półmroku mitów indoeuropejskich. Powstanie niektórych napisów runicznych datujemy na średniowiecze, ale wcale nie mała ilość runów lirycznych — dzieło utalentowanych pieśniarzy — powstała także w XIX w. Dochodziło również do znamienitego zlewania się poszczególnych, przekazanych w ustnej tradycji pieśni: części rozmaitych, powstałych w różnych stuleciach run mieszały się i ulegały przetworzeniom. W niektórych pieśniach dostrzegamy ubytki, inne natomiast rozgałęziały się i podzieliły na nierozpoznawalne często, jeśli idzie o pokrewieństwo, autonomiczne całości. Pieśni przekazywane przez pieśniarzy z rozmaitych miejscowości różnią się nie tylko porządkiem

układu, ale nawet imionami bohaterów — pisał w swej przedmowie do *Kalevali* Elias Lönnrot. W istocie, naukowa penetracja poezji ludowej, jej technik selekcjonowania, przypomina trud poszukiwaczy złota w rzeźnym piasku.

Dawniej nie zaliczano poezji ludowej do literatury. Znano ją wprawdzie już w XVII w., i już wtedy podejmowano systematyczne prace zbierackie, jednakże do rangi literatury urosła ona dopiero poprzez *Kalevalę*. Elias Lönnrot, który zbierał teksty, uratował je przed zapomnieniem dosłownie w ostatniej chwili. Paradoxem wyda się zapewne stwierdzenie, że pojawienie się *Kalevali* w roku 1835 (ostateczna redakcja 1849) oznaczało zarazem rozkwit i upadek fińskiej poezji ludowej: tekst pisany zyskał zdecydowaną przewagę nad przekazem ustnym.

Zbieracz *Kalevali*, Elias Lönnrot, pojmował swe dzieło w kategoriach romantyczno-herderowskich i wyrażał pogląd, że odnalazł szczątki zaginionego eposu narodowego, rodzaj fińskiej *Iliady*. W tym przeświadczeniu montował fragmenty pieśni i ich warianty, łączył poszczególne postacie i osoby, wypełniał ubytki tekstowe. Wierzył święcie w słuszność swego postępowania. W przedmowie do wydania z r. 1835 pisał skromnie: *Tak jak je tu przedstawiam brzmiały owe runy w przeszłości a miejscami może nawet lepiej*. Obecnie pojmujemy *Kalevalę* już nie jako stworzony przez lud epos narodowy, odnaleziony we fragmentach i złożony przez Lönnrota, lecz jako kompozycję Lönnrota. Podstawową jego tkankę tworzy wprawdzie pieśń ludowa, ale na ostatecznym kształcie *Kalevali* zaważyły niewątpliwie wyobrażenia i ideały estetyczne Lönnrota i jego współczesnych. Przedmiotem zainteresowań współczesnego badacza folkloru nie są już pieśni *Kalevali*, lecz pierwotne wersje pieśni ludowej, które wyrosły z tego samego źródła i ukazały się w licznych dotąd antologiach. Ich zbiór, obejmujący 33 tomy, notuje 85 tys. fragmentów runicznych, zapisanych w okresie pomiędzy pierwszymi, ilościowymi akcjami zbierackimi a systematyzowanym wysiłkiem zbierackim z przełomu XIX w. Folklorysta Matti Kuusi tak sformułował główny paradoks fińskiej poezji ludowej: *Tylko nieliczne narody mają tak mało wczesnych pomników literackich a zarazem tak wiele ich późniejszych zapisów, jak właśnie Finowie*.

Nie sposób nie docenić historyczno-kulturowego znaczenia *Kalevali*. Stworzyła ona warunki odrodzenia się świadomości narodowej Finów i odcisnęła na sposobie myślenia wielu pokoleń. W oderwaniu od impulsów *Kalevali*, określających świadomość narodową i wiarę w siebie, późniejszy rozwój bogatej i różnorodnej literatury fińskiej byłby utrudniony. Posiadając taki skarb Finlandia może ufniej i z większą wiarą w siebie uczyć się pojmować własną przeszłość a tym samym kształtować także przyszłość. Finlandia może powiedzieć: ja także mam historię — pisał w r. 1836 przewodniczący Fińskiego Towarzystwa Literackiego, J. G. Linsén. Poeta Eino Leino notował w roku 1921: *W strofach Kalevali rozpoznałem samego siebie*. U schyłku XIX w. wpływ *Kalevali* na życie duchowe kraju był bardzo silny. Generacja romantyków narodowych widziała w niej przewodnika w wyborze motywów twórczości oraz — przynajmniej częściowo — nauczyciela formy. Inspirowani przez *Kalevalę* malarze, muzycy, poeci podejmowali w latach 90-tych pielgrzymki do karelskiej praojczyzny eposu; wymienimy spośród nich Eino Leino, Gallén-Kallela czy Sibeliusa.

W zakresie poetyki wpływ *Kalevali* i pieśni ludowej był jeszcze większy. Metrum runiczne było organicznie związane z językiem fińskim; był to czterostopowy trochej, prosty z pozoru, w istocie jednak poddany surowym rygorom. Lönnrot ostrzegał w roku 1835: *Jak siedem dowolnych gwiazd nie tworzy jeszcze Wielkiego Wozu, tak samo osiem jakichkolwiek ósmiozgłoskowców nie tworzy jeszcze strofy fińskiej*. Inspirowana przez poezję ludową liryka osiągnęła szczyty w poemacie Eino Leino *Helkavirret* (1903—1916), posługiwano się jednak tymi wzorami także później — np. w latach 50-tych zjawiają się one w dziele pisarzy takich jak Helvi Juvonen, Marja-Liisa Vartio i Lauri Viita.

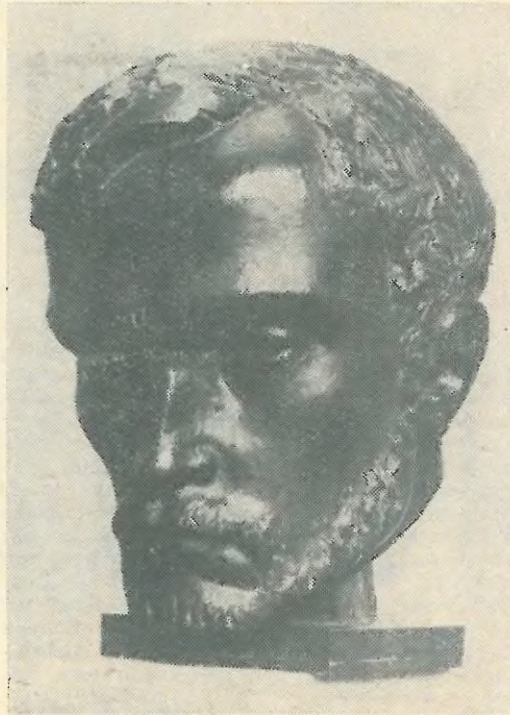
RUNEBERG

Pomimo niektórych zapożyczeń z motywów międzynarodowych i pomimo swego folklorystycznego uniwersalizmu, poezja ludowa Finlandii jest w sensie tematycznym i formalnym typowo fińska. Drugą dziedziną natomiast, literaturę szwedzkojęzyczną w Finlandii, cechuje ścisły kontakt z literaturą europejską a szczególnie skandynawską. Literatura szwedzkojęzyczna szukała miar dla wiersza i romantycznych tematów tam, gdzie się one właśnie pojawiały, przy czym pewne opóźnienia w stosunku do prądów literackich i mód światowych można wytłumaczyć peryferyjnym położeniem kraju. Literatura ta wydała pisarzy, do których mogą sobie rościć prawa zarówno Finowie, jak też Szwedzi. Dotyczy to zwłaszcza Gustava Filipa Creutzta (1731—1785, a w części Fransa Mikaela Franzéna (1772—1847). Również dziś czynni są fińscy autorzy, dziennikarze i naukowcy, piszący w języku szwedzkim, którzy osiedlają się nawet na krótszy lub dłuższy czas w Szwecji i tym samym należą do literatury obu krajów; jednym z najbardziej znanych wśród nich jest Göran Schildt.

Świat fińskiej literatury szwedzkojęzycznej wyrasta w zasadzie z fińskiej gleby. Uznany za poetę narodowego nauczyciela łaciny i greki Johan Ludvig Runeberg (1804—1877) opiewał fiński pejzaż i umacniał ducha narodowego Finów (cykl poetycki *Fänrik Stålsägner* — *Pieśni chorążego Stoola*, nawiązujący do wojen z lat 1808—09). Runeberg uzmocnił również podstawy przeświadczenia o Finach jako narodzie ludzi skromnych, dzielnych, gotowych do każdej ofiary dla ojczyzny. Gdy *Kalevala* wyrażała spokojny, pasywny element *idealizmu ludowego*, Runeberg wzniecał aktywistyczne i bojownicze elementy tego prądu duchowego. Twierdziło się swego czasu, że stworzony przez Runeberga mit poczciwego, wiernego ludu uniemożliwił kierowniczym warstwom narodu rozpoznanie istotnych problemów rozwojowych kraju, co w rezultacie doprowadziło do kata-

strofy 1918 roku, do wojny domowej. Z czasem, kiedy starano się zastosować te poglądy w nie zmienionej formie do zmienionego społeczeństwa, okazało się, że oddziaływanie zbioru wierszy, z którego tysiące zapalonych młodych ludzi czerpały nadzieję i wiarę w przyszłość, wyraziło się również w zamazaniu konturów realnego świata i zawężeniu perspektyw.

Oczywiście, trudno Runeberga obciążać winą za to, iż uczyniono zeń kapłana zobowiązującego mitu narodowego, że stał się — jak mówił pewien niecierpliwy autor pamfletu z lat dwudziestych — *tyranem Janem Ludwikiem Jedynym*. W końcu dzieło Runeberga w wielu punktach nie zgadza się z ludowo-romantycznym i wojowniczym wizerunkiem poety. Trafnie powiedział Bengt Holmquist: *Pisarz narodowy przeszkadza artyście a statua z brązu przeszkadza żywemu człowiekowi o niespokojnym sercu i wielu twarzach*. Bo właśnie wielostronność i wielokierunkowa aktywność charakteryzowały osobowość Runeberga. Jego klasyczne wykształ-



ALEXIS KIVI (RZEZBA VAINO AALTONEN — 1932)

cenie sprawiło, że niektóre z najszlachetniejszych myśli antycznego humanizmu stały się elementami składowymi literatury fińskiej. Jego wiara w uczciwość, niezłomność i duchową moc człowieka z ludu przyczyniła się do nadania literaturze fińskiej rysów demokratycznych. Już we wczesnej młodości reprezentował Runeberg oświecone, pozytywne chrześcijaństwo, co zbliżało go do humanistycznej postawy Goethego. Niewolny jednak od problemów był jego światopogląd, dlatego też, jak pisze w monografii poety Lauri Viljanen, *wzrasta w ostatnim czasie zainteresowanie zagadką wielkości i siły postaci Runeberga, jego witalną, porywającą osobowość*. Najpiękniejszym blaskiem świeci dzieło Runeberga-liryka istotnie, w liryce osiągnął on wielkość, która sprostą także kryteriom międzynarodowym. W jego lirykach klasyczna jasność i harmonia łączą się z romantycznym niepokojem i słabością, z delikatnością i prostotą pieśni ludowej. Był pierwszym poetą Finlandii, w którego twórczości istotnie odżyła fińska przyroda; wcześniejsi autorzy traktowali ją jak konwencjonalne opakowanie lub jako punkt wyjścia do rozważań dydaktyczno-moralnych.

Po Runebergu rezeszły się drogi literatury szwedzko- i fińskojęzycznych. Przyczyny należy szukać nie tylko w polityce językowej, ale także w strukturze społecznej kraju: mimo usilnego przeciwdziałania niektórych auto-

rów, piśmiennictwo szwedzkojęzyczne pozostało na długie lata wytworem i narzędziem warstwy wyższej. Dopiero z nastaniem niepodległości, po zwycięstwie modernizmu, zaczęło się ponowne zbliżenie. Kolejny spór językowy w latach 30-tych jeszcze raz doprowadził do oddalenia, które przewyciężono po ostatniej wojnie. Jednak stosunki, pojęte także w kategoriach czysto ilościowych, znacznie się obecnie zmieniły — każdej nowości w języku szwedzkim odpowiada 8 lub 9 publikacji w języku fińskim, a z ogólnej liczby ludności kraju ledwie 8% podaje szwedzki jako język ojczysty. Nakłady książek są względnie niskie, ale w wielu przypadkach jakość zastępuje ilość, dzięki czemu niektórzy autorzy szwedzkojęzyczni znaleźli także liczne audytoria fińskie.

KIVI

Trzecia interesująca nas dziedzina — literatura pisana w języku fińskim — wyrasta z względnie młodego podłoża. Kiedy w XVII czy XVIII w. pisano już w Finlandii zgrabne, a nawet eleganckie teksty w języku szwedzkim, wierszობi fińscy motali się nad własnym językiem, usiłując wpechnąć krępką mowę drwali w greckie, łacińskie czy francuskie miary poetyckie. Ponieważ początkowo ignorowano poezję ludową jako pogańską i nieuczoną, rzeczywisty rozwój literatury fińskiej mógł nastąpić dopiero po ukazaniu się i zyskaniu uznania przez *Kalevalę*. Jako zjawisko artystyczne literatura ta ujawnia się jednak dopiero w dziele Alexisa Kivi (1834—1872), a postępujący za nim Juhan Aho (1861—1921), Minna Canth i Eino Leino udowodnili sceptykom, że również w języku fińskim może powstawać subtelna proza literacka.

W postaci A. Kivi nie sposób nie dostrzec rysów renesansowych. Renesansowi byli jego ulubieni autorzy, Cervantes i Szekspir, renesansowe były także cechy jego procesu twórczego. Pisarz ukształtował się samorzutnie i w niewiele lat stworzył wszystko, co miał stworzyć: napisał na dobrą sprawę pierwszą powieść w języku fińskim, która jest dziełem trwałym i żywym. Jasności i bujności *Siedmiu braci* nie determinowały konwencje literackie i nie ograniczały ich martwe normy sankcjonowanego pocucia smaku. W Finlandii notowano krytyczne reakcje na *Kalevalę*, publikowano pamflety przeciwko Runebergowi — tylko *Siedmiu braci* nie atakowano. To tryskające humorem dzieło wymykało się wszelkim próbom schematyzacji, a jego niepowtarzalna oryginalność oszczędza mu obecnie trudnego losu kodeksu literackiego.

Mimo to powieść *Siedmiu braci* wywarła ogromny wpływ na późniejszą literaturę fińską: stała się busolą wyboru tematu, lekcją pojmowania człowieka i wzorem obróbki stylistycznej. Powieść traktuje o zwyczajnych, prostych ludziach ze wsi — właśnie o owych siedmiu braciach, którzy miast uczyć się idą na pustkowie, osiedlają się tam i w toku barwnych wydarzeń stają się świadomymi i dzielnymi obywatelami. Również późniejsza powieść fińska chętnie szuka bohatera na wsi — rolnika, biedaka, robotnika dniówkowego, a portret prostego człowieka stał się jedną z głównych jej upraw. Klasyczna powieść fińska traktuje na ogół o stosunku prostego, związanego z naturą człowieka do wydarzeń życia, do jego czasu. Typowy jest również uchwycony przez A. Kivi konflikt między jednostką a społecznością, skłaniający siedmiu braci do udania się na pustkowie, który w wielu wariantach powraca w powieściach późniejszych autorów. Bohaterami prozy fińskiej częściej bywają samotni wędrowcy, niż społecznie otrząskani mieszkańcy miast, a od czasów Kiviego znajdujemy w niej również z sympatią kreślone portrety jednostek asocjalnych. Różni się ta proza od powieści chłopiejskiej innych krajów tym, iż nie przedstawia chłopca jako błazna czy urwipocia, lecz że widzi go z tej samej perspektywy, co bohatera „wykształconego”. Charakterystyczny wyda się tytuł zbioru no-

wel Sillanpää *Maan tasalta* (Wyrośli z ziemi). Znajdujemy tu przeświadczenie, że o wartości człowieka decydują nie pozycja na drabinie społecznej ani też stopień wykształcenia, lecz jego istotne, wewnętrzne właściwości: każdy, nawet najędźnierzy człowiek, jest w tym sensie niepowtarzalny i ważny. Sillanpää w wielu książkach pisał o podstawowym typie człowieka, a Pentti Haanpää tak mówi o jednym z bohaterów jego powieści: *...są to właśnie najważniejsi członkowie społeczeństwa ludzkiego, to podstawa całości, źródło potęgi mocnych i źródło mądrości słabych. Są nieliczni wśród tysięcy. Nikt ich nie dostrzega. Ale bez nich nie byłoby piękna, kwiatów, radości życia, bogactwa. To ci, dzięki którym ciężki, żelazny pług życia spulchnia i wzbogaca naszą biedną ziemię.* (*Hota-Leenan poika*). To jedna perspektywa, zapoczątkowana przez Kivię i odtąd wciąż obecna, bez względu na imię autora, którym mogą być Aho, Lehtonen, Kianto, Sillanpää czy Haanpää, i która żywa jest także wśród najmłodszych, choćby w dziele Väinö Linna i Lauri Viita. Kivi zadomowił także w prozie fińskiej mocną, demokratyczną tonację: skala opisu człowieka jest w niej dzięki niej rozleglejsza, niż w powieści innych krajów, wyjąwszy tylko niektórych klasyków rosyjskich i niektórych współczesnych autorów amerykańskich. Z Rosji przeniknęło do prozy fińskiej wiele bodźców, ale również w dziele Runeberga znalazły się już elementy idealizacji ludu.

Odkąd *Siedmiu braci* stało się klasyczną powieścią fińską, klasyczny stał się również styl tej powieści. Oznacza to, że klasycznym stylem prozy fińskiej stał się realizm, obficie przetkany — jak w dziele Kivię — humorem. Podobne elementy pojawiają się w różnorodnych zestawieniach u bez mała wszystkich wybitniejszych prozaików fińskich — od Aho do Linna. Humor powieści sprawia często, że realistyczne obrazy nędzy nie wydają się tak beznadziejne, a przygnębiające nastroje nie posiadają mocy obezwładniającej. Trzeci element sztuki Kivięgo — wyobraźnia fantastyczna — mniej

znalazł kontynuatorów, aczkolwiek niektórzy autorzy i w tym zakresie usiłują iść w ślady klasyka.

Trzy te aspekty literatury fińskiej miniego wieku ukształtowały światopoglądowo i stylistycznie współczesną powieść fińską. *Kalevala* zaktualizowała dynamikę i obrazowość poezji ludowej, Runeberg zaszczerpił jej klasyczny humanizm a Kivi dał oryginalny realizm, wzbogacony sugestywną mieszaniną humoru i fantazji. Ideały, których się trzymało, pochodziły z różnych źródeł. Promieniowały w równej mierze z kart *Kalewali* i z dzieł Runeberga, ale przecież najtrudniejszy do naśladowania i najmniej dydaktyczny klasyk fiński — Kivi — okazał się najowocniejszym i najtrwalej oddziałującym portrecistą człowieka.

OBCE WPLYWY

Referując trzy centralne obszary dziedzictwa świadomie pomineliśmy czwarty — wpływ obcych klasyków i obcych literatur. Tymczasem nowa literatura fińska co najmniej w tym samym stopniu, co z tradycji własnej, czerpie z tradycji i duchowych doświadczeń obcych. Niemal każdy ważniejszy okres twórczy prozy fińskiej zaczyna się od mniej lub więcej polemicznej recepcji zagranicznych propozycji stylistycznych. Także w naszych żyłach zaczyna bić puls wielkiego serca naszej epoki pisał Juhani Aho w swej obronie realizmu z roku 1885. *My Finowie* — pisali w roku 1890 bracia Leino w artykule programowym *Nowy czas — wolni, świadomi siebie i ufni we własne siły możemy otworzyć okna na szeroki świat*. W tych samych niemal słowach podkreślała w 30 lat później grupa *Niosących pochodnię* znaczenie wpływów europejskich dla kultury Finlandii.

Tak więc motywy międzynarodowe krzyżowały się w różnoraki sposób z tym, co narodowe. Juhani Aho porównywał w cytowanym artykule życie literackie narodów Europy do burzy, z której do Finlandii docierają jedynie dalekie odgłosy uderzeń pio-

runa. Dopiero po latach, często po dziesięcioleciach ta sama chmura nadciąga nad nasz peryferyjnie położony kraj — i jest to rzeczywistość ta sama chmura, ale już pozbawiona deszczu i grozy. Zdarzały się jednak i szybsze echa, szczególnie gdy ośrodki inspiracji znajdowały się bliżej. Radykalne prądy skandynawskie, reprezentowane przede wszystkim przez Ibsena i Strindberga, rychło dotarły do Finlandii i spowodowały powstanie liberalnej grupy *Młoda Finlandia*, której dzielną bojowniczką była autorka dramatyczna Minna Canth, a najgłośniejszymi przedstawicielami Järnefelt i Juhani Aho. Około roku 1880 *Finlandia* stała się na przeciąg jednego dziesięciolecia literacką kolonią *Norwegii*, pisał badacz literatury, V. Tar-kainen. Mimo to Aho, co jest charakterystyczne, od początku zachowywał podobnie silny kontakt z dziedzictwem *Kalewali* i Kivięgo. Kiedy u schyłku XIX w. znaczenie i wpływ *Kalewali* znacznie wzrosły i rozpoczęła się epoka *romantyki narodowej*, która w wyborze tematu i środków preferowała elementy starofińskie, Aho znalazł się wśród jej rzeczników — podobnie jak inni dawni realisci. Skądinąd jednak ta *romantyka narodowa* wcale nie była tak arcyfińska, jak się dawniej mówiło. Mimo iż między salonami Mallarmégo a łabędziami z fińskich pustkowi rozwierała się oczywista przepaść, zjawyły się w niej również elementy ogólnoeuropejskie, jak ornamentyka secesji czy symbolizm. Dopiero w pierwszych dziesięcioleciach XX w. zaznaczyła się bardziej orientacja ogólnoeuropejska; był to czas licznych podróży do Francji i do Włoch. Migotliwy wpływ wywierał z oddalenia także Nietzsche, zwłaszcza na Eino Leino, pozostawiając jednak ślad również u Joela Lehtonen, u Edith Södergran i innych autorów.

Takie są główne rysy wpływów międzynarodowych, z którymi konfrontowała się fińska tradycja duchowa XIX wieku w pierwszych dziesięcioleciach naszego stulecia. Decydujące były jednak nie wpływy, lecz to, co każdy autor mówił od siebie i jak silną była jego osobowość, to znaczy jak i na ile

Gunnar Ekelöf

FUGA

MELANCHOLIA

Oglądam się za siebie, liczę swoje zwycięstwa
— tak ich niewiele — i sue porażki — jakże liczne ...
W wyniszczonej krajobrazie, gdzie wciąż jeszcze mający
kurz licznych marazów, i krótkich i długich zarazem,
gdzie nikt nie wydaje bitwy i nikt jej nie odmawia,
widzę je, jak bieleją kości tych mnogich kohort
pragnień, co były moje ...
Nareszcie nad rzeką ... Aby wolny od udręki,
od pustynnych mirażów, tryskających źródeł
niepomny wszystkich odpowiedzi na wszystkie pytania,
niepokoju wzrastania, bojaźni usychania,
polatywać kotłując się łagodnie na falach,
co toczą swoje szkliste sklepienia na wybrzeże,
by pianą swą obmywać leżące tam kamienie,
szare i pogrążone miętko w płasku, na granicy,
co dzieli i zespala jednocześnie krainy
zarówno opuszczone jak i nie osiągnięte,
to wszystko, czego pragnę — jak te uszłe gatunki,
jak te szczątki okrętów, co niegdyś spłonęły,
jak te ciała, zwęglone i spalone ogniem ...
By zostać uniesionym w dal, aż znikną wybrzeża.
By nie móc ani zawrócić, ani też powrócić.
By ani sprawy nie przegrać, ani jej nie wygrać.
— Wielki odwrót nareszcie został zakończony.

Od redakcji: Wiersze Gunnara Ekelöfa — były już publikowane w „Literaturze”.

EUFORIA

Siedzisz w ogrodzie sam, z notesem, kanapką i fajką,
jest noc, w powietrzu tak spokojnie, że świeca płonie nie migocząc,
rzuca odblask na prosty stół z nie heblowanych desek
i błyszczy na powierzchni flaszki i kieliszka.
Przetykasz haust, zjadasz kęs, nabijasz i zapalasz fajkę.
Piszesz linijkę wiersza, jedną lub dwie, i robisz chwilę przerwy, by popatrzyć

na pasmo zorzy wieczornej, zmierzającej ku jutrzeźnie,
na tany Chaerophyllum spienione zielonkawo-biało w nocy letniej,
ani jednego motyla w kręgu światła, tylko chóry komarów w dębinie,
liście w bezruchu na tle nieba ... Osika szeleści na bezwietrze.
Wokół ciebie cała natura silna miłością i śmiercią.
Jak gdyby to był ostatni wieczór przed długą, długą podróżą.
Już masz bilet w kieszeni i wszystko już spakowane.
I można siedzieć spokojnie czując bliskość obcych krajów,
czuć, jak wszystko we wszystkim jest zarazem własnym końcem

i początkiem,

czuć, że tutaj i teraz i odjeżdża się i powraca,
czuć, jak w człowieku pełni się nabytą wino i śmierć i życie.
Tak, stać się jednym z nocą, jednym z samym sobą, z płomieniem

świecy,

co patrzyli mi spokojnie w oczy, niezgłębienie i cicho,
jednym z osiką, drzącą i szeleszczącą,
jednym z pękami kwiatów, co się wychylają z ciemności, by postuchać
czegoś, co miałem już na końcu języka, lecz nigdy nie zdołałem

wymówić,

czego nie chciałem zdradzić, choćbym nawet mógł to uczynić.

I czuć, że muszę we mnie najczystsza szczęśliwość:

A płomień rośnie ... To tak, jakby te kwiaty cisnęły się coraz bliżej,
wciąż bliżej i bliżej, w tęczy z lśniących punktów blasku.

Osika trzęsie się i szeleści, zorza wieczorna się przesuwając
i wszystko, co było niewypowiedziane i dalekie, jest niewypowiedziane
i bliskie.

Śpiewam o tym jednym, co jedna i godzi,
o tym jednym praktycznym, jednakim dla wszystkich.

(Przetłóżył: Zygmunt Łanowski)

potrafił on równoważyć nacisk wpływów tradycji własnej i obcej, aby uczynić z nich spoiwo własnej wizji świata.

ROK 1918 — PUNKT ZWROTNY

W tym samym czasie silniejszy wpływ na literaturę zaczęły wywierać istotne przemiany struktury socjalnej i wydarzenia dziejowe — lata rusyfikacji, industrializacja, wprowadzenie powszechnego prawa wyborczego i rozwój socjalizmu. Szczegółowe społeczeństwo fińskiego zaczęły trzęszyć. Granice klas zaczęły się zacierać a przeświadczenie warstw pracujących o słuszności własnych postulatów rosło, przy czym jednak walka z caratem spychała niekiedy na dalszy plan odczucie potrzeby przemian wewnętrznych. Rezultatem była wojna domowa roku 1918. Z perspektywy historii można ją ocenić jako wojnę wyzwoleniczą, której skutki jednak na długo położyły się cieniem na narodowym i kulturalnym rozwoju Finlandii.

Wydaje mi się, że niebawem literaturę naszą oświecą zupełnie inny duch, pisał Juhani Aho w roku 1921 w swym dzienniku. Pisał to w czerwonych Helsinkach. My, starzy, zapewne nie stworzymy już nic istotnego, po nas przyjdą jednak młodzi. I tak się stało; rok 1918 był dla literatury fińskiej rokiem przełomu.

Sam Aho nie przetrwał przełomu, zmarł w roku 1921, a jak o tym świadczy jego późna twórczość, nowy świat napawał go lękiem. Inną pomnikową postacią literatury fińskiej początków stulecia był poeta Eino Leino, i on jednak mało już pisał po ogłoszeniu niepodległości Finlandii. Umarł w roku 1926; całym swym dziełem tkwił w epoce sprzed wojny. Z postaciami Aho i Leino zakończyły się dwa istotne prądy przełomu stulecia — krytyczny realizm i liberalizm lat 80-tych oraz następujący po nim okres romantyki narodowej, połączonej z elementami symbolizmu. Natomiast autorzy starszej generacji, którzy pisali również po roku 1920, wybrali w wielu wypadkach nowe gwiazdy przewodnie. Wiele z nich można by nazwać *rozczarowanymi romantykami*. Byli jednak także wyjątki, a Maila Talvio czy V. A. Koskenniemi zdołali nawet zaskakująco organicznie zjednoczyć się z nurtem nowego czasu, a nawet zyskać pozycje rzeczników określonych dążeń narodowych. Jednak większość wcześniej debiutujących pisarzy pozostała w samotności — tak Arvid Järnefelt, tak Volter Kilpi, tak Otto Manninen, tak Aino Kallas, Joel Lehtonen, Maria Jotuni. Podobne koleje przeszła literatura szwedzkojęzyczna: z śmiercią Runara Schildta (1925) zgasała praktycznie twórczość generacji sceptycznych łazików a Arvid Mörne, który w początkach XX w. namiętnie angażował się społecznie, skazał sam siebie na głęboką samotność.

Inna była pozycja wyjściowa autorów, którzy zaczęli pisać w drugim dziesięcioleciu naszego wieku. Podłożem, z którego wyrósł, były zarówno prace i poglądy poprzedniego pokolenia, jak i rozczarowania i deziluzja wojny. Charakterystyczne, że dwaj debiutujący wówczas pisarze, Sillanpää i Hellaakoski, studiowali nauki przyrodnicze i z nich wywiedli własny światopogląd. W okresie wojny i w latach powojennych dotarli również do Finlandii radykalne prądy artystyczne tego okresu; ekspresjonizm i futurizm znalazły najlepszą glebę w kręgach fińsko-szwedzkich i stały się kierunkowskazem twórczości Södergran, Diktoniusa i Björlinga. Zmieniła się także społeczna metryka pisarza; obok potomków bogatych albo wykształconych rodzin, zjawili się wśród piszących synowie biednych chłopów, jak Sillanpää, albo autentyczni *self-made-mani* jak Toivo Pekkanen lub Pentti Haanpää.

Zabrzmiało to może paradoksalnie — ale po ogłoszeniu niepodległości Finlandii zwiększyła się jej odległość od duchowych centrów Europy, mimo iż modernizm fińsko-szwedzki unowocześnił lirykę, a fińska grupa *Nio-*

sących pochodnię głosiła hasła otwarcia okien na Europę. Podejmowano także podróże do Paryża i Berlina. A jednak kontakt pisarzy fińskojęzycznych z kulturą i życiem duchowym Europy rozluźnił się w stosunku do pokolenia wcześniejszego, którego przedstawiciele znali języki i przedsiębiorali dłuższe podróże. Narastający we własnym kraju konflikt językowy fińsko-szwedzki izolował Finlandię od krajów skandynawskich i pogłębił przepaść między literaturą fińską a szwedzkojęzyczną. W latach 30-tych, to jest póki zachowywał znaczenie na pół faszystowski *ruch Lapua*, a także w okresie kryzysu gospodarczego, klimat duchowy kraju stał się jeszcze bardziej surowy. Szkodliwy wpływ tego okresu zaznaczył się najwyraźniej w literaturze przekładowej: Finlandia wlokła się w ogonie i zgubiła, na przykład w dziedzinie liryki, łączność z aktualnymi prądami epoki. Były to czasy, kiedy szanowany profesor uniwersytetu mógł wydać podręcznik dzieł literatury, w którym dzieła Joyce'a i Lawrence'a przedstawiono jako przykład, jak

Trygve Nordwall

WSPÓŁCZESNA TWÓRCZOŚĆ OPEROWA W SZWECJI

Modele, które kształtowały szwedzką muzykę operową w początkach XX wieku, straciły z czasem na znaczeniu. Stąd też — mówiąc o twórczości lat 50-tych i 60-tych — trudno nawiązywać do jakiegokolwiek tradycji.

Najbardziej znanym w świecie dziełem szwedzkiej muzyki scenicznej jest niewątpliwie *Aniara* Karla-Birgera Blomdahla (1916—1968), oparta na poemacie Harry Martinssona



SVEN — ERICK BÄCK

na. Jest to utwór pod wieloma względami nowatorski. Blomdahl po raz pierwszy wprowadził do opery niezwykle aktualny temat i choć jego ujęcie może się wydać powierzchowne, nie sposób odebrać *Aniarze* miana pierwszej opery kosmicznej — jeśli oczywiście pominąć Haydna *Il mondo della Luna* czy Janáčka *Wyprawę pana Brouczka*. Po wtóre Blomdahl zastosował w tej operze środki elektroniczne.

Od dnia premiery *Aniara* weszła na stałe do repertuaru Opery Sztokholmskiej. Sięgnęło po nią również wiele teatrów zagranicznych, a Opera Sztokholmska wystawiała ją ponadto w roku 1959 na festiwalu w Edynburgu, w roku 1967 w Montrealu i w roku 1969 w Monachium. Mimo że temat opery zachował aktualność, a wiele fragmentów muzycznych nadal brzmi sugestywnie, w całości utwór

destrukcyjny i spłycający był dotychczasowy wpływ psychoanalizy na literaturę.

Tego rodzaju zjawiska w połączeniu ze skutkami wydarzeń roku 1918 wywierały między wojnami istotny wpływ na literaturę fińską. Po ożywionych, pełnych blasku latach 20-tych, nadeszło w Finlandii — jak i gdzie indziej zresztą — dziesięciolecie ponurej obojętności, ocenione niejasnymi ideami. Po kryzysie gospodarczym nastąpił jednak okres trwałej liberalizacji a autorzy, zwłaszcza starsi, okazali jasny i wyraźny krytycyzm wobec rzeczywistości. Zabrakło jednak trzeźwej, świadomej autoanalizy, na wzór Anglii, Francji czy Szwecji — miało to nastąpić dopiero po II wojnie światowej. ■

* Kai Laitinen, *Suomen kirjallisuus 1917—1967*. Helsinki 1967. Przekład z wyd. niemieckiego, Hamburg 1969.

** Wyczerpującą informację bio-bibliograficzną o pisarzach, cytowanych w artykule K. Laitinena, znajdują czytelnicy w książce Wilhelma Szewczyka *Sampo czyli młynek szczęścia* (Poznań 1970; ss. 197—234).

nie oddziałuje już tak inspirująco, jak w czasie prapremiery: zwykły to los wszystkich niemal radykalnie nowoczesnych dzieł.

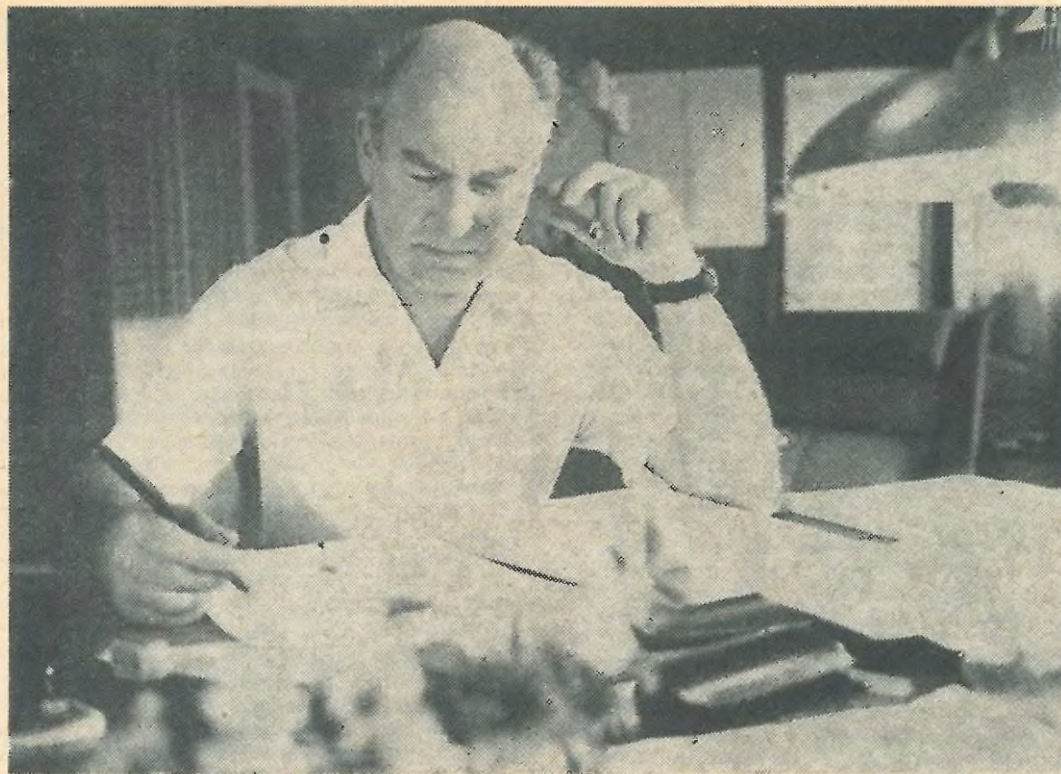
W dziedzinie kosmicznej nie znalazł Blomdahl bezpośrednich kontynuatorów, ożywiło się natomiast po premierze *Aniary* środowisko kompozytorów szwedzkich, zainteresowanych muzyką sceniczną. Efektów nie można jednak porównywać z osiągnięciami kompozytorów z kontynentu, bo wciąż w dużej mierze mamy do czynienia z twórczością o charakterze narodowym, której trudno znaleźć uznanie poza granicami kraju.

Nie odniosła większego sukcesu druga opera Blomdahla *Pan Hancken* (1962—64), oparta na powieści Hjalmara Bergmana, do której libretto napisał scenarzysta *Aniary*, Erik Lindegren. Określono ją jako *komiczną tragedię*. Śpiewacy wykonywali niemal wyłącznie recitatiwy, a orkiestra tworzyła przede wszystkim rodzaj kulisy dźwiękowej, funkcjonalnej co prawda, ale rozbijającej jedność dzieła.

Przed śmiercią stworzył Blomdahl jeszcze jedną operę, *Sagan om den stora Datan* z librettem Hannesa Alfvéna, której scenariusz opublikowano w pierwszym numerze czasopisma *Nutida Musik* z roku 1968/69.

O trzy lata młodszy jest kolega Blomdahla z *Grupy poniedziałkowej**, Sven-Erik Bäck (ur. 1919), który skomponował trzy opery kameralne — *Pióro żurawia* (1956), *Gästabudet* (1958) i *Ptak* (1961). Wszystkie były wystawiane na scenie, aczkolwiek *Pióro żurawia* jak i *Ptak* pomyślane zostały przede wszystkim jako opery radiowe. Wielka wrażliwość kompozytora na słowo poetyckie sprawiła, że opery te uzyskały silny wyraz dramatyczny, a partie orkiestrowe odznaczyły się subtelnym kolorytem. *Pióro żurawia* jest dzięki swej alegorycznej treści (wziętej z japońskiej legendy) nie tylko jednym z najważniejszych dzieł Bäcka, ale zarazem jednym z najbardziej emocjonalnych i angażujących osiągnięć szwedzkiej muzyki scenicznej.

Do *Grupy poniedziałkowej* należał również Ingvar Lidholm (ur. 1921), który skomponował dotąd tylko jedną operę — *Holender* — opartą na fragmencie dramatycznym Strindberga z roku 1902. *Holender* powstał na zamówienie radia szwedzkiego i został nagrany we współpracy z zachodnioniemiecką



KARL BIRGER BLOMDAHL

stacją WDR. Pokazano tę operę w roku 1967 w telewizji szwedzkiej, a w rok później uzyskała ona I nagrodę na wiedeńskim międzynarodowym konkursie oper telewizyjnych.

Jeśli mowa o wokalnych środkach wyrazu dzieło muzyczne Lidholma nie prezentuje się jednolicie. Jednakże pisać tylko o jednej warstwie opery telewizyjnej byłoby nie tyle błędem, co fałszem: *Holender* został pomyślany do tego stopnia telewizyjnie, że niektóre fragmenty muzyczne powstawały dopiero w trakcie prac zdjęciowych w studio. W rozumieniu Lidholma obraz, tekst i muzyka stanowią integralną całość.

Czwartym członkiem Grupy poniedziałkowej był Sven-Erik Johansson, który napisał operę dziecięcą i operę „*Wino poznania*”.

Specjalną pozycję zajmuje Gunnar Bucht (ur. 1927), autor jednej jak dotąd opery, opartej na dramacie Ibsena *Pretendenci do tronu* (1963–1965). Dzieło zostało w całości pomyślane symfonicznie, a narodowa treść zyskała w nim wymowę ogólnoludzką. Mimo silnego piętna teatralnego opery, kompozytor oświadczył, że jego zdaniem *opera jest przede wszystkim i bez reszty muzyką, a myśl muzyczna wyprzedza każdą inną*.

Inną drogę obrał Lars-Johan Werle (ur. 1926), który ostatnio coraz mocniej przyciąga uwagę publiczności. Jego pierwsza opera „arenowa” *Sen o Teresie* (1964), z jej częściowo filmowym montażem, charakteryzuje się wrażliwością na tekst literacki; muzyka i słowo rozwijają się w niej niejako identycznie, równolegle. Werle nie uprawia własnego, specyficznego stylu. Raczej zajmuje się komponowaniem stylu, co uwydatniło się szczególnie w drugiej jego operze *Podróż* (1969). Wystawiono ją w Hamburgu, ale istotniejszy sukces odniosła ona dopiero podczas premiery w Sztokholmie w lutym 1970 roku.

Można krytykować zastosowaną w tej operze technikę *collage'u*, można również wnieść zastrzeżenia do treści muzycznych, nie można jednak zaprzeczyć, że dzieło to — dzięki swej tematyce niemal codziennej i dzięki dobrej koncepcji dramatycznej — stanowi ważny krok na drodze do współczesnej, zaangażowanej muzyki scenicznej.

Z grona pozostałych szwedzkich twórców operowych należy jeszcze wymienić Laci Boldemana (1921–1969), twórcę opery dziecięcej *Cesarz powiedział: czarne jest białe*, komedii *Dårskapens timme* i pośmiertnie wystawionej opery kameralnej *Och så drömmen han om Per-Jonathan*, Karla-Erika Welin (ur.

1934), autora opery szkolnej i telewizyjnej *Dummerjõns*, Ingvara Wieslandera (1917–1963), autora jednoaktowej opery komicznej *Soppa på en spik* i Björna Wilho Hallberga (ur. 1938), autora opery-traktatu *Ewakuacja*, której centralnym problemem jest zagrożenie przyrody.

Specjalną pozycję zajmują eksperymenty w dziedzinie opery kościelnej, zainicjowane w 1969 r. przez librecistę Bengta V. Wallsa (ur. 1916) i muzyka Torstena Nilssona (ur. 1920) w operze *Dantesvit*, a następnie w operze *Skapelse*. Do tekstu Wallsa napisał również swą pierwszą operę *Eksperyment X* Bengt Hambræus (ur. 1928). Wymienić wypada również nie wystawioną jeszcze operę altowiolinisty orkiestry dworskiej, Eberharda Eysera, *Kalifens son*.

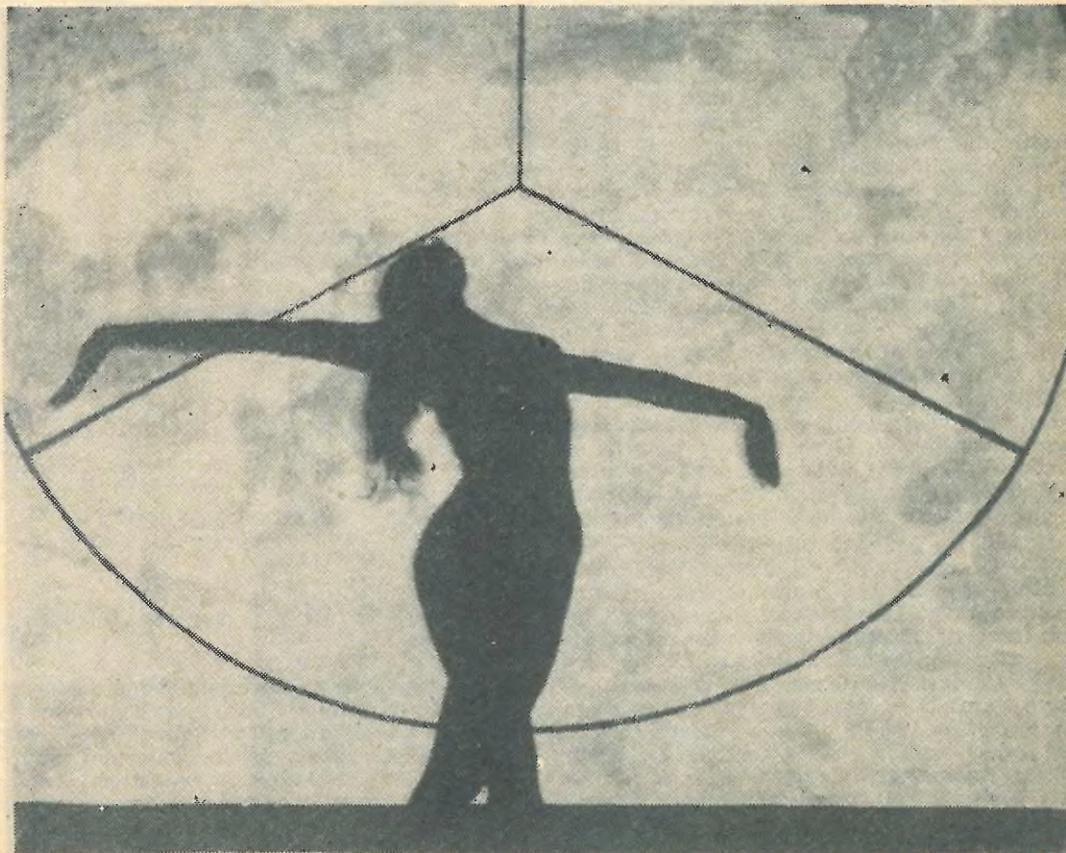
Zapewne istnieje jeszcze sporo innych dzieł, które można by zaliczyć do współczesnej szwedzkiej opery, z pewnością również powstaną w najbliższym czasie dalsze nowe dzieła. Trudno natomiast przewidzieć jakie drogi obierze twórczość. Żywa jest tendencja, forsująca dramaturgię muzyczną, zajmującą się problemami społecznymi (logiczna kontynuacja politycznie zaangażowanej dramaturgii teatralnej lat 60-tych), ale *przeciwieństwa* pomiędzy kompozytorami są tak zasadnicze, że z pewnością żaden konkretny prąd rozwojowy nie będzie mógł górować nad innym.

Do współczesnej szwedzkiej twórczości operowej należą również zagadnienia polityki repertuarowej, reżyserii operowej i scenografii. W ostatnich 10–15 latach wystawiono względnie dużo oper szwedzkich i zaprezentowano sporo współczesnych dzieł obcych, jak *Wozzeck* Berga, *Zywyot Rozpustnika* Strawińskiego, *Sen nocy letniej* i *The Turn of the Screw* Brittena, *The Nines of Sulphur* Bennetta, *Więźnia Dalapiccoli*, *Doktora Fausta* Busoniego, *Sprawę Makropoulousa* Janačka i *Lá Passion selon Sade* Busottiego. Dominuje jednak tradycyjna opera repertuarowa, głównie dzieła Mozarta, Verdiego, Wagnera i Pucciniego.

Naturalnie reżyseria operowa i scenografia również odgrywają istotną rolę, cechuje je często bardzo dobry smak i troska o efekt sceniczny, brakuje im natomiast nowatorstwa.

Największe zainteresowanie wzbudziła w ostatnich latach współpraca reżysera Folke Abeniusa ze scenografem Janem Brazdą nad inscenizacją *Pierścienia Nibelungów* Wagnera. Całość, gotowa dopiero wiosną 1970 roku, wymknęła się wpływom kontynentu, a nacechowana została silnie osobowościami reżysera i plastyka. Abenius reżyserował również *Marionetki* Rosenberga, *Pretendentów* Buchta, *Czarodziejski flet* Mozarta i *Ewakuację* Hallberga.

Wymienić należy również inscenizację *Wozzecka* Berga, *Aniary* Blomdahla i *Sprawy Makropoulousa* Janačka, dzieła aktualnego szefa opery sztokholmskiej Göra Gantele, jak również Ingmara Bergmanna niemal legendarną i wysoko przez Strawińskiego ocenioną inscenizację *Zywyota Rozpustnika*.



„ANIARA” BLOMDAHLA W OPERZE SZTOKHOLMSKIEJ

Spółród dyrygentów na szczególną wzmiankę zasługuje Sixten Ehrling, pracujący już od roku 1940 w operze, początkowo jako kopetysta, od 1944 jako kapelmistrz a od 1953 jako pierwszy dyrygent. Jego następcą został w roku 1960 Michael Gielen. Wymienić należy również czeskiego dyrygenta Bohumila Gregora, obu młodych Finów Leifa Segerstama i Okko Kamu oraz Szwedów Stiga Westerberga i Larsa of Malmberg.

Jako scenografowie wyróżnili się poza Brzadą Sven Erik Skawonius, Sven Erixon, Birger Berling, Stellan Mörner, Carl Johan Ström, Duńczyk Helge Refn, Rolf Alexandersson i Carl Reuterswärd.

*) Nazwa pochodzi od poniedziałkowych spotkań grupy kompozytorów — głównie uczniów Hildinga Rosenberga (ur. 1892) — w mieszkaniu K. B. Blomdahla przy Drottninggatan w Sztokholmie, ożywionych chęcią zrewolucjonizowania życia muzycznego Szwecji; są to lata 1940-te. (Przekład i przypis: M. S.)

TEATR HANUSZKIEWICZA NA PÓŁNOCY

Pod sugestywnym fotosem Adama Hanuszkiewicza fińska gazeta *Helsingin Sanomat* umieściła podpis: Uwielbiany przez nas reżyser, którego zobaczymy jako Don Juana w sztuce Moliere'a...

Gazety fińskie i skandynawskie często piszą o sprawach europejskich, nazywając je kontynentalnymi. Otóż, z całą pewnością można powiedzieć, że żadna gazeta kontynentalna, pisząc o artyście, nie użyłaby dziś takiego epitetu, a już z całą pewnością nie uczyniłaby tego żadna z gazet warszawskich, bo tam objawów spontaniczności ludziska boją się tak samo, jak śmierci cywilnej. Uwielbiany... mój Boże! Prawda jest jednak, że obok Jerzego Grotowskiego — który wywarł znaczny wpływ na myśl teatralną krajów północnej Europy (piszemy o tym w artykule dra Zenona Ciesielskiego), właśnie Adam Hanuszkiewicz należy tam — na północy — do najbardziej znanych i cenionych reprezentantów teatru kontynentalnego. Podczas majowego festiwalu teatralnego w Helsinkach (1968) *Don Juan* Hanuszkiewicza (gościnne występy warszawskiego Teatru Powszechnego) rywalizował z *Don Juanem* w wykonaniu *Comédie Française* — i zwyciężył. Pisał o tym krytyk szwedzkojęzycznej gazety fińskiej *Hufvudstadsbladet* w zakończeniu swej recenzji: „Cher Maître! Szanowny Moliere! Mam nadzieję że widział Pan spektakl *Don Juana* Adama Hanuszkiewicza. Mnie osobiście sprawił ten spektakl ogromną radość. Był tak wspaniały, że rozentuzjzmowani nasi widzowie zapomnieli o swej narodowej wstrzeźliwości i wszyscy z całych sił krzykali: bravo! Zwłaszcza, że Twój własny dom (Komedia francuska — p. m.) wepchnął ostatnio Twojego *Don Juana* w zimny, apokaliptyczny i patetyczny, aluminiowy las...”

Kontakty fińskie warszawskiego Teatru Powszechnego, a następnie Narodowego, oraz osobiste Adama Hanuszkiewicza datują się od roku 1967. Hanuszkiewicz reżyserował wówczas w Helsinkach, w nowoczesnym gmachu *Kaupunginteatteri* (Teatru Miejskiego) *Wesele* Figara Beaumarchais, osiągając znaczny sukces artystyczny. Kiedy Teatr Powszechny przybywał w rok później do Helsinek z przedstawieniami *Wesela* Wyspiańskiego i *Don Juana* Moliere'a — sztuka Beaumarchais utrzymywała się jeszcze na afiszu. „Rzadko zdarza się, aby zapowiadana wizyta zagranicznego teatru

wzbudziła takie zainteresowanie i napięcie, jakie miało miejsce podczas gościnnych występów Teatru Powszechnego” — pisał dziennik *Suomenmaa*. „Wspaniały widowisko *Wesele* w reżyserii Adama Hanuszkiewicza oczarowało widzów”. Dziennik *Kansan Uuhiset* stwierdzał, że „w *Weselu*, dramacie napisanym w 1901 roku, można odnaleźć wiele wspólnych cech ze znacznie późniejszymi utworami Gecketta. Hanuszkiewicz przedstawia nam *Wesele* jako satyrę polityczną, ukazującą absurd biernego wyczekiwania na zmiany. Dla nas interesująca jest przede wszystkim forma, w jakiej polski teatr poddaje krytyce pewne cechy i sprawy narodowe”. Inny dziennik, *Helsingin Sanomat*: „Przedstawienie zakończyła dość niezwykła u nas, spontaniczna owacja publiczności, wyrażającej swoje uznanie i serdeczną przyjaźń dla zespołu Teatru Powszechnego”. Inny jeszcze recenzent pisał: „Na spektaklu *Wesela* poczułem się Polakiem...”

Dodajmy tu, że *Wesele* Hanuszkiewicza — tak entuzjastycznie przyjęte przez publiczność fińską — oglądały również widownie Londynu, Moskwy i Pragi... Sam Hanuszkiewicz nie przerwał swoich kontaktów z teatrem fińskim, inscenizował tam w następnych latach m. in. *Pannę Julię* Strindberga, a obecnie — premiery odbędą się w sierpniu — przygotowuje (współ ze scenografem Marianem Kołodziejem) premierę *Don Juana* Moliere'a w teatrze w Tampere i premierę *Męża i żony* Fredry w Helsinkach.

Drugie północne tournée *Wesela* i *Don Juana* odbyło się w październiku 1969 roku i objęło Sztokholm (Teatr Miejski) i Oslo (Teatr Narodowy). Oto dokonany przez *Litery* wyciąg z publikacji prasowych szwedzkich i norweskich:

Pisze *Svenska Dagbladet*: „Adam Hanuszkiewicz, młody polski geniusz reżyserii, zro-



ADAM HANUSZKIEWICZ (RYS. R. JEŚMANOWICZ)

bił przedstawienie budujące na średniowiecznych misteriach bożo-narodzeniowych i teatrze kukielkowym w Polsce (...) *Wesele* jest sztuką typowo polską w swoim rysunku porażki i tęsknoty za wolnością. Taniec wydaje się być powszechnie stosowanym w Polsce artystycznym wyrazem beznadziei. Pamiętamy przecież tango ze sztuki Mrożka i korowód taneczny z filmu *Popiół i diament*...”

Dagens Nyheter: „*Wesele* w inscenizacji Hanuszkiewicza pozwala nam zrozumieć, jak wiele znaczącym dramaturgiem był Wyspiański i jak bardzo wyprzedził swoją epokę. Pozwala nam zapoznać się z dramaturgiem, który był dostatecznie wprowadzony w tradycję europejską, aby móc z nią zerwać, i dostatecznie głęboko narodowy, aby stworzyć coś, co publiczność może przyjąć jako bardzo polskie i ludowe (...) Byłem szczerze zaskoczony moim zachwytem nad przedstawieniem, o którym słyszałem takie rzeczy, że sądziłem, iż trzeba być Polakiem, aby w ogóle mieć pojęcie o co tu chodzi”.

Ponownie *Svenska Dagbladet* — o *Don Juanie*: Wejścia i zmiany scen odbywają się z niewyszukaną prostotą, która podobna jest do nieco niewyszukanej nonszalanckiej. Tego samego określenia można by użyć również w stosunku do kreacji Adama Hanuszkiewicza w roli tytułowej. Jest on nieco podobny do gwiazdora filmowego Jean Paul Belmondo i podobnie jak tamten odzwierciedla idealny obraz nowoczesnego, nieco ironicznego kochanka i gwiazdora — odprężonego, pozbawionego złudzeń, stojącego jakby na uboczu, a w gruncie rzeczy równie pełnego melancholii jak Hamlet. Jest to *Don Juan* naszych czasów...”

Norweska *Dagbladet* o *Weselu*: „Kierownik teatru, autor adaptacji i reżyser Adam Hanuszkiewicz wykazał znakomitą wyobraźnię teatralną tworząc przedstawienie oparte na konwencji powiększonego teatru kukielkowego”. Inny dziennik norweski *Aftenposten*, konkludował: „To świetnie zagrane i odznaczające się pięknymi kostiumami przedstawienie zrobiło niewątpliwie duże wrażenie artystyczne”. *Arbeiderbladet* dodawał: Jest to wrażenie teatru poetyckiego, który mówi rzeczy ważne, w równym stopniu należące do przeszłości jak i do dnia dzisiejszego. Mówi ono o marzeniu, aby zdobyć wartości narodowe i ludzkie, oraz o bezsilności i beznadziejności, które przeszkadzają w osiągnięciu tego celu”.

Gwiazdą występów skandynawskich Teatru Powszechnego i Teatru Narodowego był niewątpliwie sam Hanuszkiewicz — w roli poety i w roli *Don Juana*. Krytycy nie pominęli jednak i innych aktorów — zwłaszcza Gustawa Lutkiewicza w roli Sganarela w *Don Juanie* i Janusza Bukowskiego w roli Chochła w *Weselu*. Zachwyty wzbudzała krytykowania niekiedy w Polsce, „cepeliowska” dekoracja Adama Kiliana do *Wesela*. Wymieniano rolę Ewy Wawrzon i Wiesławy Mazurkiewicz w *Weselu*. A krytyk norweski *Arbeiderbladet* (Gazety robotniczej) taki wyśtosował apel do aktorów norweskich:

Aktorzy, idźcie dziś wieczorem do *National Theatret* i ucicie się jak każdy biorący udział w tym przedstawieniu wykorzystuje całą gamę swoich środków wyrazu: swoje ciało, twarz, głos, jak aktorzy ci nie tylko słowami wyrażają to, co zamierzają wyrazić, ale wykorzystują całą swą postać i całą swoją istotę wewnętrzną. I zwróćcie również uwagę, jak to, co w nich najlepsze, zdaje się stępiać w przekaz, który rozumiemy bez słów. Jak znakomity aktor Janusz Bukowski w roli Chochła przekazuje nie tylko słowa, ale w równym stopniu gra odcieniami głosu. Zwróćcie uwagę na jego postawę, spojrzenie, na całe promieniowanie jego istoty fizycznej i duchowej, które daje widzowi na widowni wszystko, co należy przekazać z tej roli. Albo też zwróćcie uwagę na pierwszą scenę flirtu między Maryną i Poetą (Ewa Wawrzon i Adam Hanuszkiewicz). Ileż w niej umiejętności aktorskich i opanowania w sztacie aktorskiego! Mogłbym tak cytować szczegół po szczególe na potwierdzenie mojej tezy. Ale idźcie to zobaczyć sami. Wczorajsze przeżycie teatralne stało się jednym wielkim potwierdzeniem faktu, że artysta sceniczny, który nie opanował swego zawodu, staje bezradny gdy przyjdzie mu przekazać publiczności wartości zawarte w roli. Jest to więc pożyteczna nauka dla teatru norweskiego, który obecnie bardzo lekko zdaje się brać tę stronę sztuki teatralnej. (wybór M. M.)

MORTEN NIELSEN (1922–1944), poeta „straconej generacji”. Jego poezja nawiązuje do tematyki II wojny światowej, zasadnicze motywy to przyroda, miłość, dzieciństwo. Ważniejsze tomiki: „Krigere uden vaaben” 1943, „Efterladte Digte” 1945.

Morten Nielsen

SPOTKANIE

Słońce odchodzi z wiatrem.
Stoisz uśmiechnięta w trawie
i naga jak Ewa
kiedy uśmiechem wabiła jego wzrok.

Nie...
Stoisz oto w mrocznej komnacie
pośród książek zrodzonych z
przekornych i umęczonych serc
twych synów.
Tkwisz w głębi czeluści
bębny słysząc o zmierzchu
przyjaciele pozwolili odejść bliskim
na burzliwe fronty —
ściskają dłonie
kłamiąc: do zobaczenia.

Rzeki rzucą to kiedyś na brzeg,
szemrzą mknąc koło mnie —
Rzeki krwi mego serca.
Zapomną siebie
i mroczność mą —
jak niewidoczne lato
przyjąc mnie raczysz.

Głęboko pod przemijaniem rzek
nic nie słysząc
nie nasłuchuj,
głęboko pod przemijaniem rzek
łagodna skarga
dlaczego skryłeś oblicze.

Ośłoń się liściem.
Daj mi swą nagą twarz.
(Przełożył: Stefan H. Kaszyński)



(FOT. L. SIWICKI)

Jorgen Gustava Brandt

FRAGMENT JUTRA

1

Żyjesz
poza zapadnięciem jesiennej nocy
podróżą wędrówki
częstkami owoców i śmierci.
Ale: zawsze goszczą w pismach
upadli zbiegowie
gorzkie ścieżki i zatroskane dni
bezdolnych.

Niepotwierdzony, zamknięty dzień bez odgłosu
mierzyłeś, wobec starych, jak żyłeś
widziałeś:
dzieło, złożone po niepewnej stronie bóstwa
wstrzymuję bieg
na stawie obrazów.

2

Zakorzenione, nieledwie przypominające cząstki
obrazu, potęgi i bogactwa ostatni
dzień

uwolniły później...
...skazały wszystko na wewnętrzne istnienie
(wypracowane spojrzenie za siebie: dzieciństwo,
bramy demonów, pasaża przerażenia,
sztolnie, studnie
nazwane krypty, kochające ciszę, naczynie
wnętrze z arki człowieka,
wieloryba...

Między odległymi rekwizytami
błądzą bezdomne dzieci teraz
zamarzają.

Ale, poza tym, tutaj
za okutymi drzwiami,
wszystko dozwolone
narażone na wszystko, ty
z twarzą na wietrze,
w świetle
zapachu powietrza,
głosie cisy,
we wszystkim, co będzie poznane.
(Samotny siedzisz nieruchomo
z otwartymi
dłońmi w rozbieganej przestrzeni gry)

Bez świata na świecie
znasz sady, jabłka opadające, bez lęku
i morze codzienności. Ktoś
widział bóstwa. Wiedział
o czym rozprawiać
z bóstwami. Tam. Ty też stamtąd.
Tylko za sprawą twojej woli miłości
wierności
istnieje wszystko kochane.

(Przełożyła: Maria Krysztofiak)

JORGEN GUSTAVA BRANDT (ur. 1925), poeta, krytyk i eseista. Tworzy poezję ze wszech miar współczesną, eksperymentuje przy pomocy znaczeń i obrazów. Jego poezja jest stałym szukaniem potwierdzenia własnej osobowości, próbą znalezienia alternatywy w świecie zdevaluowanych wartości. Najważniejsze tomiki „Korn i Pelegs Mark” 1949, „Fragment af imorgen” 1960, „Janus hoved” 1962. (SHK)

Zenon Ciesielski

GROTOWSKI I SKANDYNAWOWIE

Polskim zjawiskiem teatralnym budzącym największe zainteresowanie w Skandynawii jest wrocławski Teatr-Laboratorium 13 Rzędów Jerzego Grotowskiego. Dziś, gdy teatr ten jest głośny w całej Europie, a ostatnio — po występach w Stanach Zjednoczonych i na Bliskim Wschodzie — także i w świecie, zbytnio to nie dziwi. Lecz trzeba pamiętać, że — po pierwsze — Skandynawowie poznali Grotowskiego wcześniej w porównaniu z innymi krajami i — po drugie — znajomość jego metody i teatru jest na Północy większa, niż gdzie indziej.

Pierwszy kontakt z Północą mało wówczas jeszcze znanego reżysera polskiego nastąpił w 1962 r. z okazji Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Helsinkach, w którego ramach Jerzy Grotowski wygłosił referat o pracy z aktorem. Oczywiście wystąpienie w ramach tak ogromnej, o charakterze międzynarodowym, imprezy raczej nie sprzyjało nawiązaniu bliższych więzi ze środowiskami teatralnymi Skandynawii. To jednak i ten fakt trzeba odnotować choćby z racji chronologicznego pierwszeństwa.

Na teren Skandynawii wprowadził Grotowskiego właściwie włoski teatrolog i reżyser, Eugenio Barba. Był on pierwszym zagranicznym stażystą u Grotowskiego jeszcze w opolskim Teatrze 13 Rzędów. Włoch po dwóch latach pobytu w Polsce wyjechał do Norwegii w 1965 r., gdzie założył w Oslo studyjny zespół teatralny, pracujący według metod polskiego reżysera. Po kilku latach Barba przeniósł się do małego przemysłowego miasteczka Holstebro w północno-zachodniej części Jutlandii, znajdując w Danii przychylniejszą atmosferę dla swej pracy. Odin Teatret — bo taką nazwę przyjęła jego placówka — stał się ogólnoskandynawskim teatralnym ośrodkiem eksperymentalnym. Po występach w 1968 r. w paryskim Teatrze Narodów poruszył on opinię zachodniej Europy. Zaczęto wówczas porównywać Barbę z Grotowskim. Przytoczmy jedno z takich porównań: „1) obaj są marksistami, 2) obaj są reżyserami, 3) wymagają od swoich aktorów, aby w każdym przedstawieniu schodzili do piekieł, 4) wzbraniają się oddzielać etykę od estetyki, 5) uważają, że nie można przygotować nowego życia jak tylko w katakumbach, 6) tak jak u Grotowskiego Odin Teatret nie ma sceny”. (Cytuję za *Tygodnikiem Powszechnym* 1969, nr 26). Niektórzy krytycy zaczęli także spekulować, że prowadzony przez Włocha duński teatr eksperymentalny przyćmi działalność Jerzego Grotowskiego. Pozostawmy to jednak w sferze przypuszczeń. Jak do tej pory Eugenio Barba wykazuje pełną lojalność wobec polskiego mistrza, z którego pomocy ciągle jeszcze korzysta.

Wyrazem stosunku Barbę do Polaka może być jego książka poświęcona Grotowskiemu, wydana w 1968 r. w języku angielskim pt. *Towards a Poor Theatre* przez duńską firmę wydawniczą Christian Christiansen, przy subwencji ojców miasta Holstebro. Barba miał już wówczas za sobą jedną publikację o Grotowskim. Była to włoska książka zatytułowana *Alla ricerca del teatro perduto* (W Poszukiwaniu teatru straconego, Padwa 1965). W stronę teatru ubogiego było jednak zupełnie nowym wydawnictwem. Na zawartość książki złożyły się prócz prac teoretycznych Jerzego Grotowskiego oraz wywiadów z nim, publikacje jego współpracowników — Ludwika Flaszena i Eugenio Barbę. Dzięki językowi angielskiemu praca ta miała zasięg ogólnoskandynawski, a nawet ogólnoeuropejski. W rezultacie wzbudziła za-

interesowanie nawet w Polsce, jak świadczy poniższy cytat: „Prawie równoległe z artykułami o wysiłkach Grotowskiego, niedawno drukowanymi przez *Teatr*, pojawiła się w kraju książkowa publikacja samego Grotowskiego. Młodzi ludzie narzekający na brak źródłowych tekstów dotyczących metody Teatru-Laboratorium nareszcie zostali szczodrze, choć przewrotnie obdarowani. Przewrotnie — bo książka Grotowskiego ukazała się w... Danii, w języku angielskim, i na razie po Polsce krąży ledwie kilka egzemplarzy”. (R. Peryt, Przeciwiłk, *Dialog*, 1969, nr 8). Notabene *Towards a Poor Theatre* ukazała się następnie w paru innych krajach i dopiero obecnie myśli się o przetłumaczeniu jej na polski.

Pora jednak wrócić na teren Skandynawii. Książka Grotowskiego została tu uznana za dużej miary wydarzenie. Dowodzi tego choćby zakończenie artykułu duńskiego krytyka Thomasa Bredsdorffa w angielskim miesięczniku *Plays and Players* (marzec 1969),



RYS. RÓSCISŁAW JEŚMANOWICZ

który omawiając duńską sytuację teatralną stwierdził: „Maleńki Odin Teatret w zachodniej części Danii, kierowany przez Włocha Eugenio Barbę, zebrał i wydał w przekładzie angielskim notatki Jerzego Grotowskiego pt. *W stronę teatru ubogiego*. Żaden przejaw naszej własnej twórczości teatralnej nie ma równie istotnego znaczenia dla sceny współczesnej i dla sceny przyszłości” (cytuje wg.: ms. „Teatr w Kopenhadze”. *Dialog*, 1969, nr 6).

Znaczenie *Towards a Poor Theatre* polegało na opublikowaniu podstawowych poglądów twórcy Teatru-Laboratorium, znanych do tej pory raczej wąskiemu gronu ludzi teatru stykających się uprzednio z Grotowskim. Pewną rolę, jeśli zważy się jakim autorytetem cieszy się w Skandynawii kultura angielska, odegrała przedmowa do tej książki, pióra słynnego brytyjskiego inscenizatora — Petera Brooka. A pisał on w niej między innymi: „Grotowski jest jedyny. Dlaczego? Ponieważ, jak wiem, nikt na świecie, nikt od czasów Stanisławskiego, nie badał natury aktorstwa, jego zjawisk, jego znaczenia, natury duchowo-fizyczno-emocjonalnych procesów tak głęboko i całkowicie jak Grotowski”. I jeszcze zakończenie wstępu: „Praca Grotowskiego przypominała nam, że to, czego on dokonuje w sposób graniczący z cudem z garstką aktorów, potrzebne jest w tej samej mierze każdemu z aktorów w naszych (...) zespołach (...). Intensywność, rzetelność i precyzja jego pracy może pozo-

stać tylko jedno: wyzwanie. Ale nie na dwa tygodnie, nie na raz w ciągu życia. Na każdy dzień”. (Cytuję w tłum. H. Machonia wg P. Brook, O Jerzym Grotowskim. *Odra*, 1967, nr 2).

D rugim człowiekiem, prócz Barbę, który odegrał znaczną rolę w zapoznaniu Skandynawów z polskim eksperymentatorem teatralnym, był Carl-Erik Proft, pionier kształcenia teatralnego w szkolnictwie szwedzkim. Dowiedziawszy się o poczynaniach Grotowskiego wybrał się do Wrocławia i zetknąwszy się z metodą aktorską Polaka postanowił rozpowszechnić ją na Północy. Proft jest nauczycielem w szkole zawodowej w Skara, małym miasteczku leżącym 150 km na północny wschód od Göteborga. Nie oglądając się na pomoc czynników oficjalnych podjął z własnej inicjatywy starania o sprowadzenie do Skandynawii Jerzego Grotowskiego wraz z jego teatrem.

W ten sposób doszło do skandynawskiego tournée Teatru-Laboratorium w lutym i marcu 1966 r., które ostatecznie przyczyniło się do ugruntowania opinii o polskim zespole na Północy. Wyjazd ten został bardzo starannie przygotowany. Wcześniej od całego teatru wyjechał do Szwecji czteroosobowy zespół, do którego — prócz Grotowskiego — weszli czołowi aktorzy Teatru-Laboratorium, Ryszard Cieślak, Antoni Jahołkowski i Rena Mirecka. Grupa ta przeprowadziła tzw. seminaria instruktażowe, na których odbywało się omawianie metody aktorskiej Grotowskiego wraz z demonstracją ćwiczeń. Seminaria takie odbyły się w trzech miastach — w dużym ośrodku portowo-przemysłowym położonym w południowo-wschodniej Szwecji, Norrköping (6–10 II 1966), gdzie słuchaczami byli profesorowie i studenci tamtejszej szkoły teatralnej, w Skara (12–16 II 1966), gdzie kurs został zorganizowany dla wykładowców i studentów pozostałych szkół teatralnych oraz w Sztokholmie (17–20 II 1966), gdzie odbyła się konferencja metodyczna dla szwedzkich aktorów i reżyserów. W ten sposób szwedzkie środowisko teatralne zostało przygotowane do przyjęcia występów wrocławskiego teatru. Natomiast wśród szerszych kręgów społeczeństwa spopularyzowała zespół telewizja szwedzka, która przed wyjazdem teatru przysłała do Wrocławia ekipę filmową. Nakręcony wówczas film o pracy zespołu został nadany w szwedzkiej TV bezpośrednio przed przyjazdem wrocławian.

W czasie tournée wystawiono ostatnią premierę teatru — *Księcia niezłomnego* według Calderona-Słowackiego w opracowaniu i reżyserii Jerzego Grotowskiego. Zespół dał dziesięć przedstawień w Sztokholmie w dniach od 21 lutego do 3 marca 1966 r. Odbyły się one w sali sztokholmskiego Moderna Museet, a organizatorem występów było Towarzystwo Fylkingen, które zostało zainteresowane działalnością wrocławskiego teatru przez Carla-Erika Profta. Następnie Teatr-Laboratorium udał się do stolicy Danii, gdzie w sali kopenhaskiej Politechniki dał także dziesięć przedstawień *Księcia niezłom-*

nego (5–14 III 1966). W Danii opiekę nad zespołem sprawowało Ministerstwo Kultury. Wreszcie trzecim krajem Północy, do którego zjechał teatr wrocławski, była Norwegia. Tu organizacją trzech występów, które odbyły się w sali politechniki w Oslo w dniach 20–23 marca 1966 r., zajął się przebywający podówczas w tym kraju Eugenio Barba ze swym Odin Teatret oraz redakcja czasopisma *Bonynet*.

W czasie przedstawień *Księcia niezłomnego* w trzech stolicach skandynawskich spektakle oglądały komplety widzów. Trzeba tu przypomnieć, że skonstruowany przez architekta Jerzego Grotowskiego teren gry mieścił każdorazowo siedemdziesięciu widzów. (W teatrze Grotowskiego programowo zrezygnowano z tradycyjnego podziału na scenę i widownię.) Aktorzy wrocławscy zdobyli sobie na Północy dużą popularność, skoro dochodziło tam do takich wypadków, jak choćby ten, zrelacjonowany w wywiadzie prasowym po powrocie do kraju: „Zdarzyło się więc — było to w Kopenhadze — że kiedy kilku aktorów weszło do jakiegoś lokaliku, żeby napić się kawy, powitano ich jak znajomych, na głos przeczytano recenzję — bo gazetę zawsze ktoś miał pod ręką. I zaczynały się deklaracje przyjaźni, rozmowy, pytania, zaproszenia na lampkę wina czy do złożenia prywatnych wizyt”. (M. Żywień, *Skandynawskie sukcesy Teatru 13 Rzędów. Ziemia Kaliska*, 1966, nr 20). Można zauważyć, że na taką popularność aktorzy Grotowskiego musieli czekać w kraju przez kilka jeszcze lat. Czy jednak przytoczone objawy zainteresowania i sympatii Skandynawów były równoznaczne ze zrozumieniem istoty i właściwości teatru Grotowskiego i jego metody kształcenia aktorskiego, której ilustracją właściwie — w myśl założeń Teatru-Laboratorium — miały być te przedstawienia?

Pewną odpowiedzią na te pytania mogą być publikacje prasowe o pobycie wrocławian na Północy. Plik artykułów, który przywiózł z tournée kierownik literacki teatru, Ludwik Flaszen, jest dość pokaźny, lecz zawartość artykułów jest różna. Najbardziej zdawkowo, nie wykraczając poza zwykłą informację, obeszli się z przedstawieniami Grotowskiego krytycy norwescy, którzy, dzięki działalności Eugenio Barby, powinni byli być najlepiej przygotowani do zrozumienia tego teatru. Korzystniej przedstawiała się sytuacja w prasie duńskiej, lecz bezsprzecznie najciekawsze artykuły o Grotowskim ogłosił Szwedzi.

Wybieram dla przykładu — dwie publikacje: znany krytyk i historyk literatury Ebbe Linde ogłosił w sztokholmskim dzienniku *Dagens Nyheter* z 20 II 1966 r. artykuł pt. *Grotowskis fattigsteater* („Grotowskiego teatr ubogi”), a Göran O. Eriksson, reżyser Stads-teater w Sztokholmie, zatytułował swe wrażenia w *Stockholms Tidningen* (nr z 23 II 1966) *Grotowskis laboratorium* (*Laboratorium Grotowskiego*). Oba artykuły uzupełniają się wzajemnie i dają czytelnikowi szwedzkiemu w sumie dość dokładne pojęcie zarówno o koncepcjach teatralnych Jerzego Grotowskiego jak i o jego metodzie szkolenia aktorskiego oraz o dokonaniach teatralnych.

Ebbe Linde uczestniczył w prowadzonym przez Grotowskiego szkoleniu teatralnym w Skara. Dał więc w swym obszernym artykule zaopatrzonemu w ilustracje sugestywny reportaż z przeprowadzonych tam treningów aktorskich. Nie ograniczył się jednak do zwykłego dziennikarskiego opisu. Linde, na podstawie obserwacji, a zapewne także wykładów Grotowskiego oraz rozmów z Polakiem, pokusił się o zrozumienie istoty jego metody ćwiczeń aktorskich oraz ich właściwości. Dziennikarz szwedzki podkreślił więc rewolucyjny charakter koncepcji Polaka, rewolucyjny w stosunku do tradycyjnego teatru, zagrożonego w swej egzystencji przez konkurencję środków masowego przekazu — film i telewizję.

Jerzy Grotowski — relacjonujemy opinie Szweda — dąży więc do zniesienia dawnego podziału na scenę i widownię przez wpro-

wadzenie gry między publiczność, wciągana nawet niekiedy do współdziałania z aktorami. Także zmienił się w jego teatrze stosunek do tekstu literackiego, który stanowi jedynie podstawę napisanego od nowa scenariusza, w którym zachowana zostaje tylko współcześnie zinterpretowana problematyka z odrzuceniem dosłowności literackiej fabuły. Jednocześnie Polak odrzucił główne akcesoria teatru „bogatego” — dekoracje, kostiumy, światło, muzykę, które zostały przyswojone przez film i TV i w ten sposób straciły rację bytu w teatrze. Dalszym wyraznym punktem programu Grotowskiego jest intensywny, codzienny trening aktorów, zastępujący dawne próby. Trening ten zmierza do „poszerzenia i zintensyfikowania psychofizycznych możliwości aktorów”.

Dziennikarz szwedzki zwraca uwagę, że Jerzy Grotowski zachowuje pełen szacunek przede wszystkim dla Stanisławskiego, a także dla Brechta oraz Craiga i Artauda. Nie przeszkadza mu to jednak radykalnie różnić się od tych teoretyków i twórców teatralnych. Autor artykułu dostrzega także w działalności teatralnej wrocławianina pewne podobieństwa ze współczesnym amerykańskim happeningiem, od którego jednak Grotowski różni się w sposób zasadniczy odrzuceniem improwizacji działania oraz unikaniem efektów zmierzających do żartu i dowcipu.

Ebbe Linde dostrzega w koncepcjach twórcy Teatru-Laboratorium pewne strony dyskusyjne czy wręcz wątpliwe. A więc Szwed wyraża swój niepokój, czy jego zasada ćwiczeń i działań aktorskich nie prowadzi do rozbudzenia pewnych przesądów i samooszukiwania się przez aktorów. Przytacza także sceptyczne opinie pedagogów na temat stosowanych przez niego ćwiczeń głosowych. Wreszcie — a jest to chyba uwaga zasługująca na docenienie — nastawienie się Grotowskiego głównie na pojedynczego aktora

wprowadzonego w stan ekstazy może prowadzić do solipsizmu i, przede wszystkim, odbijać się ujemnie na zbiorowości gry. I jeszcze jedno spostrzeżenie Szweda, także warte podkreślenia, że gwałtowność środków wyrazowych teatru Grotowskiego, zmierzających do wstrząśnięcia widzem, wyklucza wszelką intymność i poezję, a więc istotne składniki kameralnego teatru, przeciwstawiającego się widowiskowości masowych środków przekazu.

Mimo tych znaków zapytania czy też wątpliwości Ebbe Linde widzi mocne strony koncepcji Polaka. Zalicza do nich to, że jego teoria, w przeciwieństwie do innych rewolucjonistów teatralnych, ma mocną podbudowę intelektualną. Za poważną zaletę uważa on także otwarty charakter tych koncepcji zarówno wobec tradycji jak i pewnych współczesnych inspiracji. Grotowski nie staje się w ten sposób dogmatykiem, a jego poglądy mogą być ożywczą inspiracją dla współczesnego teatru.

W przeciwieństwie do Lindego Göran O. Eriksson w swym artykule w *Stockholms Tidningen* zajął się przede wszystkim przedstawieniem *Księcia niezłomnego* w wykonaniu Teatru-Laboratorium. Krytyk zaczął od opisu terenu gry. Chcąc oddać istotę teatru Grotowskiego Eriksson posłużył się porównaniem z pokazanymi w filmach Jean Roucha rytualnymi obrzędami Afrykańczyków. Trafnie jednak dostrzegł, iż o ile w tamtych wypadkach występowała spontaniczność i żywiołowość, doprowadzająca uczestników aż do hysterii, to w teatrze Grotowskiego przeprowadzane z niemalże równą intensywnością działania aktorskie poddane są ostrej dyscyplinie, będącej rezultatem starannego i precyzyjnego przygotowania. Krytyk szwedzki zastanawiając się nad źródłem hiszpańskiej atmosfery dostrzegającej w przedstawieniu raczej słusznie doszedł do wniosku, że

Gustaf Munch-Petersen

FALA

Gasnącego słońca skrzywiony grot
chwiejąc się rozcina morze,
szklana powłoka unosi się drżąc
i wygładza.

Brzeg zielenieje we mgle,
błady fioletowy wodnik wypływa
ku żółtemu światłu nim
wchłonie go dno,
spieniony spieszny ku śmierci.
Kiedy słońce rozedrgane się chyli
brzeg odwraca oblicze
matowoniebieskie fale spokojnie
szemrzą morską noc. —

(Przełożył: Stefan H. Kaszyński)

GUSTAF MUNCH-PETERSEN (1912–1938), twórca poezji antyheroicznej, zginął tragicznie podczas walk w Hiszpanii. Jego poezja odznacza się prostotą środków wyrazu, przy pomocy których potrafi jednak przekonywająco mówić o niezwykle istotnych sprawach ludzkich. Ważniejsze tomiki: „Det nøgne menneske” 1932, „Nitten digte” 1937.

Gunnar Ekelöf

POETYKA

Ciszy masz słuchać
ciszy za apostrofami, aluzjami
ciszy w retoryce
czy w tak zwanej formalnej doskonałości
To szukanie bezsensu
w tym co pełne treści
i na odwrót
I wszystko co tak kunsztownie staram się opiewać
jest dla kontrastu czymś prostym
a całe wypełnienie puste
Co napisałem
jest między wierszami

(Przełożył: Zygmunt Łanowski)

nie tyle wynikała ona z podkładu tekstowego, ile z asocjacji z malarstwem Goyi, jakie nazywał spektakl. Najwięcej miejsca poświęcił Eriksson analizie aktorstwa na ogół właściwie dostrzegając jego odrębność i specyfikę.

Ważny wydaje się końcowy wniosek autora artykułu. Eriksson stwierdza, że metoda Grotowskiego „da się zastosować także w innych formach teatralnych, a nie tylko w wypracowanym przez niego teatrze rytualnym”. Przeprowadzając w zakończeniu artykułu porównanie przedstawień Teatru-Laboratorium z rezultatami narodowej sceny szwedzkiej uznał: „mimo iż zespół jego był mniejszy, to jednak stworzył teatr lepszy”.

Wybrane przykładowo dwa artykuły wykazują, że Szwedzi mogli się nieźle zorientować zarówno w podstawach teorii Jerzego Grotowskiego jak i głównych zasadach jego metody aktorskiej oraz właściwościach jego realizacji teatralnych.

Nie mniej ważne od takich występow pod względem oddziaływania na teatr skandynawski były seminaria i kursy instruktażowe prowadzone przez Jerzego Grotowskiego przy współudziale aktorów wrocławskich dla ludzi teatru z Północy. O imprezach takich w Sztokholmie, Norrköping i Skara, poprzedzających tournée z 1966 r. była już mowa uprzednio. W trakcie tego wyjazdu Grotowski przeprowadził jeszcze konferencje metodyczne dla aktorów i reżyserów duńskich w Kopenhadze (7–9 III 1966) oraz norweskich w Oslo (16–17 III 1966). W tymże samym 1966 roku przybył Grotowski ponownie do Danii, gdzie w dniach 15–30 lipca przeprowadził w Holstebro, dokąd przeniósł się właśnie z Norwegii Odin Teatret Barby, ogólnoskandynawski kurs dla aktorów, reżyserów i krytyków. Kontakty takie zostały podtrzymane w następnych latach. Ponownie zorganizowany ogólnoskandynawski kurs prowadził bowiem Jerzy Grotowski przy współudziale Ryszarda Cieślaka w Holstebro. w dniach 10–30 lipca 1967 r., po którym odbył on dłuższą konferencję w Teatrze Królewskim w Sztokholmie (1–10 VIII 1967). Duńskie Holstebro było także miejscem kursu dla kilkudziesięciu przedstawicieli teatrów Skandynawii oraz uczestników z Belgii i USA w dniach od 25 lipca do 14 sierpnia 1968 r. Poglądowe pokazy metody Grotowskiego prowadzili wówczas Ryszard Cieślak oraz czołowy aktor Wrocławskiego Teatru Pantomimy — Stanisław Brzozowski.

O tym, że z konieczności krótkoterminowe kursy nie wystarczają aktorom skandynawskim świadczy fakt, że zgłaszają się oni także na odbycie dłuższego stażu we wrocławskiej siedzibie Teatru-Laboratorium. Przez surową selekcję, jaką przeprowadza Jerzy Grotowski, przebrnęło, jak dotąd, trzech stażystów z Północy — Ingegard Hellner i Sören Larsson ze Szwecji oraz Anne Semingsen z Norwegii. Już właściwie jako ciekawostkę można podać fakt, iż w końcu 1969 r. zgłosił się do Grotowskiego Islandczyk Kjartan Ragnarsson z Reykjavíku, który jednak nie został przyjęty na staż. Świadczy to jednak, że rozgłos wrocławskiego Teatru-Laboratorium dotarł nawet do odległej Islandii. Metoda aktorska Polaka ściągnęła uwagę także najwybitniejszych aktorów skandynawskich, skoro zainteresowała się nią głośna aktorka szwedzka, znana u nas głównie z filmu, Bibi Andersson.

Gdybyśmy próbowali rozróżnić w działalności Jerzego Grotowskiego trzy płaszczyzny, które wyznaczają: 1) jego koncepcje estetyczne, 2) jego metoda aktorska i 3) jego praktyczna działalność teatralna, to okazałoby się, że wszystkie te trzy sfery są w Skandynawii znane. Największe jednak zainteresowanie budzi chyba jego oryginalna metoda kształcenia aktorskiego, którą Skandynawowie — jak to mieliśmy okazję się przekonać — próbują przeszczepić na swój teren.

Spróbujmy teraz — na koniec — zastanowić się nad przyczynami tego niezwykle silnego zainteresowania, jakie na Północy wzbudziła teoria i praktyka Jerzego Grotowskiego. Osobiście nie byłbym skłonny

przywiązywać większego znaczenia do takiego czynnika, jak międzynarodowy rozgłos, który otacza jego nazwisko. Ludzie Północy kierują się bowiem w życiu zbyt praktycznymi względami, aby ulegać naciskom snobizmu.

Bliską jest natomiast Skandynawom — jak mi się zdaje — Grotowskiego koncepcja teatru ubogiego. Oznacza ona teatr odarty z bogactwa środków współczesnej inscenizacji — z pomysłowości reżysera w montowaniu widowiska, przepychu dekoracji i kostiumów, gry światła, wspomagania przedstawień muzyką. Jerzy Grotowski sprowadza teatr do dwóch, podstawowych — według niego — elementów, do aktora i widza, a także wzajemnych relacji między nimi. Koncepcja taka wraz z jej sakralno-moralistyczną w gruncie rzeczy funkcją bliska jest surowej, ukształtowanej przez protestantyzm mentalności ludzi Północy, która jest głęboko zakorzeniona pod powłoką zlaicyzowanej świadomości i sposobu życia współczesnych Skandynawów.

Nie bez znaczenia jest chyba także widoczny w teatrze Grotowskiego wysiłek do rzetelnego opanowania rzemiosła aktorskiego, któremu towarzyszy powaga atmosfery pracy teatralnej, dążenia do nadania czy też przywrócenia jej charakteru etycznego. Są to postawy i cechy, które mają wysoką cenę na Północy. Ebbe Linde w zakończeniu omawianego artykułu tak pisal: „Przed wszystkim

jest tam powaga w stosunku do pracy, żądanie niesłychanej dyscypliny i zamykanie do zawodu traktowanego jako rzemiosło, które łączy go (Grotowskiego — Z. C.) zarówno z renesansową komedią dell'arte jak i ze współczesnym cyrkiem wysokiej klasy. To stwarza warunki do przeżywania i prowadzi do kultury teatralnej, gdyż ostatnio zbyt często powierzchowność oraz wygodna wiara we wrodzony talent przedkładana jest nad „pracę aktora nad sobą” (Stanisławski). Chociażby ten ostatni punkt wystarczy, abstrahując już od jego aktualnego znaczenia, aby uzasadnić i uczynić koniecznym fakt, iż został on do nas sprowadzony”.

Dochodzi do tego jeszcze jeden czynnik. Ludzie Północy uświadamiają sobie pewien niedorozwój artystyczny swych instytucji teatralnych w porównaniu z kontynentem. Odczuwają to tym dotkliwiej, iż świadomość tego idzie w parze z sukcesami w innych dziedzinach sztuki (film) oraz osiągnięciami ekonomicznymi, społecznymi czy politycznymi Skandynawów. W tej sytuacji zrozumiałe staje się zainteresowanie koncepcjami Jerzego Grotowskiego, zwłaszcza że zajmują się one przede wszystkim aktorstwem. A tymczasem właśnie aktorstwo uznawane jest powszechnie za niewraligiczny punkt współczesnego teatru, gdyż nie zawsze nadaje ono za osiągnięciami inscenizacji i scenoplastyki czy techniki i architektury teatralnej. Wobec tego — ex meritis laudis!

Eustachy Tyszkiewicz

Listy o Szwecji

ZUPA W TAK GWAŁTOWNY SPOSÓB ZASŁODZONA...

Drukujemy fragment ciekawej relacji Eustachego Tyszkiewicza, który odwiedził Szwecję w 1843 r. Tyszkiewicz interesowała nie tyle swoistość i oryginalność kraju, co rozmaite pamiątki polskie wywiezione z Polski przez wojska Gustawa Adolfa. We wstępie do swoich „Listów o Szwecji”, wydanych w 1845 r. autor pisze m. in.: „Kilkuletnie badania moje nad starożytnościami krajowymi każy mi bliżej poznać dawne Skandynawów pomniki: bo przeważny wpływ, jaki to pokolenie wywierało na prowincję nadbałtyckie i część Słowiańszczyzny, tam wskazywał źródło w pochodzeniu i bacznie śledzeniu szczątków pozostałych w naszym kraju z czasów przedchrześcijańskich. Wiedziałem o zbiorach w różnych miejscach Szwecji i Danii. Dla porównania więc naszych archeologicznych zabytków ze skandynawskimi, umyśliłem zwiedzić Finlandię, Szwecję i Danię, przypatrzeć się z bliska obyczajom zabobonnemu ludu, obejrzeć zbiory publiczne i prywatne, zabrać stosunki z uczonymi północnej Europy i o ile zdolności dozwolą dokładnie wyjaśnić pomniki przeszłości rodzinnej mej ziemi”.

Cenne są te wyjaśnienia, tym bardziej, że Tyszkiewicz uzupełnił je niezwykle obszernym wykazem polskich źródeł i pamiątek, przechowywanych w archiwach i bibliotekach Szwecji.

Kilka słów o autorze „Listów o Szwecji”. Eustachy Tyszkiewicz pochodził z hrabiowskiej rodziny rusko-litewskiej, mocno rozro-

dzonej i wsławionej w historii. Jej przedstawiciele piastowali znaczne urzędy w sejmach, odznaczali się w bojach i legacjach. Eustachy Tyszkiewicz (1814–1873) był znakomitym archeologiem i badaczem ojczyznych dzieł. Nauki szkolne rozpoczął w Wilnie a ukończył je w Petersburgu. Zajął się wykopaliskami, sondażami kurhan i mogił, zbierał pieśni ludu, notował obrzędy i obyczaje. W 1843 r. odbył „dla badań archeologicznych” podróż do Szwecji. Owocem tej podróży były dwutomowe „Listy”, nie pozbawione także waleńców ściśle literackich. Znakomite pod względem językowym są też utwory literackie „Pan Choroszcza”, „Druga żona”, „Fryderyk Bachström”. Naukowy charakter posiadają dzieła: „Opisanie powiatu borysowskiego”, „Obrazy domowego pożycia na Litwie”, „Groby rodzinne Tyszkiewiczów”, „Króla Stanisława Augusta — ostatni pobyt w Grodnie”.

O tym, że doceniano zasługi Tyszkiewicza dla nauki i literatury świadczy to, że był członkiem rozmaitych towarzystw krajowych i zagranicznych. Był m. in. członkiem Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu, Królewskiego Towarzystwa Antykwaryuszów Północnych w Kopenhadze, Królewskiej Akademii Historii i Starożytności w Sztokholmie, Instytutu Archeologicznego w Londynie, Serbskiej Maticy w Budziszynie, Towarzystwa Badaczy Historii Nadbałtyckich Prowincji w Rydze oraz członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. (St. P.)

Korzystając z kilku dni swobodnych, które mi przed odjazdem w dalszą drogę pozostały, w niedzielę rano zająłem miejsce na statku parowym Upland, odbywającym zwykłe w dni świąteczne wycieczki po jeziorze Mälaren, a który tą razą odbywał do zamku Gripsholm, odległego od Stockholmu o 5 1/2 mil morskich. Nazwane zamku Gripsholm wyprowadzają historycy od dziedzica byłej niegdyś w tem miejscu budowy, zowiącego się Grip, co znaczy Gryf po polsku (czego wyobrażenie dotąd na głównej chorągiewce zamkowej wieży widzieć można), a słowo holm w języku Szwedzkim wyspę oznacza.

Gustaw Adolf Wielki, mając siedemnaście lat wieku, tu passowanym był na rycerza wobec zgromadzonych stanów królestwa przez ojca swojego Karola IX, który dał mu wówczas miecz w rękę. Królewski młodzieniec przysiągł nim władać dzielnie, o czym świąt cały wkrótce się przekonał.

Na dziedzińcu zamkowym widzieć można dwa działa Ruskie brązowe przewybornej roboty, wzięte w Iwangrodzie przez Pontusa de la Gardie w 1581 roku. Wnętrze pokójów posiada wiele kosztownych sprzętów w rozmaitym rodzaju w czasie trzydziestoletniej wojny z Niemiec tu przywiezionych. Ale najciekawszym zbiorem w zamku Gripsholm

są to wizerunki przeszło 2.000 sztuk wynoszące. Wierni swojemu powołaniu wymienimy to tylko, co miłośników krajowych pamiątek bardziej obchodzić będzie.

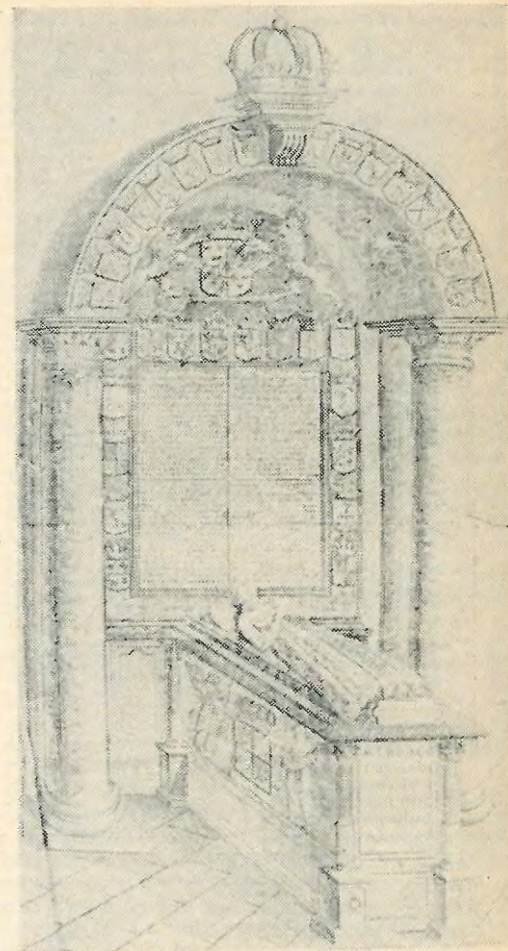
W sali audjencyjnej Króla jest piękny portret Zygmunta III, robiony przez malarza Pasch; a w gabinecie, jako rzadkość, pokazują współczesny portret pięknej Królowej Cecylii, narzeczonej Jana Tęczyńskiego. W innej znow sali Karol XII, wyobrażony na koniu, Toruń oblega. Obraz ten przez Ehrenstrahl jest malowany. Wizerunek Mazepy ostatnie najście Szwedów mi przypominał. Ten sprzymierzeniec i doradca Karola XII na to go, zdaje się, w swoje przywabił strony, żeby z nim razem upadł. Nie wiem jakim sposobem znajduje się tu portret Karola de Biren Księcia Kurlandji. Musiał to być podarunek tego Księcia któremuś z Królów Szwedzkich, jako znak dobrych stosunków zawsze zależnej a dbałej o los swój Kurlandji. W okrągłej sali Gustaw III zebrał wszystkich współcześnie mu panujących Monarchów. Oprócz Ojca Świętego i Tureckiego Sultana, wszyscy są w naturalnej wielkości wyobrażeni. Powiadają, że gdy Gustaw III sekretnie we wszystkich stolicach świata u najpierwszych artystów wykonanie tych portretów obstarował, wówczas od każdego z panujących w podarunku je otrzymał. Stanisław August Poniatowski wyobrażony jest w królewskiej purpurze, w pozycji nadanej mu przez Bacciarellego. Zupełnie podobny obraz dotąd w Jabłonnej pod Warszawą widzieć można. Na ramieniu jest duża tarcza złożona, podzielona na cztery części, gdzie wśród herbów krajowych, Ciołek Poniatowskich widzieć można. Jadalną salę zdobią dwa marmurowe popiersia: pierwsze wyobraża Jana Kazimierza Króla Polskiego; drugie, również dobrego dioba, wyobraża żonę Jego Marję Gonzagę. W jednym pokoju, którego okna wychodzą na podwórze zamkowe, znajduje się duży obraz przedstawiający Cesarza Karola IV biesiadującego z małżonką swą i całą dostojną rodziną. Wśród osób dwór Cesarski składających, na prawej stronie obrazu, znajduje się wezwany na ucztę a bawiący tam, od Króla i Rzeczypospolitej Polskiej Poseł, którego bogaty galowy ubiór wszystkie inne w całym zgromadzeniu zgasił. Ale bo też i marsowa postać jego, łeb wygolony i zawieszyste wasy dziwnie dobrze od amarantowej kierei odbijały. W poważnym jego spojrzeniu, na otaczających go zwróconem, wyczytać zdaje się można, że wszystkich by fryzowanych Niemców w kozi róg pozapędzał.

Gdzie są pokoje zwane mieszkaniem dzieci Księcia następcy tronu, widzieć można w popiersiu malowany portret Stanisława Leszczyńskiego w stroju zwracającym uwagę każdego. Ma on na sobie szafirową sukienną sukmanę, zamszowy pas i także duże rękawice, włosy w górę zaczesane i rozrzucone w nieładzie, zupełnie tak, jak je Karol XII zwykł był nosić. Ta maskarada, widocznie przez chęć podobania się swemu wielkiemu protektorowi ułożona, zupełnie szpeciła piękne rysy twarzy Króla-filozofa. Przyjaźń Leszczyńskiego ku osobie Karola nie była obłudą: nie zmienił jej, gdy Karola niefortunny los spotkał; i co tylko szlachetnem i uczciwem nazwać można, wszystko to zdobiło życie Leszczyńskiego, i piękną przyszłość dla kraju, którymby rządził, rokowało. Jego życie w kartach historii Szwedzkiej ważne zajęło miejsce; ale zdaje się, że portret ten jedyną jest po nim tutaj pamiątką.

O wschodzie słońca żegnając stolicę, opuszczając to siedlisko nauk i dawnych pamiątek Szwecji, ruszyłem traktem ku zamkowi Hrabiego Brahe, zwanemu Skokloster. Na nieszczęście, w Skokloster w różnym rodzaju rzeczy z Polski wywiezionych była obfitość.

W salonie, gdzie są portrety domu Hrabów Brahe, jest wizerunek Eryka Brahe Marszałka Dworu Króla Zygmunta III. W innym pokoju zachwylił mnie współcześnie malowany olejnymi farbami portret Katarzyny Jagiellonki. Ta córka, siostra i matka Zygmunta, ostatnia kropla krwi Jagiellońskiej, w bogatym stroju i w całej postawie jest wyobrażona. Ona to od młodości do zgonu zle i dobre lata na tej ziemi spędzając, zwłoki swe, lubo gorliwej obrończyni Rzymskiego Kościoła, jednak w świątyni nieprzyjawnego wyznania w Uppsali złożyła. Dalej Potocka, żona ostatniego posła od Rzeczypospolitej Polskiej, Pani dziwnie nadobna i piękna.

W szafach, gdzie kosztowne zachowują sprzęty, jest kieszonkowy złoty zegarek Króla Zygmunta III i agatowy podróżny serwis znakomitego w naszym kraju męża kanclerza Jana Zamojskiego. Dalsze pokoje w znacznej części ozdobione są tkanem i kościami, między którymi jest jeden przez Feldmarszałka Wrangla z Polski tu przywieziony. Wielkość jego zajmuje wysoką komnatę od sufitu aż do podłogi, a świeżość kolorów do zadziwienia dobrze dochowana. Na tym kobiercu wyobrażone jest



NAGROBEK KATARZYN Y JAGIELLONKI W UPPSALI

drzewo, naokoło którego dziesięć tarcz herbownych zapewne herby kolligatów domu wyobrażają. Nad tem kapelusz kardynalski i biała wstęga z napisem: „Dominus pars hereditatis meae”. Nad dziesięcią herbami osobne napisy: „Gniewosz-Czerna-Tarliówna — Konińska — Magierówna — Ossolińska — Strzyżowska — Tęczyńska — Czarna Zawisza — Sienińska.” U spodu drzewa na białej wstędze napis: „Nicolaus Albertus ab Olexiow Gniewoszow Dei gratia Episcopus Vladislaviensis et Pomeraniae etc. 1645”.

Jedną z rzeczy, która mnie najbardziej zajęła, były to dwa chomaty wywiezione z Polski jako osobliwość przez Nilsona Brahe. Dotąd trudno było oznaczyć ubranie u nas powozowego konia za czasów Jana Kazimierza; a twierdzić można z pewnością że w całym naszym kraju podobnego zabytku dotąd nie przechowano. Oba są bardzo wielkiego rozmiaru. Jeden z nich, obity błękitnym axamitem, po bokach okryty ozdobami ze złożonego drzewa, ma dwa jeleńskie rogi na wierzchu osadzone; drugi innego kształtu, bez rogów, lecz niemniej ozdobny a dobrze zachowany. W następnej sali widzieć można dziesięć muszkietów kosztownych Polskich i szablę Księcia Józefa Poniatowskiego kupioną w Berlinie przez dzisiejszego dziedzica zamku Skokloster. Dwa buzdygany: żelazny i brązowy. Laska wysoka z kości słoniowej, ozdobiona złotem i kamieniami. Wierzech od pastorału emalowany. Wszystko to przez członków rodziny Brahe z Polski tu przywiezione. Przeszło sześć godzin strawiwszy w zbrojowni, starałem się widzieć wszystko i zapisać, co tylko do naszej odnosić się mogło historii. Rosyjskich tu rzeczy prawie niema. Szczęśliwi oni byli w zatargach swoich ze Szwedami i krzywdy swoje z lichwą powetowali. Starożytny, niezbyt obszerny, murowany kościół jest jedynym pomnikiem byłego tu niegdyś katolickiego klasztoru. Podłoga wymoszczona marmurem krajowym. W pośrodku jest kamień z wyobrażeniem rycerza i runicznym napisem. Wnętrze ubogie i skromne; ołtarz tylko, ambona i kilka posągów, wszystko to wybornej rzeźby i roboty, przywiezione tu z klasztoru w Oliwie pod Gdań-



ZAMEK W KRIPSHOLM – MIEJSCE URODZENIA ZYGmunTA III

(FOT. REPR. J. HAJDUL)

skiem, a zabrane przez Wrangla w czasie traktatu (1660), Szczęśliwi Szwedzi! oni nigdy najciszej nieprzyjaciół na swojej ziemi nie znali. Ich zamków, grobów i prochów ojców nikt, jak oni u nas, nie powywracał!

Burza nas niosła w samym środku Bałtyckiego morza, a jednak ze Skokholmu w najpiękniejszą odpływałam pogodę. Ledwie świtać zaczynało, ujrzeliśmy brzegi wyspy Bornholm, a na niej, zrujnowany zamek królewski, którego nawet szczątki były jeszcze wspaniałe. W Kalmar mieliśmy zatrzymać się trochę. Długo oczekiwana chwila nadeszła, i starożytne miasto z historycznym swym zamkiem były już przed nami. Zamiast o 6 zrana, ledwo o 2 po południu przybyliśmy do Ystad. Miasto to ma port kupiecki i ledwie 5000 liczy mieszkańców. Już byłam w wygodnym hotelu, gdy grzmoty i pioruny wznowiły trwogę; ale ja, siedząc pod oknem i widząc nasz okręt Gauthiod odpływający do Lubecki, żartowałam sobie z niebezpieczeństwa, i tak byłam kontent i spokojny będąc już na lądzie, taki zdrow po tej nieznosnej morskiej chorobie, że mi odrazu i wesołość i siły powróciły. W parę godzin odwiedził mnie Konsul Rossyjski Pan Hemberg. Był on osobistym przyjacielem Pana Nilsson; a wiedząc, że go chciałam poznać, posłał umysłowego na wieś dla wywiedzenia się, czyby uczony Professor nie był obecnym w swojej parafii (Pan Nilsson jest razem proboszczem w okolicy Ystad). Uczynny Konsul, zamiast niegodziwych wozów pocztowych, kazał przygotować mi pojazd resorowy; przeznaczył służącego do ułatwienia przejazdu i tłumaczenia krajowego języka; posłał zalecenie przygotować konie; jednym słowem, wszystko mi do podróży ułatwił. Nazajutrz odwiedziłam go, żebym mu podziękowała za jego grzeczność; Uprawa roli w Skanii jest wzorowa. Sami Szwedzi powiadają, że od Skanii Europa się zaczyna. Prowincja ta, przez Karola X Gustawa na Duńczykach zdobyta i Szwecji powrócona jest bez zaprzeczenia najbogatszą i najżyźniejszą z całego kraju.

Nazajutrz w towarzystwie Panów Nilsson i Rietz udałam się do gmachu uniwersyteckiego. Dwa tylko Szwecja liczy Uniwersytety: jeden w Lund, drugi w Uppsali. Karol X Gustaw na kilka lat przed zgonem Skanię Szwecji przywrócił. Następca jego Karol XI, nie mogąc inaczej odciągnąć młodzieży od pobierania nauk w Kopenhadze, założył tu osobną Wszechnicę, ażeby Szwedzi we własnej wychowywani byli ojczyźnie. Obecnie liczba młodzieży dochodzi pięciuset osób. Od czasu założenia Uniwersytetu w roku 1666 widziano to coraz bardziej rozkrzewiane i podnaszane nauki wspaniałomyślnością Panujących i gorliwością wychowawców, pamiętnych na to, że na jednej z Tycho-Brache, Linneuszem i Berzeljusem urodzili się ziemi. Biblioteka Uniwersytetu obecnie 80,000 tomów liczy. Jej kamieniem węgielnym był księgozbiór zabrany z Olomuńca w Morawji w czasie trzydziestoletniej wojny. Również też przewieziono tu znaczną ilość dzieł będących niegdyś własnością syna Zygmunta III, Jana Alberta Biskupa Krakowskiego i Kardynała. Z nowszych odnoszących się do Polskiej historii są Pamiętniki Michała Ogińskiego, i kilka ulotnych pism w języku Szwedzkim drukowanych, opisujących ważniejsze wypadki z dziejów naszego kraju, żywoty znakomitych w Polsce ludzi, i wiadomość o byłym w Willnie Uniwersytecie z wyszczególnieniem imion dobre lub złe odgrywających role. Sympatja, jaką Szwedzi dla nas mają, nastreczyła myśl tłumaczenia dzieł francuzkich na język Szwedzki; jakowej to pracy Pan Edward Berlinger, Pomocnik Bibliotekarza Uniwersytetu w Lund, oddany, wiele już pism w przedmiocie historii Polskiej drukiem ogłosił.

Alle najbardziej interesującą pomiędzy rękopismami jest księga Cancellarii Zygmunta Augusta, w której metryka korespondencji królewskich z roku 1562 się znajduje. Księga ta, dużego formatu, oprawna jest w skórę w różne ozdoby wyciskaną, wśród których

taki znajduje się napis: Regestrum Cancellariae Regiae magestatis Anni D-ni MDLXII; a niżej trochę te słowa: Liber primus Sigismundi Augusti Regis Poloniae literae ad diversos. Z biblioteki przeszliśmy do gabinetu monet i medalów. Talary panującego w Polsce domu Wazów i królów elekcyjnych, aż do Stanisława Augusta, nie są tu kompletnie zgromadzone. Współczesny medal Tenczyńskiego i Cecylji, zdaje się, że dółtem jest wyrobiony.

Trzeba bardzo przywyknąć do Szwedzkiej kuchni, ażeby nią nie przykryć. Wszystkie potrawy tak są słodkie, że nam, przywykłym do kwasów, znieść prawie tego nie podobna. Dom Hrabów de la Gardie, przestrzegając surowie wszystkiego, co tylko narodem było, w całej surowości krajowe zwyczaje nad kuchnią swoją rozciągnął. Prawda, że wety były wyborne; ale zupa w tak gwałtowny sposób zasłodzona, że szczawik zupełnie nawet smak swój utracił. Kładąc łyżkę, mimowolny uśmiech przebiegł po mojej twarzy, gdy mi na myśl przyszło dowcipne Żółkowskiego w Momusie mniemanie, że Szwedzi muszą bardzo zupełnie przeciwne o tem zdanie powziąć. Dobre francuzkie wina, świeże owoce, były prawdziwą okrasą tej uczy.

Nazajutrz o piątej rano potrzeba było odjechać do głównego miasta tej prowincji Malmö, odległego od Lund o jedną pocztową stację, i tam przesiąść na okręt mający mnie przewieźć do Kopenhagi. Dni kilka miałem po długiej i przykrej wędrówce, w przyjemnej stolicy Danji odpocząć. Z Lund już wieść Kopenhagi widzieć można było. Przejazd tam z Malmö nie trwa więcej nad parę godzin. — Jutro będę w Kopenhadze — myślałem sobie, z uczuciem strudzonego marszem żołnierza, który o zimowych marzy kwaterach.

August Strindberg

Przetł. Zygmunt Łanowski

ŚLUBOWANIE

Vestman z Nedergard wyszedł szkunerem do Norwegii i dotarł aż do Lofotów. Tam spotkał statki wielorybnicze i zapoznał się nieco ze sposobami wielorybników poławiania wally za pomocą harpuna. Gdy wrócił do domu, na swoją wyspę, przyszło mu na myśl żeby zastosować zdobyte nauki do rodzinnych połowów fok, które ustawicznie malały z powodu odstraszającego oddziaływania wystrzałów z fuzji na spłoszoną zwierzynę.

W tym celu postąpił w następujący niezbyt przemysłowy sposób, z wynikiem którego ani on, ani nikt inny nie mógł przewidzieć. I stało się to załazkiem przygody, o której jeszcze do dziś krążą legendy na szkiełkach.

Pewnego wieczora późną wiosną Vestman wziął płaskodenną łódkę, wsadził do niej syna i wyszedł na zewnętrzny pas szkieł, gdzie fokki zwykle wyłaziły na ląd i wygrzewały się na słońcu. W celu przeprowadzenia tych swoich dziwnych łowów zabrał też z sobą oścień na wydry, który zazwyczaj służył do wypłaszania wyder z górskich szczelin, i przyrząd ten umocował na sposób wielorybniczy na dziobie łodzi do liny na kołowrotku. Jak się zbliżył do płochliwych zwierząt, żeby ugodzić je tym improwizowanym harpunem, tego nie wiedział ani on sam, ani nikt inny, ale jego przyjaciele uważali, że jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści. Plan kampanii został więc ułożony tak, że chłopak miał iść od ładu z fuzją, sam zaś Vestman miał

podsunąć się łódką między zwały kry i tam czatować na uciekające zwierzęta, które nie mogły poruszać się zbyt szybko z powodu chropowatego dryfującego lodu, który spiętrzył się przy brzegu.

Wysadził więc chłopca na ląd tuż przed zachodem słońca, a sam wziął się do wiosel, których pióra owinał wełnianymi skarpetkami, żeby nie pluskały, a na odzież włożył białą koszulę, żeby go nie było widać. I pod osłoną przybrzeżnych skalistych wysepek i zwałów lodu dotarł pod wydmy na brzegu, gdzie wymwa wskazywała, w którym miejscu zwierzęta wyszły na ląd i, którzy prawdopodobnie będą musiały wracać, gdyż w lodzie nie było widać żadnej przebiegli.

Vestman siedział więc tam dobrze schowany trzymając oścień gotowy do rzutu tak długo, aż mu zmarzły palce, i zaczynał już się zastanawiać, czy jednak ten stary sposób poławiania na fokki z jednorurką nie był lepszy. Fokki były tam, bez najmniejszych wątpliwości, i słyszał ich szczekanie, ale czy wybiorą akurat ten niebezpieczny szlak, by dostać się do wody, to jeszcze wielka kwestia.

Paf! Huknął strzał na lądzie za ścianą sosen, coś gwizdnęło w powietrzu, coś plusnęło w morzu, po czym rozległo się dyszenie i prychnięcie, a potem klapanie po lodzie tak, jak gdy ludzie bosymi stopami biegają po podłodze.

I zanim Vestman zdążył się opamiętać, jak głupia w gruncie rzeczy była cała ta historia, przez wyrwę w wydmy wyrwał wlochały łeb, uniósł się w górę i rzucił się do wody, ale tymczasem oścień trafił zwierzę w sam środek ciała. I natychmiast napięła się lina; łódź szarpnęła, aż myśliwy zatoczył się i runął na rufę, a łódź poszła ostrym tempem w morze.

To ci była jazda!

Vestmanowi wydało się to zrazu czymś nowym i zabawnym i pomyślał sobie jaka to będzie wspaniała myśliwska historia; no i uważał, że swój łup ma już jakby w garści. Ale potem zobaczył, że obok przemknęły skaliste wysepki przybrzeżne, a jego własna chata zniknęła w dali.

— Bywajcie, na razie — kiwnął głową w stronę brzegu — niedługo wracam!

Łodzią rwała i miotano, ale na razie jeszcze nie było widać żadnego niebezpieczeństwa, dopóki nie wyszli poza ostatnie skałki i nie stracili kontaktu z lądem. Była tam lekka fala i słońce już zachodziło, gdyż wyglądało jak czarna okrągła tarcza na horyzoncie.

— Jeszcze kawalek, w najgorszym razie odetną linkę — pomyślał Vestman.

I pruli w morze dalej. Ale łódź zaczęła się teraz kołysać. Fale były w jej dziób i łódź nurzała się w nich nosem.

— Jeszcze troszkę! — pomyślał Vestman, który nie bardzo chciał poświęcić pewny łup i pogodzić się z tak mizernym zakończeniem pięknie rozpoczętego połowienia.

Fale rosły, na niebie zapalały się gwiazdy. Wciąż jeszcze jednak mógł dostrzec siekiere, leżącą na dziobie łodzi i stanowiącą jego nadzieję, gdyby sprawy zaszły za daleko.

— Pruj, pruj, staruszu! Niedługo się zmęczysz, jak cię znam! — mruczał przemarznięty myśliwy, tęskniąc by wziąć się do wiosel dla rozgrzewki.

W tej chwili poczuł, że przemoczył nogi, i usłyszał że łódź szura dnem o mieliznę.

— No to dajemy drapak! — nakazał sobie i podniósł się z ławeczki, żeby wziąć siekiere i odciąć linkę, ale natychmiast uśiadł znowu, bo gdy tylko opuścił swoje miejsce, fokka wciągnęła dziób łodzi pod wodę.

Po kilku bezowocnych próbach doczołgania się na dziób łodzi Vestman zdał sobie sprawę, że musi zostać w pozycji siedzącej i jest wydany na łaskę zwierzęcia, i że zależy od kaprysu fokki, czy utonie czy też uda mu się wrócić do domu.

Sprawa przestała być zabawna i upadły na duchu myśliwy uświadomił sobie powagę



Prof. dr Władysław Czapliński urodził się 3. X. 1905 r. w Tuchowie w rodzinie urzędniczej. W roku 1923 skończył gimnazjum w Tarnowie. W latach 1923–27 odbył na Uniwersytecie Jagiellońskim studia historyczne i polonistyczne pod kierunkiem Władysława Konopczyńskiego i Ignacego Chrzanowskiego. Po studiach rozpoczął pracę nauczycielską w szkołach średnich w Tarnowie i Krakowie. Habilitował się w roku 1938. W czasie II wojny światowej pracował w szkolnictwie tajnym na stopniu uniwersyteckim i średnim. W roku 1945 rozpoczął wykłady w Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1946 zaproszony do Uniwersytetu Wrocławskiego obejmuje stanowisko profesora w katedrze historii powszechnej, które piastuje do dnia dzisiejszego. Jego dorobek obejmuje około 280 pozycji bibliograficznych. Ważniejsze publikacje to:

- „Opozycja Wielkopolska po krwawym Potopie”, Kraków 1930,
- „Władysław IV wobec wojny trzydziestoletniej 1637–1645”, Kraków 1937.
- „Polska a Prusy i Brandenburgia, 1632–1648”, Wrocław 1947,
- „Polska a Bałtyk 1632–1648”, Wrocław 1952,
- „Dwa sejmy w roku 1652”, Wrocław 1955,
- „Dawne czasy. Opowiadania i szkice historyczne”, Wrocław 1957,
- „Na dworze Władysława IV”, Warszawa 1959,
- „Historia Danii” (razem z K. Górskim), Wrocław 1965,
- „O Polsce XVII w.”, Warszawa 1966,
- „Podróż młodego magnata do szkół” (razem z J. Długoszem), Warszawa, 1969. (U. O.)

ZWIĄZKI POLSKO-SKANDYNAWSKIE

Z prof. Władysławem Czaplińskim rozmawia Urszula Orzewska

— *Kontakty osobiste Pana Profesora z krajami skandynawskimi datują się od dawna. Czy wynikiem ich jest naukowe zainteresowanie problematyką tych państw?*

— Wielokrotnie przebywałem w Skandynawii jeszcze przed wojną. Po raz pierwszy byłem w Danii w 1935 r., potem dwukrotnie w Szwecji w 1937 i w 1939 r. — tuż przed wybuchem II wojny światowej. Początkowo wyjazdy moje związane były z zainteresowaniami, dotyczącymi wyłącznie stosunków polsko-duńskich i polsko-szwedzkich. W związku z tym wypłynęła druga niezwykle ważna rzecz — badanie dziejów floty polskiej. Zarówno w Szwecji jak i w Danii znalazłem na ten temat wiele ciekawych materiałów. Dopiero w czasie drugiego mojego pobytu w Szwecji zainteresowałem się historią tych państw i w 1939 r. powróciłem do kraju z planami i zamiarem napisania pracy traktującej już nie o związkach polsko-skandynawskich, ale tylko o problematyce naszych północnych sąsiadów. Niestety, wskutek wojny plany te musiałem odłożyć na później. Również po wojnie w 1958 r. wyjeżdżałem do Szwecji i Danii w związku z interesującymi mnie zagadnieniami problematyki całego basenu bałtyckiego. W r. 1960 uczestniczyłem w Międzynarodowym Kongresie Historyków w Sztokholmie. W 1963 r. wyjechałem do Danii w poszuki-

waniu materiałów do mojej pracy o historii tego kraju, a w r. 1968 zostałem zaproszony przez Uniwersytet Kopenhaski, gdzie wygłosiłem cykl wykładów.

— *Wspomniał Pan, Panie Profesorze, o „Historii Danii”, którą wspólnie z Karolem Górskim zainicjował Pan cykl prac poświęconych dziejom Skandynawii.*

— Tak, była to pierwsza praca, przedstawiająca dzieje tego kraju od zarania do 1945 r., napisana w języku polskim. Potem napisałem małą rozprawkę pt. „Początek kwestii bałtyckiej w XVI wieku”.

— *Nad jakimi zagadnieniami pracuje Pan Profesor aktualnie?*

— Przygotowuję rzecz o rozwoju stosunków polsko-duńskich w II połowie XVII i I połowie XVIII wieku, a na zamówienie Instytutu Bałtyckiego w Gdańsku piszę o ruchu oporu w Danii w czasie II wojny światowej. Mam przygotowaną już pierwszą redakcję i niedługo praca ta, oparta na literaturze, ale i w dużej mierze na źródłach, powinna się ukazać.

— *Dania nie odegrała zbyt wielkiej roli w czasie II wojny światowej. Dlaczego właśnie ta sprawa zafrapowała Pana Profesora?*

— Tak, Dania w porównaniu z Polską znacznie mniej ucierpiała w wyniku II wojny światowej. Liczba wyroków śmierci wydanych przez Niemców sięga zaledwie stu kilkunastu osób. Nie znaczy to o-

czywiście, że nie było więcej ofiar. Duńczycy to naród wrogi wojnie, marzący o neutralizmie, niesłuchanie legalistycznie nastrojony, a stworzył jednak spiskowy rząd, prężnie działające podziemie. Właśnie ów moment przebudzenia większego patriotyzmu interesuje mnie szczególnie. Zresztą w czasie mego pobytu zauważyłem pewne podobieństwa między nimi a nami. O wiele łatwiej porozumieliśmy się z Duńczykiem, niż na przykład ze Szwedem. Na temat ruchu oporu istnieje w Danii przebogata literatura, że wymienię chociażby bardzo dokładną i drobiazgową „Encyklopedię Ruchu Oporu” czy „Antologię prasy podziemnej”, pracę, której u nas jak dotąd, niłkt się nie podjął.

— *Jak ocenia Pan Profesor stan badań skandynawistycznych w Polsce?*

— Należy wymienić tu głównie trzy ośrodki: Poznań, Toruń i Warszawę. W Poznaniu, to przede wszystkim prof. G. Labuda, autor pracy zatytułowanej „Źródła sagi i legendy do najdawniejszych dziejów Polski” oraz doc. Ślaski. Naukowcy poznańscy sporo uwagi poświęcają nowożytnej historii Danii, a szczególnie sprawie Szelewiku i Holsztynu. W Toruniu problemami skandynawskimi zajmuje się Karol Górski — współautor historii Danii i paru młodszych historyków, jak dr dr Małłek i Nowak. W Warszawie zaś grupa ludzi, skupiona wokół prof. Mariana Małowista. ■

sytuacji. By jednak dodać sobie otuchy chwycił za wiosło i wytknął je za rufę, wmawiając sobie, że steruje łodzią. Jest on to jednak robił, lecz zwierzyzna, która wciąż pruć ostro kierując się prosto na morze.

— Jak wyjdę z tego żywoty, to do licha... Foka zrobiła kilka pętli i Vestman przebrał w pół przekleństwa, gdyż trzeba było wciągnąć wiosło i wziąć się do czerpaka, żeby wylewać wodę z łodzi.

Gdy już tego dokonał, znowu wysunął wiosło i zaraz poczuł się spokojniejszy, zupełnie jak gdyby to on sterował łodzią.

Tymczasem gwiazdy zgasty i zaczął padać deszcz zmieszany ze śniegiem, tak że Vestman wkrótce nie mógł już dostrzec siekiery, lecz siedział otulony z wszystkich stron szarym tumanem. A łódź pruća naprzód i naprzód, lecz wiatr — zdawało się zmieniał kierunek, gdyż fale były teraz nieco z boku; wiatr skręcał stopniowo coraz bardziej.

Vestmana obleciał strach! I nie przerywa-

jąc wylewania wody czerpakiem, myślał o żonie i dzieciach, o chacie i polu i inwentarzu, no i o życiu wiecznym, które czekało go z całą pewnością; myślał też, że nie był w kościele od ... hm, Bóg wie ilu już lat, sam nie pamiętał, ale chyba od tego roku, co to grasowała cholera — i że nie chodził do spowiedzi — w tej chwili burta odwiezła na otarła się o krę drifującego lodu. Jezu Chryste! Zmiliuj się nad biednym grzesznikiem! — Nie! Wszystko już dawno zapomniał... Ojcie Nasz, który jesteś w niebie... niech się dzieje wola Twoja jako na niebie... ech, i to także zapomniał! — — —

Jakie długie te godziny i tyle ich; nie trzeba chyba więcej żeby dotrzeć do Wysp Alandzkich przy tym wietrze; ale jeśli natknę się na dryfujący łódź, będzie musiał skrócić do Gotlandii albo wejść do Zatoki Botnickiej! Nim jednak do tego dojdzie, on zamarznie na śmierć.

Zsunął się na dno łodzi, by szukać osko-

ny przed lodowatym wiatrem, a gdy znalazł się na klęczkach, umiał już całe Ojcie Nasz, i odmówił je głośno ze dwadzieścia razy; a za każdym razem, gdy dochodził do „amen”, nacinał mozem karb na brzegu łodzi. I słysząc swój głos, uspokajał się, bo miał takie uczucie jakby z kimś rozmawiał i jakby ktoś do niego mówił, a słowa modlitwy wzbudzały wspomnienie mnóstwa ludzi zgromadzonych w kościele, których widział teraz przed sobą, pocieszających go, robiących mu wyrzuty. Widział tam Gelinów, z którymi wybrał się kiedyś po węgiel kowalski z zatopionego brygu, co nie było tak bardzo w porządku, ale co dało się bronić, dalej widział... — w tej chwili poczuł ostre szarpnięcie w linie na dziobie łodzi. Jezu Chryste! — jak wyjdę z tego żywoty, ślubuję, Bóg mi świadkiem, ufundować nowy siedmioramienny świecznik z czystego srebra — cały spadek dla dzieci — dla kościoła — z czystego srebra — Boże błogosław i broń nas od złego, Boże! zwróć ku

nam łaskawe oblicze i zmiłuj się nad nami...

Przez mgłę widać było światło, prosto na przodzie, duże, ale zamazane jak w rogowej latarni!

— To latarnia morska w Hangö na wybrzeżu Nylandii! — pomyślał Vestman. — Mogłem się być domyślić, że to trwa już dwanaście godzin, bo wydawało się jakby to trwało tydzień!

Znów zaszurało pod łodzią, która raptownie zatrzymała się, tak że Vestman poleciał do przodu, i wszystko się uspokoiło.

Siedział bez ruchu i czekał, aż zobaczy wschodzące słońce i dzień wstający na wschodzie, marzył i modlił się do Boga, ślubował i zaklinał się na wszystkie świętości, że ufunduje srebrny świecznik, który miał kosztować dwieście talarów i mieć wybitą próbę, a siedem ramion będzie miało ozdoby na tulejkach i profitykach, obiecywał też zawiesić ten świecznik na sznurze z kryształowymi kulami, a gdy ludzie go zobaczą, będą mówić: patrzcie, to wotum, które Eryk Vestman z Nedergard ślubował w potrzebie na morzu, ten Vestman, co to mu Pan Bóg tak miłościwie dopomógł w ciężkim położeniu anno tysiąc osiemset pięćdziesiąt dziewięć! Bóg dopomógł mu tak miłościwie i łaskawie, powtarzał w duchu raz po raz, aż w końcu w to uwierzył, i przepełniony wdzięcznością odmówił pierwsze słowa modlitwy „Chwała i dzięki niech Ci będą Panie Boże!” Bóg dopomógł mu, całkiem na pewno, gdyż ten świecznik wisiał tam w kościele i ludzie mówili, mieli mówić, jeszcze nic nie powiedzieli — o, teraz zgasła latarnia morska... Panie Jezu, który chodząc po wodzie i nakazałeś fałom się uspokoić! — Uspokajały się teraz, uspokoiły się już przed dobrą chwilą, gdyż było teraz zupełnie spokojnie, i to było dziwne, bo dopiero co całe morze było wzburzone i fale były niebezpiecznie całkiem niedawno, to znaczy wczoraj wieczorem, bo wnet będzie ranek, musi niebawem być ranek, skoro on mógł tak cholernie zmarznąć w stopy i był taki głodny i zaraz dostanie gorącej kawy, gdy tylko wyjdzie w morze statek pilota, który musi wyjść w morze, bo o wschodzie słońca ma zawinąć statek, który krążył z dala od brzegu na pełnym morzu; ale dlaczego, o licha... dlaczego na wszystko w świecie zgasili tę latarnię akurat teraz, może już był brzask, choć nie widać tego z powodu mgły, całkiem na pewno, o ile rząd rosyjski nie miał innego regulaminu dla swoich latarni morskich; no tak, oczywiście że mieli, przypominał sobie coś teraz jak przez sen, coś tam, że Rosjanie mieli inny kalendarz starego stylu, patrzcie no, właśnie, oto wytłumaczenie, stary styl, według którego czas biegnie trzynastą dni przed czy później, to właściwie obojętne, bo i tak musi być ta różnica czasu, i z pewnością też jest, bo fińskie statki zawsze przychodziły o godzinę później niż zapowiadano telegraficznie, i dlatego pewnie oni zgasili latarnię godzinę przed wschodem słońca, który to wschód nastąpi zatem za godzinę. I wtedy Vestman zrozumiał dlaczego marznie tak okropnie, bo wszyscy co przechodzili febrę tak marzną przed świtaniem; ale jego zwierzę, foka, zachowywała się tak spokojnie i już wcale nie szarpała linki na kolowrocie, może po prostu urwała się z linki i poszła w morze! trzeba w każdym razie sprawdzić, bo tak tu siedzieć bez żadnego pożytku, to u dzi...

Vestman wytrzeszczył oczy przed siebie i zobaczył jak z mgły wyłania się coś ciemnego, kolczastego, niczym cały las masztów.

— Jezu Chryste, co to będzie, jeśli to flota rosyjska! Pewnie mnie zastrzelą albo zesłają na Sybir. I aż tyle ich! Mój Boże, toż to cały las.

Wstał i rozprostował kolana! Łódź kołysała się na boki, ale nie zanurzała się już dziobem w wodzie. Przelazł ostrożnie przez ławeczki na dziób; zobaczył, że lina jest napięta jak drut telegraficzny; wyszedł z łodzi, ujrzał ślady stóp, tupnął obcasem o

kamień... znajdował się na lądzie! A opodal widać było szpilkowy las!

— To ty, tata! — zapiszczał znany głosik z jakiegoś krzaka jałowca.

— Lutuś! A ty co u licha tu robisz!

— Ciekaw byłem, co się z tobą stało, tatku!

Vestman przetrzął oczy:

— Słuchaj no, a która godzina?

— Już będzie chyba koło ósmej, i nie było ciebie, tata, przez całą godzinę! Ojejku, ale też upolowałeś fokę!

Na skale leżała foka z ościem na grzbiecie, martwa, wykrwawiona, po odbyciu rej-

su w morze i zawróceniu do brzegu skutkiem gwałtownej fali.

Jeszcze do dziś opowiadają o tej przygodzie jako o najcudowniejszej na całym archipelagu szkieł, niemal takiej, jak saga o węzu morskim, a ten, kto nie chce wierzyć, może pójść do kościoła w Nedergard i obejrzeć mały świecznik, który wisi tam pod organami na wieczną pamiątkę cudownego zbawienia byłego pilota Vestmana z nader niezwyklej morskiej potrzeby, gdy tenże mając śmierć przed oczyma ślubował Panu dla dobra i pożytku chrześcijańskiego zgromadzenia ofiarować ten cynowy świecznik.

Edwin Rozenkranz

WALDEMAR IV ODNOWICIEL

DANIA W WALCE Z NAPOREM NIEMIECKIM (1332 — 1375)

Rola Danii wśród krajów średniowiecznej Europy nie może być mierzona powierzchnią tego kraju (68.500 km²), lecz liczbą ludności. Stosunki demograficzne, panujące w Danii, spowodowały ekspansję ogarniającą od VIII do początków XI w. całą niemal Europę zachodnią a kronikarze tego okresu uskarżali się, że „wszędzie było ich pełno”. Nawet modły zanoszono „o ratunek przed Normanami”. Badania historyka duńskiego A. Nielsena wykazały, że ludność



WALDEMAR IV ODNOWICIEL (1340–1375) — FRESK W KOŚCIELE W RØSKILDE (FOT. REPR. A. KLEJNA)

Danii w X do XII w. wzrosła w granicach od 800.000—1.100.000 mieszkańców. Był to więc kraj co najmniej równy Polsce i Anglii, a ludniejszy od Szwecji i Norwegii.

Dzieje średniowiecznej Danii wykazują wyjątkowo wyraźne okresy ekspansji i upadków. Za panowania Kanuta Wielkiego (1014–1036) budowana przez trzy pokolenia Monarchia Północy obejmowała Danię, Norwegię, Anglię, Normandię i posiadłości nadbałtyckie, by upaść już za jego następcy. Za Waldemara I (1157–1182), Kanuta VI i Waldemara II Zwycięzcy (1202–1241) znów pojawia się duńskie imperium nadbałtyckie, by upaść za jego 3 synów i następców w ogniu walk feudalnych i agresji niemieckiej.

Od schyłku XIII w. Danię ogarnia fala anarchii feudalnej, wśród której pojawiają się tendencje do rozbicia dzielnicowego, silna opozycja możnowładztwa i wreszcie wojna

domowa. Po śmierci Eryka VI przez rok zwlekano z elekcją jego następcy — Krzysztofa II w r. 1320. Nieudolny władca nie potrafił pokierować zadłużonym państwem, a nawet zaciągał dalsze pożyczki, zastawiając zamki i dobra koronne swoim, a całe ziemie obcym feudalom. Usamodzieliło się księstwo szlacheckie, pod wpływem działań zbrojnych Holsztynu wyodrębniła się środkowa i północna Jutlandia, Pomorze anektuje w r. 1319 duńska dotąd Rugie, hanzeaci okupują półwysp Skanoer, Holsztyńscy i Sasi trzymali jako zastaw Skanię, a pomniejsi wierzyciele pozajmowali poszczególne wyspy. Tak więc nastąpił całkowity rozbiór Danii poprzez rozgrabienie ziem i dóbr. Ponieważ w krytycznych chwilach, próbując ratunku, Krzysztof II zastawił niemal wszystkie pozostałe dobra królewskie, niezależnie więc od zewnętrznej agresji, zabrakło wręcz podstaw materialnych do odbudowy monarchii. W r. 1325 wybuchło powstanie ludowe w Jutlandii, a podstępny hrabia Holsztynu, Gerhard, rozbił wojska królewskie pod Gottorpem. Wiosną 1326 r. król z rodziną ucieka z Danii. Feudalowie niemieccy kreują marionetkowego króla, a dla uzyskania korony księcia Waldemarowi III z Jutlandii, który abdykował już w r. 1330. W lutym tegoż roku na krótko powrócił Krzysztof II, by ponownie objąć władzę. Próba zbrojnego usunięcia rozpanoszonego w Danii Niemców nie powiodła się. Całą północną Jutlandię wraz z wyspami fryzyjskimi wzięli hrabiowie Holsztynu jako zastaw, podobnie i wyspy Fionii oraz Aröe. Wyspę Laaland zajął hrabia Jan z Holsztynu, wyspę Taosing — książę saski Albrecht, w ręku Niemców znajdowała się, jako zastaw, cała Skania, aż mieszkańcy znuczeni obcym wyzyskiem dokonali słynnej rzezi Niemców w Lund; cały kraj wraz z wyspą Lesö oddali pod zwierzchnictwo króla Szwecji Magnusa.

Król Krzysztof utracił dochody, posiadłości i władzę wysłał swoich synów na dwór cesarza Ludwika Wittelsbacha, a sam znalazł łaskawe schronienie u swojego krewniaka w zamczku Saxköppling na wyspie Lolland, wszak i tu doścignęli go Niemcy i dokonawszy napaści, podpalił jego rezydencję. Z powodu doznanych w czasie napaści i pożaru — obrażeń, zmarł 2 VIII 1332 r.

Przez osiem lat po śmierci Krzysztofa II utrzymywał się w Danii stan wielkiego bezkrólewia. Nie było to wszakże zwykłe interregnum, gdyż nie tylko zabrakło osoby króla, ale zniknęły również wszystkie urzędy królewskie i organa ogólnokrajowe (Riksråd, Danehof i Landtingi). Zniknęły królewskie siły zbrojne i zamknięto mennice. Poszczególne prowincje wyzyskiwali niemieccy feudalowie, a od r. 1332 Skania przeszła w skład korony szwedzkiej. Poszczególne zamki i dobra królewskie przejęli obcy lub krajowi feudalowie. Również miasta hanzeatyckie zajmowały bądź ważne punk-

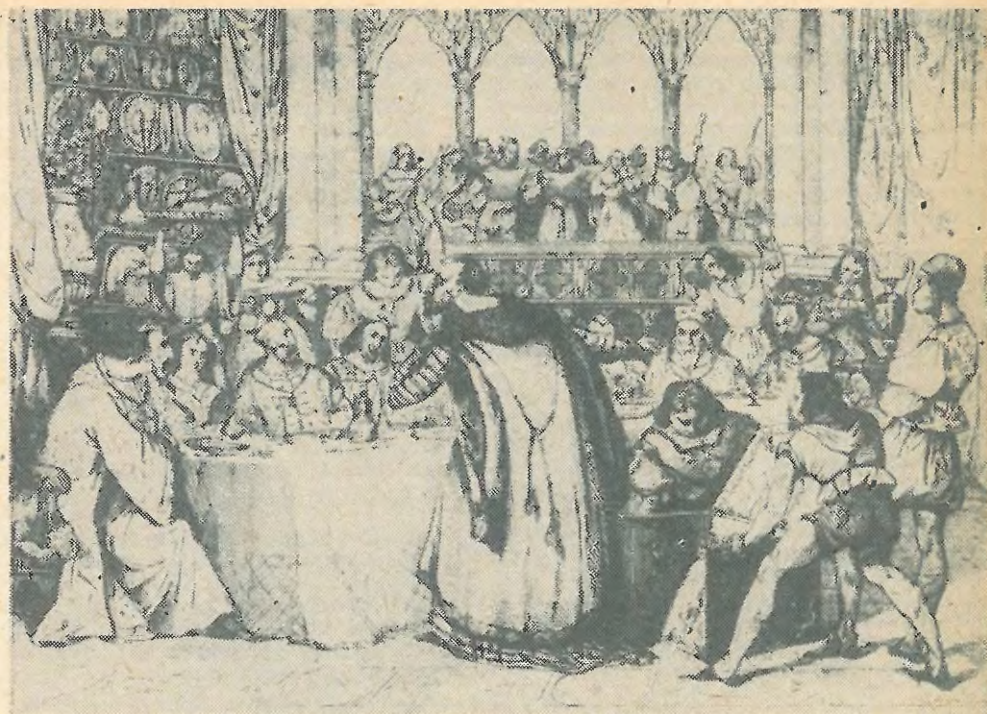
ty, bądź eliminowały handel duński. Największe jednakże ciężary spadły na barki ludności wieśniaczej. Szybko zmniejszała się także pokaźna dotąd liczba wolnych chłopów. Na lądzie i morzu pojawia się rozbój. Rosną ciężary na rzecz obcych, nie omijające rycerstwa i duchowieństwa. Hrabia Holsztynu, Gerhard, spełniał rolę bicia królestwa. Niebawem zagrabione tytułem zwykłego zastawu ziemie nazywać począł swoim królestwem, a jego brak umiaru doszedł do zenitu odkąd bezprawnie przyjął tytuł księcia Jutlandii.

Tymczasem w społeczeństwie duńskim, zaślępienym długotrwałą walką z wyzyskującym je lub ograniczającym prawa królem, rodzi się znacznie silniejsza niechęć do obcych. Jako pierwszy na znak protestu udał się do Bawarii, by towarzyszyć młodemu królewiczowi Waldemarowi, biskup Sven z Aarhus, a jego sąsiad z Børglum rzucił klątwę na Holsztyńczyków. Niebawem doszło do tarć między księstwem szleswickim a Holsztynem. Wzniciło to stan wrzenia wśród chłopów i rycerstwa północnej Jutlandii. Hrabia Gerhard przewidując powstanie, składał niewykonane przyrzeczenia i wczesną wiosną 1340 roku zebrał liczącą ponad 6000 zbrojnych armię zaciężną, złożoną wyłącznie z Niemców, których skoncentrował w środkowej Jutlandii.

Wobec przytłaczającej przewagi obcych interwentów w obozie duńskim, wysunął się przyszły bohater kraju, Niels Ebbesen. Wobec braku szans na zwycięstwo w otwartym boju, podjął niezwykle plan. Wraz z dwoma giermkami udał się do obozu wroga w Randers. Kwatera hrabiego znajdowała się w tamtejszym zamku, otoczonym obozem wojskowym. Ebbesen z towarzyszami zmylił czujki i strażę i wkradłszy się do zamku, uśmiercił w nocy na 1 kwietnia 1340 r. zniechęconego ciemniaczem ojczyzny i to w samym centrum rycerskiego obozowiska, po czym pomyślnie powrócił do swoich.

Skutki tego czynu okazały się poważniejsze, aniżeli przypuszczano. Armia holsztyńska rozpadła się. W dniu 19 maja 1340 r. na rozmowy z Holsztynem przybył z wygnania do Lubeki ks. Waldemar popierany przez cesarza Ludwika. Uczestniczące w zjeździe władztwa feudalne uznały jego prawa do korony duńskiej. Ale tylko mały skrawek północnej Jutlandii, obejmujący trzy gminy (syssel), przypadł monarsze. Natomiast wykupić miał z zastawu Jutlandię i Fionię za ogromną sumę 100.000 grzywien. O pozostałych posiadłościach dawnej korony, w Lubece nie było w ogóle mowy.

Hrabia Holsztynu Jan oraz jego sprzymie-



WALDEMAR IV PODCZAS UCZTY U WIERZYŃKA W KRAKOWIE

rzeńcy w toku pertraktacji lubeckich oskarżyli młodego księcia, jako winnego śmierci hrabiego Gerharda. Mimo złożenia przysięgi niewinności zmuszono Waldemara do zobowiązania się, że nigdy nie udzieli pomocy, ani nie przyjmie do łask bohaterskiego Nielsa Ebbesena, pozostającego na obszarach objętych zastawem holsztyńskim, gdzie teraz dopiero rozszalało bezprawie. W jesieni 1342 r. wybuchło tu pod dowództwem Ebbesena kolejne powstanie chłopów. W krwawej bitwie pod Skanderborgiem uległ on przeważającemu siłom niemieckim i stracił życie 2 listopada 1342 r.

W lipcu 1340 r. Danehof dokonał elekcji króla Waldemara IV. Wkrótce odbyła się koronacja i wydanie przywileju o przywróceniu wszystkich stanów i osób do dawnych praw i puszczeniu w niepamięć przewinień wobec dynastii Estridsenów. Natomiast nie podpisał młody monarcha ograniczających go kapitularzy wyborczych. Wykazał teraz, że wieloletni pobyt na cesarskim dworze spędził owocnie. Wystąpił zarówno jako dyplomata jak i polityk. Życzliwym mu, a po-

szukującym w nim sprzymierzeńca do ukrócenia rozpanoszonego rozbój, miastom hanzeatyckim zatwierdził ich dawne przywileje, ale tylko jako okresowe. Niezwłocznie też zawarł układ ze Szwecją, godząc się w r. 1341 na dokonaną w 1332 r. cesję terytorialną. W ten sposób mógł skoncentrować swoje, a ściślej tylko przysłane przez cesarza drużyny na walkę z książętami niemieckimi, która wypełniła jego 35-letnie panowanie. Skoncentrował całą uwagę na odzyskanie serca korony duńskiej — Zelandii. Wkrótce wykupił królewską rezydencję — zamek Vordingborg. W latach 1342/1344 ze zmienionym szczęściem toczył walki z Holsztyńczykami, po trzeciej próbie zdobycia, odzyskał upragniony zamek Kalundborg. Wyspy fryzyjskie po 14 latach same wróciły do korony, a w drodze pertraktacji odzyskał również wyspę Falster. Wobec wznowienia starć z Holsztynem i sprzymierzoną z hrabstwem Szwecją, król Waldemar w jesieni 1346 r. przybył do Malborka i sprzedał Zakonowi prawa do Estonii za 19.000 grzywien. Teraz Waldemar łatwo odzyskał Fionię, dalsze prawa na półwyspie i w Zelandii. Wprawdzie w r. 1347 odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, ale o sprawach państwa pamiętał. W sprawozdaniu złożonym wobec zwołanego w r. 1349 do Roeskilde Danehofu, rozliczył się z gospodarki dochodami korony tak, że parlament, w skład którego dawnym zwyczajem wchodziły wszystkie stany, uchwalił mu znacznie wyższe podatki na potrzeby kraju.

Tymczasem lata 1349 i 1350 przyniosły zagrożenie panowaniu sprzymierzonych Witelshbachów w cesarstwie oraz w Marchii Brandenburskiej. Waldemar bezskutecznie usiłował wesprzeć swoich sprzymierzeńców zbrojnie. Wobec braku wyników zdecydował się na podróż dyplomatyczną po krajach Europy. W listopadzie 1349 r. bawi w Marchii Brandenburskiej, w grudniu na dworze książąt szczecińskich, w lutym pośredniczy w układzie między Luksemburgami a Witelshbachami w Budziszynie, w marcu jest na dworze cesarskim Karola IV w Pradze, w dniu 13 maja na zjeździe w Łowiczu, gdzie pertraktuje z Kazimierzem Wielkim, ks. Bolkiem II Świdnickim oraz książętami mazowieckimi Władysławem z Dobrzyńa, Bolesławem III ks. Płocka oraz Ziemowitem i Kazimierzem. W wyniku tej akcji zażegnano toczące się od roku zmagania zbrojne o Nową Marchię, ponadto zawarł z Polską układ o wzajemnej pomocy. Szczególne korzyści przyniosła mediacja budziszynska, która zapewniła królowi Waldemarowi pozy-



ksemburgami a Wittelsbachami. Waldemar zlikwidował w ten sposób nie tylko swoje zobowiązania z lat wygnania wobec władców Rzeszy, ale wiózł także przyznaną przez Karola IV i jakże potrzebną, rentę w wysokości 16 tysięcy grzywien srebra. Nieobojętne mu były sprawy związane z toczącą się między Anglią a Francją wojną stuletnią. Związek Szwecji z Anglią starał się zdyskontować zbliżeniem Danii do Francji.

Umocnieniu pozycji Danii na zewnątrz towarzyszyły teraz szybkie postępy w wykupie reszty zastawionych ziem oraz królewskich zamków i domen, którą to akcję zakończył król w początkach lat pięćdziesiątych, głównie za pieniądze uzyskane za Estonię oraz z darowizn Wittelsbachów i Karola IV Luksemburga. Coraz znaczącą rolę odegrały tu rosnące już dochody z opodatkowania. Król rzadko zwoływał Danehof, choć pozyskał zaufanie obywateli. Nastąpiło to zarówno z tytułu odbudowy królestwa, jak i zdecydowanego wytypowania piractwa u brzegów duńskich oraz rozbójnictwa drogowego na szlakach lądowych. Obecnie mógł już skoncentrować swoją uwagę na sprawach szwedzkich. Zamieszki w tym kraju zarysowywały możliwość odzyskania Skanii, na drugim miejscu uplasował Waldemar IV sprawę ukrócenia praw i koncesji hanzeatyckich, godzących w gospodarcze sprawy królestwa. Poważne źródło dochodu od połowy XIV w. stanowiły łowiska skańskie. Od tego czasu aż po schyłek XV w. tu właśnie skupiały się ciągle ławice śledzia i najprostszymi sieciami u brzegów można było poławiać rocznie od 180–350 tysięcy beczek tej poszukiwanej ryby. Jednocześnie z krajów nadbałtyckich oraz Holandii i Anglii przybywali tu nabywcy, przywożąc w zamian własny towar. Działalności wymiennej nadał już Waldemar II formy prawne. Targi skańskie stawały się największą imprezą gospodarczą Europy północnej. Rychło więc hanzeaci zapragnęli uczestniczyć nie tylko w targach, ale i w bezpośredniej eksploatacji łowisk skańskich. Uzyskane przez miasta hanzeatyckie przywileje godziły w pozycję gospodarczą Kopenhagi i innych miast duńskich, co stwarzało powód do często odnawiających się tarć. Król, przewidując możliwość zbrojnego zatargu, dużą troskę przejawiał wokół sprawy wzmocnienia obronności. Oparł się na zamkach lądowych, ale od pierwszych miesięcy panowania darzył uwagę budowę królewskiej floty wojennej. Kiedy w r. 1340 przybył do Danii, jedyną siłę stanowiły drużyny przysłane mu przez cesarza Ludwika. Następnie zorganizował pospolite ruszenie (leding) w ten sposób, że chłopci formować mieli piechotę, szlachta oddziały konne, a mieszczaństwo flotę wojenną. Przywrócenie zniszczonego za Waldemara II ledingu miało na celu utrzymanie sił narodowych niezależnych w okresie starć z Niemcami. Istnienie chłopskich oddziałów wojskowych znalazło oddźwięk w polityce społecznej króla, który w latach swoich rządów bronił wolnych chłopów (selfejarne) przed wykupem ich ziem przez szlachtę.

W r. 1360 Waldemar zawarł ze stanami pokój krajowy, pozyskując ich przychylność. Mając zatem stabilizację wewnętrzną oraz równowagę finansową, zdecydował wykorzystać swoje siły zbrojne do odzyskania utraconej przed 28 laty Skanii. Krajinę tę zdobył w toku kilkutygodniowej kampanii. W lecie następnego roku wojska Waldemara IV zaatakowały bogatą Gotlandię, pozostającą w luźnych związkach politycznych ze Szwecją. Po krwawej walce z mieszkańcami wyspy, stoczonej u bram miasta Visby zamieszkanego w znacznej części przez Niemców, i ono, ale już bez walki, poddało się zdobywcy. Efektem wyprawy była zarówno wielka kontrybucja wypłacona w kruszcu, jak i zdobycie centralnie położonego punktu na Bałtyku. Był to cios nie tyle w interesy Szwecji, ile w interesy związku hanzeatyckiego, który zwlekał z zapłatą żądanych 4000 grzywien w zamian za odnowienie przywilejów. Już w r. 1362 flota hanzeatycka w składzie 52 okrętów, z 3 tysiącami zbrojnych i machinami oblężniczymi przystąpiła do

zdobywania królewskiej warowni Helsingborg. Tymczasem okręty duńskie zaatakowały zakotwiczoną pod Helsingborgiem flotę hanzeatów i część statków miast niemieckich spaliły, a 12 największych uprowadziły. Teraz można było rozgromić siły lądowe. Walka zakończyła się całkowitą porażką hanzy; jej straty były ogromne. Hanza nie mając środków na dalszą wojnę, przez 5 lat odnawiała akty zawieszenia broni i płaciła za uprawnienia gospodarcze. Próbowala jednakże pozyskać sojuszników do przyszłej rozprawy. Również Waldemar IV zdecydował w r. 1363 wyruszyć w podróż dyplomatyczną dla pozyskania sprzymierzeńców. Po naradzie z książętami pomorskimi, wyruszył do Polski. W grudniu 1363 r. w Krakowie uczestniczył w słynnym zjeździe monarchów, odbywającym się z okazji zaślubin wnuczki Kazimierza Wielkiego, Elżbiety, z cesarzem Karolem IV Luksemburkiem. O krakowskim zjeździe informuje nas następująco „Rocznik Świętokrzyski”: *W roku pańskim 1363 Karol IV cesarz Rzymian i król Czech przybył do Krakowa, aby zawrzeć małżeństwo z Elżbietą córką Bogusława księcia Kaszubii, co miało miejsce w obecności królów: Ludwika z Węgier, Kazimierza z Polski, Piotra II z Cypru, Waldemara IV z Danii oraz licznych książąt, mianowicie: Ottona z Bawarii, Bolka Świdnickiego, Władysława Opolskiego i Ziemowita Mazowieckiego.*

Układy wymierzone w interesy hanzy, a pośrednio Zakonu, podpisano w Krakowie 13 grudnia 1363 r. Kilkutygodniowy zjazd monarchów obfitował w przyjęcia, wśród których utrwaliła się pamięć o uczcie u Wierzyńka. Po Nowym Roku Waldemar bawił u cesarza w Pradze, następnie udał się na dwór papieski w Avignonie, a stąd przez Flandrię (Brugie Gandawy) powrócił do Danii. O ile hanzeaci znaleźli poparcie w Holstynii, Meklemburgii, Brunzwiku i w Szwecji, o tyle Waldemar przeciwstawił im dalszych, ale istotnych partnerów politycznych. W efekcie tych zabiegów miasta hanzeatyckie skłonne były wycofać się z zamiaru poszukiwania wojennych rozwiązań. Wtedy wystąpił z inicjatywą obóz książąt północnoniemieckich z będącym od 1364 r. królem Szwecji, Albrechtem Meklemburskim, na czele. W 1367 r. miasta zawarły konfederację kolońską. W r. 1368 z udziałem książąt i miast wznowiono wojnę, która po dwóch latach zakończyła się militarną klęską Danii.

Waldemar, jako doświadczony dyplomata, zdawał sobie sprawę, że prawdziwą porażką może być jedynie przegrana polityczna. Toteż strona duńska umiejętnie doprowadziła do tego, że w październiku 1369 r. rozpoczęły się negocjacje między Danią a miastami hanzeatyckimi bez udziału książąt. Podpisane preliminaria pokojowe przewidywały zachowanie swobodnej żeglugi przez Sund i potwierdzenie dotychczasowych uprawnień na łowiskach skańskich oraz dawnych przywilejów hanzeatyckich. Jako gwarancję dotrzymania przez Danię warunków pokoju otrzymali hanzeaci na 16 lat twierdze-warownie skańskie z Helsingborgiem oraz prawo udziału w elekcji królów. Z tego ostatniego uprawnienia jednakże nie skorzystali. Układ parafowano i wprowadzono w życie z dniem 20 listopada 1369 r. Podpisanie natomiast ołożono do 24 maja 1370 r. W zawartym z jedną ze stron wojujących układzie tkwił sukces polityczny Danii. Ustępstwa Danii były skromne w stosunku do rozmiarów porażki militarnej.

Jeszcze w tym trudnym półroczu zdołał Waldemar odbyć podróż do Prus, aby pozyskać przychylność miast pomorskich uczestniczących w układzie stralsundzkim. Pertraktował również z cesarzem w Pradze w r. 1370. A oto działalność i podróże Waldemara IV nad Wisłą. Do Gdańska przybył on w styczniu 1370 r. i odpłatnie uprzywilejował miasto w postaci koncesji terytorialnej w Falsterbo w Skanii. Odtąd Gdańsk będzie zainteresowany popieraniem interesów tego monarchy. Z Gdańska Waldemar IV wyru-

szął na południe i przez Tczew dotarł do Nowego, gdzie 28 stycznia przeprowadził się przez Wisłę i udał się do Chełmna i Torunia, które również uprzywilejował. Następnie przywileje wystawił w czasie swoich pobytów w Królewcu, Elblągu i Braniewie. Podpisany przez duński Riksråd pokój stralsundzki w dniu 24 maja 1370 r. był wprawdzie potwierdzeniem zwycięstwa militarnego hanzeatów, ale nie stwarzał zagrożenia dla państwa. Odsunięcie książąt od wspólnych narad było sukcesem dyplomacji duńskiej. Dania nie traciła ani skrawka ziemi. Szwecja nie odzyskała ani Skanii, ani Gotlandii — miasta wołały popierać w sytuacji 1370 r. Danię, aniżeli Szwecję. Kiedy jesienią r. 1371 Waldemar IV zdecydował się podpisać traktat na dalsze lata — miasta same umorzyły niektóre postanowienia pokoju stralsundzkiego.

Tymczasem monarchie skandynawskie miały możliwość dostrzec istotne cele polityki Albrechta Meklemburskiego w Szwecji oraz związku hanzeatów w Danii. Układ stralsundzki, zamykający 30-letnie zmagania króla Waldemara IV Atterdaga z niemieczyzną, przyczynił się do ponownego zbliżenia politycznego sił społecznych, które decydowały o polityce krajów skandynawskich. Konsekwentna kontynuacja tej polityki przez córkę Waldemara, Małgorzatę, przyczyniła się do związania się w r. 1397 Danii, Szwecji i Norwegii unią kalmarską, stanowiącą cios dla supremacji niemieckiej na Bałtyku.

Królowa Małgorzata (1375–1412), będąc od r. 1386 również dziedziczną monarchią Norwegii, nie tylko przyczyniła się do stabilizacji stosunków gospodarczych. Dbała również, jak jej ojciec, o utrzymanie stanu wolnych chłopów (selfejarne), ale i w odniesieniu do feudalów potrafiła wysoko utrzymywać autorytet władzy królewskiej, wzbudzając życzliwość wśród mieszkańców objętej feudalnymi zamieszkami Szwecji. Wkrótce też odzyskała obsadzone przez hanzeatów zamki. Elekcję następcy przeprowadzono w toku przygotowań do unii w Kalmarze w r. 1397. Tak więc rządy jej wytworzyły sytuację, w której można było zrealizować zamierzenia jej poprzedników i wprowadzić w r. 1422 cła sundzkie — złotodajne źródło dochodów korony duńskiej. Właśnie osiągnięcia polityczne Waldemara IV i Małgorzaty wskazują, jak przesadne są oceny skutków i znaczenia pokoju stralsundzkiego, głoszone przez historyków hanzy bałtyckiej.

Duńcy, oceniając wielki wkład Waldemara IV w odbudowę rozgrabionej przez obcych i swoich w latach 1326–1340 monarchii, dali mu przydomek Atterdag — Odnowiciel.

Jan Forkiewicz

JEDYNA W POLSCE

Szesnastowieczne kosmografie oprawne w pergamin o barwie starej kości słoniowej i tak nierzadko grube, że ich palcami jednej dłoni objąć nie sposób, dawne atlasy wielkości blatu stołu, zawierające dziesiątki i setki map suto zdobionych barwnymi wienietami i kartuszami, figurkami ludzi w malowniczych, często egzotycznych strojach, herbami miast oraz królestw, i miniaturowymi sylwetkami żaglowców...

Wśród dzieł tych, imponujących rozmia-rami oraz bogactwem barw i złocień, ukrywa się w zbiorach kartograficznych Biblioteki Gdańskiej PAN niepozorna książka o prawna w ciekawą czarną skórę, na której nikiel rysuje się delikatny ornament renesansowych tłoczeń. Zawiera ona opis Ziemi Świętej i Skandynawii pióra bawarskiego teologa Jakuba Zieglera, uzupełniony skromnymi drzeworytowymi mapami. Były tej książeczki dwa wydania: w Roku Pańskim 1532 i 1536. Gdański egzemplarz reprezentuje

późniejsze z nich. Jest to nie tylko najstarszy z zabytków kartograficznych biblioteki, ale i jedyny egzemplarz dzieła Zieglera w Polsce.

Zawiera on najstarszą mapę krajów skandynawskich. Pierwszą mapę nowego renesansowego typu, na której półwysep skandynawski wyłonił się ze średniowiecznej mgławicy w swym charakterystycznym, zbliżonym już do rzeczywistego kształcie i w północno-południowym położeniu.

Prawda, iż kształt półwyspu jest jeszcze daleki od doskonałości, a surowe, nader uproszczone kontury jego brzegów, świadczą wymownie, że bawarski geograf nie był zbyt biegły w sztuce rysowania map. Powtórzył on ponadto stary błąd, łącząc Grenlandię zarówno ze Starym, jak i Nowym Światem.

mało kto wie — narodziła się ta słynna mapa.

Jej powstawaniu sprzyjały kontakty, które Olaus Magnus nawiązał z najwybitniejszymi uczonymi polskimi, przede wszystkim z „ojcem kartografii polskiej” — Bernardem Wapowskim, który zresztą w owym czasie tworzył własną mapę Skandynawii. Niestety, o dalszych losach mapy Wapowskiego po dziś dzień nic nie wiadomo.

Biblioteka Gdańska nie posiada XVI-wiecznej odbitki mapy Magnusa, zachowało się natomiast jego dzieło *O ludach północy* wydane w roku 1557, a ilustrowane obficie malerkami drzeworytami, stanowiącymi niejako graficzne cytaty z omawianej wyżej mapy. Dzieło to, podówczas o fundamentalnym znaczeniu, rzuciło po raz pierwszy światło na

widoki i plany miast skandynawskich. Część ich mieści się w dwóch dziełkach, wydanych w Amsterdamie w latach 1655 i 1656.

Zawierają one opis geograficzny Danii i Norwegii oraz Szwecji i Finlandii należący do swego rodzaju serii wydawniczej, w ramach której ukazał się w parę lat później słynny opis Polski, pióra Cellariusza.

Przedstawione tutaj skandynawiana dokumentują jeszcze okres potęgi Rzeczypospolitej i świetności Gdańska. Ostatni akcent tego okresu stanowi w zbiorach kartograficznych Biblioteki Gdańskiej dedykacja poświęcona „Szlachetnym, doświadczonym i dostojnym panom, konsulom i senatorom, ordynkom i stanom pierwszego spośród hanzeatyckich grodów, sławnego i wolnego miasta Gdańska”.

Wykaligrafował te słowa starannie na odwrocie karty tytułowej swego atlasu *Morza Bałtyckiego* szef pilotów Królestwa Szwecji, Peter Gedda. Wydano to dzieło w roku 1695, w Amsterdamie, a obecnie zbiory polskie notują jedynie dwa zachowane egzemplarze.

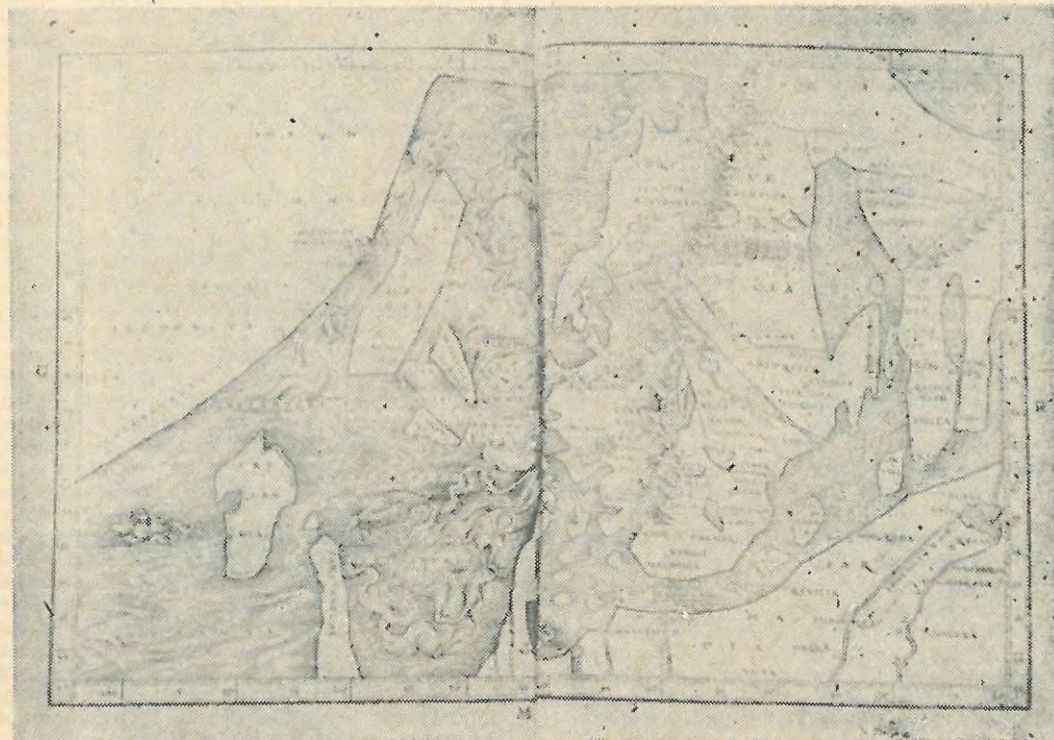
Przez karty tego unikalnego atlasu przewijają się rysunki beczek i pak z towarami, przygotowanych do załadunku na statki, mitycznych istot morskich i dawnych przyrządów nawigacyjnych, wreszcie postaci navigatorów i rybaków — mieszkańców chłodnego morza, które nie tylko dzieliło, ale i łączyło ludy żyjące na jego przeciwnych brzegach.

Jerzy Szukalski

CHRISTIANO GRUPA WYSP SZKIEROWYCH NA BAŁTYKU

Wybrzeże szkierowe należy niewątpliwie do najciekawszych typów brzegu morskiego Bałtyku. Występuje ono w swej najbardziej charakterystycznej postaci u wybrzeży Szwecji, gdzie reprezentuje je tysiące drobnych wysp granitowych, powstałych w wyniku niszczącej działalności lodowcowej w okresie minionych zlodowaceń skandynawskich. Wysepki te stanowią przeto skrajnie południowy fragment zniszczonej w epoce lodowej płyty skandynawskiej. W samych tylko najbliższych okolicach Sztokholmu naliczono około 24 000 wysp szkierowych, na powierzchni których znajdują się charakterystyczne szlify dokumentujące ruch lodowca i jego niszczącą działalność. I choć wiele szkierów pokrytych jest gliną morenową i żwirami będącymi produktem akumulacji lodowcowej, osady te przykrywają jednak wszędzie zeszlifowane podłoże granitowe.

Szkierowe wysepki sięgają daleko na południe od wybrzeży zwartego lądu Półwyspu Skandynawskiego, aż w środkowe partie południowego Bałtyku, gdzie w okolicach największej jego głębi zalegają na izolowanym podmorskim grzbiecie. Do tych najbardziej na południe wysuniętych szkierów należy mała grupa wysp o wspólnej nazwie Christianso, położona w odległości około 17 km na północo-wschód od Bornholmu. Owa grupa wysp, zaznaczona na mapie najczęściej używanego atlasu w najlepszym przypadku małym zaledwie punktem, jest powszechnie znana żeglarzom. Każdy jacht zmierzający w okolice Bornholmu musi niejako odczyć się o nie, a każdy pełniący w takim rejsie odpowiedzialną funkcję nawigatora doskonale wie, że wyraźnie rysujące się na tle spokojnego morza wysepki Christianso są zwłaszcza od zachodu trudne do podejścia ze względu na liczne, często podwodne wystęki skalne. Cała bowiem grupa wysp Christianso składa się zaledwie z trzech większych wysepek, których powierzchnia waha się w granicach od 5 do 50 ha (Christianso, Frederikso i Graesholm) oraz 76 drobnych szkierów, spośród których tyl-



Jednakże, w stosunku do swych poprzedniczek, mapa Zieglera zawiera nieporównanie więcej miejscowości, które dziś, choć z pewnym trudem, można zidentyfikować. Ukazuje także wielkie jeziora północnej Szwecji. I wreszcie po raz pierwszy w dziejach światowej kartografii pojawia się na tej unikalnej mapie Finlandia.

Informacje o krajach skandynawskich czerpał Jakub Ziegler od duchownych szwedzkich, którzy na skutek ówczesnych perturbacji politycznych i religijnych musieli opuścić swój kraj. Jednym z nich był arcybiskup Uppsali, Johannes Magnus. Jego brat, Olaus, w kilka lat później, w roku 1539 wydał w Rzymie wielką mapę Skandynawii, która uchodzi za jedno z najświetniejszych dzieł dawnej kartografii. Nie miała ona w tym czasie godnych odpowiedników wśród map innych krajów europejskich. Mapa Magnusa, dzięki licznym obrazkom, wypełniającym jej powierzchnię, stanowiła równocześnie barwną plastyczną encyklopedię życia mieszkańców północy — ich strojów, zwyczajów i zajęć oraz różnorodnych regionalnych osobliwości.

Są tam, po raz pierwszy przedstawione dość szczegółowo, południowe wybrzeża Bałtyku, zdobne wieloma latarniami morskimi i beczułkami jantaru na najbardziej bursztynodajnym odcinku. Do najpoprawniej narysowanych elementów należą Zatoka Gdańska oraz Zalew Wiślany.

Tak wyrazisty obraz polskiego wybrzeża należy zawdzięczać temu, że bracia Magnusowie przez 11 lat przebywali w Gdańsku. Klimat intelektualny musiał sprzyjać naukowej działalności szwedzkiego biskupa, skoro właśnie w naszym mieście — o czym

ten, najmniej znany dotychczas geografom, peryferyjny kąt europejskiego lądu.

Drugi rozdział polsko- i gdańsko-skandynawski, bogato udokumentowany przez gdańskie zbiory kartograficzne powstał w zupełnie innych okolicznościach, w czasach, gdy wojska bitnych monarchów — Gustawa Adolfa, a potem Karola Gustawa — wkraczały na terytorium Rzeczypospolitej. Pierwszą jaskółką tego okresu w zbiorach biblioteki jest mapa Żuław Wiślanych, sporządzona w roku 1626 przez Olafa Hansona Swarta, generalnego kwatermistrza armii, która bezskutecznie oblegała Gdańsk. Armiom szwedzkim towarzyszył bowiem liczny zastęp inżynierów wojskowych, wyspecjalizowanych w sztuce kartograficznej. Plon ich pracy — cenne dziś niezwykle pod względem ikonograficznym i historycznym — liczne widoki i plany miast polskich, zawarty jest w dziele Joachima Puffendorfa, poświęconym przewagom wojennym Karola Gustawa. Wśród innych znajdują się tam: mapa Zatoki Gdańskiej, plany i widoki Gdańska, Malborka, Elbląga, Tczewa i Torunia. Szczególną pracowitością i zdolnościami odznaczał się oficer wojsk inżynierskich Eryk Dahlberg, którego podpis nosi wiele XVII-wiecznych rycin miast polskich.

Praca tych kartografów i rysowników w kapeluszach z piórami i rapierami u boku stanowi, może wbrew ich intencjom, pewną rekompensatę za liczne i cenne dzieła ze zbiorów polskich, które od tamtych czasów ozdabiają biblioteki Królestwa Szwecji.

Świadectwem zainteresowań gdańszczyzan geografii krajów skandynawskich w XVII stuleciu są zachowane w zbiorach biblioteki ówczesne mapy tamtych obszarów. Są pomiędzy nimi mapy Skanii, Jutlandii, Fionii, Bergu, Zelandii i Gotlandii. Dopełniają je

ko dziewięć ma ponad 400 m² powierzchni, zaś pozostałe 67 to małe skaliste występy zasługujące raczej na miano raf skalnych. Warto ponadto dodać, że liczba wymienionych wysp nie jest stała. Zależnie bowiem od stanu morza te najmniejsze, liczące zaledwie kilka metrów kwadratowych powierzchni i wznoszące się jedynie kilka centymetrów ponad zwierciadło wody wysepki, mogą pojawiać się na powierzchni spokojnej tafli wody lub zniknąć we wzburzonych falach. Stąd też nie można się dziwić, że dokładne liczby dotyczące powierzchni całej grupy wysp Christianso nie są właściwie znane. Na podstawie dokładnych map przyjmuje się, iż cała ich powierzchnia zawarta jest w granicach 50 ha.

Izolowane położenie owej grupy szkierów bałtyckich uwarunkowane jest specyficznymi stosunkami głębokościowymi w tej części Morza Bałtyckiego. Jak wynika bowiem z pomiarów, wyspy te nie sterczą z jakiegoś podmorskiego szczytu, czy wulkanicznego stożka, lecz leżą w granicach podwodnego grzbietu o nazwie Christianso, który przylega do tzw. Głębi Bornholmskiej. Podwodny ten cokolwiek, którego znikome jedynie części sięgają ponad poziom morza, opada bardzo stromo w kierunku północno-wschodnim i południowym do głębokości 100 m. Również 500 m na południe od głównej wyspy Christianso znajduje się głębia o tej samej nazwie, sięgająca 108,5 m. Jest to zarazem maksymalna głębokość Basenu Bornholmskiego i najgłębsze miejsce środkowej części południowego Bałtyku.

Podobnie jak na wyspie Bornholm, granit budujący wyspy Christianso jest spekulany. Szczeliny wykazują określone kierunki związane z różnowiekowymi, najczęściej jednak bardzo starymi, ruchami tektonicznymi. Ich kierunki zaznaczają się również w ukształtowaniu dna morskiego i występują na stałym lądzie Skandynawii. Ze stwierdzeń geologów wynika, że kierunki szczelin wyznaczają ponadto linie wzmoczonego niszczenia lodowcowego w granicie. Ponieważ lądolód skandynawski najśilniej napierał z północo-wschodu, strefy zaburzeń tektonicznych, przebiegające w kierunku NE-SW, są najbardziej zniszczone. Warto też chyba nadmienić, że wzdłuż wybrzeży wysp Christianso brak jest jakiegokolwiek osadów brzegowych, mimo ogromnej siły z jaką biją o brzeg fale morskie, zwłaszcza w okresie sztormowej pogody. Przyczyna tej niecodziennej sytuacji tkwi w odporności granitu skandynawskiego, ograniczającej do minimum niszczeniową pracę morza. Uderzenia fal morskich spowodowały jedynie zaokrąglenie form brzegowych, a w przypadku najmniejszych szkierów, wygładzenie ich powierzchni.

Dźwiganie się lądu, jakie nastąpiło po zakończeniu epoki lodowej, miało też prawdopodobnie miejsce na wyspach Christianso i to w granicach zbliżonych do Bornholmu, a więc 18–20 m. Gdyby tak właśnie było, to należy przyjąć, iż w okresie wczesnej fazy rozwoju Bałtyku, zwanej Bałtyckim Jeziorą Lodowym, ponad powierzchnię morza sterczało jedynie najwyższe wzniesienie na Christianso zwane Mollebakke, czyli Góra Młyńska (22 m n.p.m.), w postaci samotnego szkiełu.

Z osobliwości geograficznych wysp Christianso należy wymienić całkowity brak wód gruntowych, źródeł i potoków. Słodka woda pochodzi tu jedynie ze skąpych opadów atmosferycznych i gromadzi się w naturalnych zagłębieniach granitowej powierzchni, lub w opuszczonych kamieniołomach. Powstało w ten sposób na wyspie Christianso 14 stawów, które stanowią cenne rezerwuary wody przeznaczonej dla celów pitnych i gospodarczych. Na temat wód morskich, otaczających wyspy, niewiele jeszcze wiemy. Stwierdzono jedynie, iż wahania stanów morza są tu w porównaniu do naszych zatok południowobałtyckich minimalne i wahają się w porcie położonym pomiędzy wyspami Christianso i Frederikso zaledwie w granicach od +0,6 do -0,4 m. Ponadto w cieśninach notuje się w okresie sztormów silne prądy.

Za osobliwość geograficzną uznać też trzeba zadziwiająco łagodny morski klimat wysp Christianso. Są one uznane przez klimatologów za najbardziej na wschód wysuniętą enklawę klimatu atlantyckiego. Jak się przypuszcza, jest to spowodowane w głównej mierze znacznym zmagazynowaniem ciepła przez masy wodne Basenu Arkońskiego i Głębi Bornholmskiej, które powodują, że średnia temperatura stycznia jest tu wyższa niż w miejscowościach położonych w wybrzeży południowego Bałtyku. Jedynie w kwietniu temperatury powietrza znacznie się obniżają w wyniku zimnych prądów napływających z północnych i wschodnich akwenów Morza Bałtyckiego. Powoduje to, iż średnia roczna temperatura osiąga tu jedynie wartość 7,5°C. Na morskosc klimatu wskazuje też okres bezprzymrozkowy, który wynosi tu aż 230 dni. W oparciu o dane wieloletnie stwierdzić wreszcie można, że średnio pierwszy mróz na wyspach pojawia się dopiero 15 XI, a ostatni 8 IV. Wyjątkowo niskie są opady atmosferyczne na wyspach Christianso. Ich suma roczna osiąga tu zaledwie ok. 420 mm. Częste są też wiatry sztormowe o szczególnym nasileniu w miesiącach od grudnia do marca. W grudniu i styczniu nie ma ani jednego dnia ciszy. A zatem typowy morski klimat wysp Christianso zakłada jedynie chłodną bałtycką wiosną, będącą okresem suchym i słonecznym oraz niskie opady atmosferyczne. To właśnie jedynie wpływy kontynentalizmu wprowadzające pewien kontrast klimatyczny na obszar wysp.

Na wielu szkiełach grupy wysp Christianso znajdują się miejsca łęgowe ptactwa morskiego, a w promieniach letniego słońca nierzadko spotkać można wylegujące się na granitowych skałach foki. Wyspa Graesholm, której nazwa pochodzi od porastających ją dość obficie traw, rozmieszczonych charakterystycznie wzdłuż linii ciosu granitowego, uznana została w 1926 roku za rezerwat przyrody. Znajdują się tu rozległe obszary łęgowe podlegające ochronie puchowej kaczki islandzkiej.

Łagodny, choć zróżnicowany w ciągu roku klimat, intensywność barw tutejszej szaty roślinnej na tle nagich granitowych skał, spekulanych procesami tektonicznymi i oszklifowanych działalnością lodowców i fal morskich, to podstawowe cechy środowiska geograficznego wysp Christianso, które już w 1837 roku pisarz duński A. Friis próbował określić jako powiązanie południa i Arktyki w jednym miejscu.

Charakterystykę przyrodniczą wysp Christianso uzupełnijmy jeszcze o człowieka i historię jego działalności na tych wyspach. Wbrew pozorom jest ona dość bogata i na ogół mało znana ze względu choćby na niewielki obszar wysp. Zabytków prehistorycznych na wyspach nie znaleziono, a najstarsze wieści o człowieku zawarte są w legendach. Mówią one o piratach, którym służył miał naturalny port, jaki stworzyła cieśnina oddzielająca dwie główne wyspy: Christianso i Frederikso. Tu rzekomo znajdowali oni bezpieczną kryjówkę dla swych statków i dogodne miejsce na podział łupu. Dopiero w drugiej połowie XVII wieku bpańska dotychczas grupa szkierów, zwana pierwotnie Ertholmene, znalazła się w kręgu zainteresowań duńskich. Po utracie przez Danię szeregu posiadłości wschodnich na korzyść Szwecji, usankcjonowanych pokojem w Roeskilde zawartym w roku 1658 i po nieudanej próbie odzyskania ich w wojnie prowadzonej w latach 1675–79, król duński Christian V postanowił z wysp Ertholmene, stanowiących obecnie najbardziej na wschód wysunięty punkt państwa, uczynić ważne miejsce obrony.

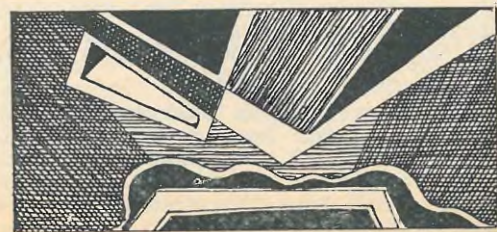
Począwszy od 1684 roku nastąpił przeto systematyczny proces umacniania wysp, które pod nową nazwą Christianso stały się potężną fortecą na Morzu Bałtyckim. Dwie główne wyspy Christianso i Frederikso przedstawiały prawdziwą „Maltę Bałtyku”. Otoczono je bastionami i granitowymi murami, a port położony w cieśninie uczyniono przystanią dla okrętów wojennych, do której dostępu od południa i północy broniły specjalne urządzenia ryglujące w postaci

łańcuchów i drewnianych bali. Wzniesione fortyfikacje uzupełniała potężnych rozmiarów wieża uzbrojona w 16 armat. W 1808 roku okazało się jednak, że strategiczna rola fortecy jest bez większego znaczenia. Dowiodła to flota brytyjska po czterogodzinym bombardowaniu. Fortecę zamieniono wkrótce na więzienie, które istniało tu do 1815 roku. Później urządzono na wyspach stację ratownictwa morskiego, a dawny port wojenny przystosowano na przystań rybacką, która służyła ponadto i służy do dziś jako miejsce schronienia dla kutrów w czasie sztormu. Na wieży fortecznej zbudowano latarnię morską, a stary drewniany most, łączący wyspy Christianso i Frederikso, o długości ok. 30 m, zastąpiono w 1912 roku ruchomą konstrukcją stalową.

Dziś wyspy Christianso zamieszkuje około 100 osób. Ludność skupia się jedynie wokół portu na dwóch głównych wyspach: Christianso i Frederikso, przy czym na pierwszej z nich obok fortyfikacji zachował się dwupiętrowy budynek dawnych koszar i dom komendanta, na drugiej zaś zabudowania i urządzenia rybackie jak hangary dla łodzi i sieci oraz wędzarnie. Łącznie na obu wyspach znajduje się około 80 budynków. Charakterystycznym elementem są tu ponadto małe przydomowe, sztucznie założone ogródki warzywne. Na przywiezionej glebie udaje się podobno nawet winna latorość, melony i truskawki. Mieszkańcy wysp trudnią się głównie rybołówstwem, choć w ostatnich latach coraz więcej dochodu czerpią z intensywnie wzrastającej roli turystycznej tych zagubionych gdzieś na Bałtyku szkieł. Jeszcze w 1899 roku, organizując podróż na wyspy Christianso, trzeba było za dbać o całkowity ekwipunek turystyczny wraz z wyżywieniem, ale już w 1910 roku, jak notują kroniki prasowe, docierał tu codziennie parowiec z Hammerhavn na Bornholmie, przywożąc większe grupy turystów. Początkowo obok Duńczyków przeważali wśród nich turyści niemieccy. Dziś zdecydowane prowadzenie pod tym względem obje- li Szwedzi, podejmując najczęściej jednodniowe wycieczki z portu Simrishamn przez Allinge na Bornholmie do Christianso. W sezonie letnim przy spokojnym stanie morza popularność wysp Christianso znacznie wzrasta, gdyż można osiągnąć je nawet za pomocą małych motorówek wypływających z portów Bornholmu. Tą drogą przybywa w sezonie turystycznym na szkiełowe wyspy codziennie około 200 amatorów morskiej podróży.

Christianso stały się modne dla człowieka drugiej połowy XX wieku, szukającego spokoju wśród surowego krajobrazu, rzadkiej flory i fauny oraz łagodnego klimatu. Obok tych specyficznych cech natury, imponujących rozmiarów fragmenty starej twierdzy morskiej, odpowiednio zabezpieczone i przystosowane do zwiedzania, ściągają też na Christianso wielu wczasowiczów. Wyspy są do tego przygotowane. Znajduje się tu hotel i restauracja, pole namiotowe i liczne kwatery prywatne w starych domach rybackich, specjalnie do tego celu przystosowanych. Jest tu również poczta i telefon, a także mała elektrownia zaopatrująca równocześnie w energię elektryczną latarnię morską na fortecznej wieży.

Zmieniła się przeto funkcja „bałtyckiej Maltę” zupełnie na wzór tej na Morzu Śródziemnym. Niezwykłość walorów Christianso leży jednak w kontrastowych warunkach przyrodniczych, w surowym krajobrazie i tym poszukiwanym dziś spokoju wynikającym — jak się to mówi — z odcięcia od świata.



PÓŁWIECZE DEDECIUSA

Napisał do nas: *Przekraczam próg wieku męskiego i wkraczam na stopnie wieku kłęski*. Tyle Karl Dedecius, który w maju ukończył 50 rok życia; nie wierzymy mu. Jest i pozostanie jednym z najbardziej zasłużonych tłumaczy literatury polskiej a w Niemieckiej Republice Federalnej zajmuje wśród nich i będzie zajmował miejsce szczególne i własne: jak bowiem sędziwy Hermann Buddensieg poświęcił się przede wszystkim Adamowi Mickiewiczowi, tak on — Dedecius — ambasaduruje literaturze współczesnej. Ale i on zaczynał pod znakiem... Mickiewicza: W Buddensiega *Mickiewicz-Blätter* ukazała się w roku 1959 jego pierwsza antologia — wiersze poległych poetów polskich, zatytułowana *Leuchtende Gräber*.

Karl Dedecius urodził się w Łodzi w roku 1921, tam też ukończył polskie gimnazjum humanistyczne im. Żeromskiego. W roku 1940 wezwany do batalionów pracy a następnie do Wehrmachtu, trafił w roku 1943 do niewoli pod Stalingradem. Po powrocie z obozu jenieckiego w ZSRR odbył studia, wykładał w instytucie teatralnym w Weimarze a od roku 1952 żyje w NRF, pracując zawodowo w instytucji ubezpieczeniowej. Jako tłumacz i pośrednik między literaturami zadebiutował w roku 1959 wspomnianą już antologią poległych poetów. W tym samym roku ukazała się w wydawnictwie Hanser *Lekcja ciszy (Lektion der Stille)* — antologia współczesnej polskiej poezji, a w latach następnych ukazywały się w jego przekładach tomiki, tomy i tomiska St. Leca, Z. Bieńkowskiego, J. Przybosa, Z. Herberta, T. Różewicza, W. Brudzińskiego, satyry polskiej (*Polnische Pointen*), prozy polskiej (2 tomy) i in. Obok Polaków — tłumaczy i popularyzuje dzieła Sergiusza Jesienina, Włodzimierza Majakowskiego, Vasko Popy... W opinii krytyki i publiczności literackiej NRF uchodzi jednak przede wszystkim, i słusznie, za odkrywcę polskiej poezji współczesnej; jest przy tym nie tylko jej tłumaczem, ale także ofiarnym propagatorem. Mam na półce kilka jego zbiorów — każdy z nich opatrzony jest znakomitą wstępem biograficznym, charakterystyką twórczości, notami bibliograficznymi, dzięki czemu czytelnik takiej np. antologii prozy polskiej XX wieku uży-



RYS. J. ZEBROWSKI

RYS. K. FERSTER

skuje zarazem zwięzłe kompendium wiedzy o jej problemach i stadiach rozwojowych. Dzieło przekładowe Dedeciusa zostało w roku 1967 nagrodzone przez Niemiecką Akademię Języka i Literatury w Darmstadt. Wcześniej, bo w roku 1965, otrzymał Dedecius także nagrodę tłumaczy polskiego PEN-Clubu.

Dedecius należy do grona współpracowników naszego pisma; w bieżącym numerze publikujemy jego szkic o... patronie tłumaczy, świętym Hieronimie. A notę miniejszą — prosimy czytać jak telegram z okazji rocznicy urodzin, zawierającą także najlepsze życzenia na przyszłość.

Karl Dedecius

Przekł. Michał Misiorny

PRAWZÓR

Często rozmyślałem o nieprzewidywalnej patologii tłumacza. Myśli moje szukały wsparcia u poprzedników (Schlegla, Tiecka, Novalisa, Schleiermachers, Lutra), ale najchętniej wracały do pierwszego wśród nich, do świętego Hieronima, owego praobrazu, wzoru i patrona tłumaczy — jak nazwał go Valéry Larbaud w eseju *Sous l'invocation de Saint Jérôme*.

Już osobliwe dla mnie podobieństwo akustyczne przetrząsało most między św. Hieronimem a własnym moim nauczycielem i patronem, Stefanem Żeromskim* (jego imię nosiła polska szkoła, do której uczęszczałem i gdzie zacząłem tłumaczyć — wówczas z łaciny i niemieckiego na polski). Już wówczas St. Jérôme i Żeromski wytyczyli w sposób niemal nieodwołalny moją drogę pośrednika między Zachodem a Wschodem.

Dla Larbauda Hieronim stanowił inkwizycję; mnie pociągał on raczej jako instancja, jako przedmiot inspiracji. Tak tedy stało się moim zwyczajem rozglądać się podczas okolicznościowych podróży w muzeach, galeriach i kościołach za obrazami, na których przedstawiony został *Doctor Doctorum, Doctor Maximus*. Chciałem się dowiedzieć, jak widzieli i pojmowali go mistrzowie niemieccy, niderlandzcy, włoscy, hiszpańscy i anglosascy różnych epok. Sam żywot „patrona tłumaczy” stał się w moim pojęciu czymś w rodzaju przypowieści.

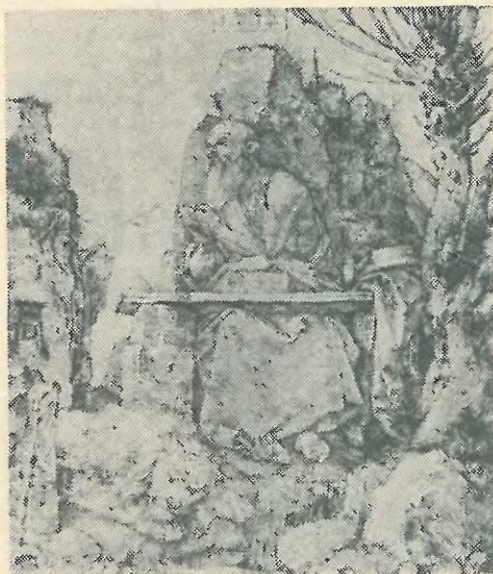
Urodzony wśród Słowian, Latyn dzięki odebranemu wykształceniu literackiemu, znał Hieronim stroje zarówno bogate jak i żebrackie; jedno i drugie nosił z tą samą natural-

ną godnością. Był kaznodzieją na Zachodzie i pustelnikiem na Wschodzie, jednakowo zdomowiony w Rzymie i na pustyni.

*Kto zna siebie i innych
Ten rozpozna prawdę:
Wschodu i Zachodu
nie sposób rozdzielić.*

(Goethe, *West-östlicher Divan*)**

Zdaniem Portugalczyka Teixeira de Pascoas, ale również zdaniem większości innych



500-LECIE ALBRECHTA DÜRERA: ŚWIĘTY HIERONIM W CELI (1514)

biografów, był Hieronim świętym obrazoburczym, a ponadto głosicielem wyniesionej do powagi kultu przyjaźni. Fascynowała go

idea życia, tkwiącego w pisanej literze. Jego wrażliwość na przejawy tego życia była niezwykła. Szukał w nim reguły i przestrzegał jej.

Nie był skromnisiem ani prostaczkim. Był świętym, który poznał stopnie grzechu i namietności. Był figurą-symbolem przenikania i przemiany i tak jak jego czas — przechodzący od starożytności w średniowiecze — był w równej mierze zwrócony w stronę Cyserona i w stronę Chrystusa. Był przemysłnikiem. Jednym z tych, którzy wobec rozdarcia swego czasu pragnęli stać się spoiwem. Był ascetycznym estetą. Nie lękał się moźnych a bestii okazywał miłosierdzie. Przyjaciół darzył liryczną dobrocią, przeciwnikom okazywał ostrze satyry.

Jedność przeciwieństw i sprzeczności, uosobiona w postaci świętego Hieronima, zyskuje szczególnie wyraz w obrazach wielkich mistrzów.

Pierro della Francesca wyposażył Hieronima w głowę Sokratesa; na obrazie przed na pół nagim starcem klęczący w proznej pozie patrycjusz, odziany w purpurę. Colantonio Napoletano uczynił tematem centralnym obrazu dobroć i przystępnosć Hieronima, przyjaciela króla pustyni — Iwa. Jusepe de Ribera dał mu surowe oblicze inkwizytora, gromadzącego śmiertelność oskarżenia na następną rozprawę. Na płótnie Caravaggia świeca w ciemności po lewej i prawej dwie nagie kule: trupia czaszka na stronicach książki (przemijanie w wieczności) a po przeciwnej stronie żywa łysina świętego (trwanie w chwili). U Tiepola Hieronim jest cierpiący, chociaż dzierży złoty pastorał i odziany jest w pyszny strój biskupa, zdobiony brokatem. Francesco Barbieri, zwany Guercino, malował Hieronima w *Oratorio di S. Giovannino* w Rimini jako *Sancto Girolamo nel deserto* manierą wenecką, miękką, chromatycznie, nie klęczącego, lecz walczącego w dramatycznej pozie, na rozstawio-

nych nogach, z opresjami natury. Z ciemnego, chmurnego nieba anioł, grający na puźonie, zsyła mu właśnie nowy pomysł. Pulpit tłumacza przypomina ołtarz. Trudno odnaleźć tę kaplicę w Rimini; idąc od dworca jakieś sto metrów w górę via Dante, znajdziemy ją po prawej, maleńką, skromnie wciśniętą w zaułek.

Wielki ołtarz Hieronima w Amsterdamie, dzieło Jakuba van Cornelisza, ukazuje tłu-



500-LECIE ALBRECHTA DÜRERA: ŚWIĘTY HIERONIM POD WIERZBĄ (1512)

macza w otoczeniu kobiet (za życia czyniono mu z tego powodu wyrzuty); M. van Reymerwaele ze szczególną pieczołowitością potraktował inicjały otwartej księgi, kładąc obok niej szkło powiększające. Rodzaj przestrogi dla wszystkich: czytajcie uważnie.

Łukasz Cranach — starszy, malował prętłumacza kilkakrotnie. Dwa obrazy można oglądać w *Kunsthistorisches Museum* w Wiedniu; jeden z nich sygnowany datą 1502.



MISTRZ CHÓRÓW — TRYPTYK Z MIKUSZOWIC, NIEGDYŚ NALEŻĄCY DO WYPOSAŻENIA KATEDRY WAWELSKIEJ (OK. 1470). TEMAT WIODĄCY TRYPTYKU — ROZESŁANIE APOSTOŁÓW. W OBRAZACH AWERSÓW — OJCOWIE KOŚCIOŁA, WŚRÓD NICH PATRON TŁUMACZY, ŚW. HIERONIM (POR. NAPIS NA WSTĘDZE FILAKTERIÓW)

Ukazuje on Hieronima klęczącego przed krucyfiksem w pozie, wyrażającej protest. Zapalczywa lewica szarpie brodę, prosta koszula jest podarta, odkrywa bliznę na piersi. Prawa ręka, chwytająca kamień, gotuje się właśnie do ciosu. Rozpoznajemy namiętnego, udreżonego polemistę bez purpury, gniewnie ciskającego argumentem. Nie dostrzegamy na tym obrazie ani intymnego spokoju, cechującego diirerowską izbę uczonego, ani elegancji renesansowego wnętrza pałacu z obrazu Antonella da Messina. Na obrazie Włocha lew niemal roztapia się w ciemnym tle, podczas gdy jasny przedni plan wypełnia sobą pyszny paw. Jakże jednak odmiennie objawia się tłumacz na obrazie Bouts'a, który pokazuje go na kamiennych w pozie pokornego, przepełnionego poczuciem winy pokutnika, odzianego w ciemny, przepasany sznurem habit mnisz.

Na obrazie, który odkryłem w Bostonie, pochodzącym z pracowni Paolo Veronese, nad całością dominuje wyciągnięta prawica Hieronima: szczuple, ascetyczne ramię i pracowita, delikatnie unerwiona dłoń. Spaja ona, jak wiszący most, oba brzegi obrazu, prawy z lewym. Obok trupiej czaszki i przyborów do pisania rzuca się w oczy klepsydra. Opadający w niej piaszczysty pył zdaje się przypominać tłumaczowi minuty, godziny i dni, strawione na małostkowych kłótniach i nieróbstwie.

I co mnie zawsze intrygowało: niemal wszystkie obrazy z Hieronimem oddziałują jak malowane pouczenie i maksymy. Na obrazie Joos van Cleve, powstałym około 1520 roku i znajdującym się w zbiorach *The Fogg Art Museum* Uniwersytetu Harvard, czerwien płaszcza zdaje się rozsadzać ramy i spływać na ściany falami czerwonego morza. Owa czerwien świeckiej purpury Rzymu i duchowej godności kardynalskiej łączy w jedno pasję czynu i wiary. A memento wypisał malarz tym razem dosłownie: *Res-pice Finem*. Słowa, które każdy tłumacz powinien powtarzać sobie rano i wieczorem: pamiętaj o konsekwencjach. Papuga z obrazu Cranacha, swobodnie siedząca na gałęzi, u van Clevego siedzi w klatce. Być może i to jest przestroga dla tłumaczy: nie bądźcie papugami, nie chcecie być zanadto kolorowi.

Jak wspomniałem w wstępie, Larbaud napisał inwokację do Hieronima, złożoną ze słów-cytatów świętego:

O Doctor Optime... aggrediar opus difficile... nunc te precor... ut me... juves, quo possim eodem spiritu quo scripti sunt libri in meum transfere sermonem.

Nauczycielu najlepszy... gotuję się oto do pracy pełnej trudu i proszę ciebie o pomoc, abym był zdolny przelożyć to dzieło na mój język ojczysty w tym samym duchu, w jakim zostało ono napisane.

Problemy tłumacza współczesnego nie różnią się od problemów tłumaczy wczorajszych, i nie są inne od tych, jakie przyniesie jutro. Zmieniają się jedynie modne aplikacje; to co istotne, problemy rzeczywiste, nie ulega zmianom. Są one od dawna znane i aż nadto przedstawiane — najdobitniej właśnie w barwnej postaci praojca tłumaczy, Hieronima, mądrego pielgrzyma między Wschodem a Zachodem. Pustelnik i egzegeta, nauczyciel, prekursor, poszukiwacz prawdy, oponent, artysta i pedant, krytyk i wizjoner, biedny i bogaty, moralista i misjonarz pełen pokory i współczucia, a nadto człowiek pełen ludzkich słabości przeżył przed nami wszystkie trudności powołania tłumacza i zapisał je. Uczynił to jak czynił wszystko i zawsze: z najwyższym poświęceniem, z pasją.

*) Zeromski wymawia się Jérôm-ski. (Stefan Zeromski — 1864/1925 — pisarz przełomu, wywarł wielki wpływ na polską literaturę po I wojnie światowej. Założyciel polskiego PEN-Clubu. Wyrznięty przez swój kraj do nagrody Nobla w 1924 r., przyznanej później Reymontowi — przyp. autora dla czytelników niemieckich).

**) Wolny przekład tłumacza. Por. też *A słonce prawdy wschodu nie zna i zachodu*, A. Mickiewicz *Do Joachima Lelewela*.

PRACOWNIA W FALOWCU

Z Andrzejem Twerdochlibem rozmawia Ewa Moskalówna

A, u tych terminów — powiedział tak-sówkarz usłyszawszy adres. Rzeczywiście, Andrzej Twerdochlib — od miedawna pisarz Wybrzeża — mieszka w falowcu. Wprost z balkonu — trzeba tylko przetasować się zrecznie z gospodarzem w przedpokoju — i już jesteśmy w pracowni pisarza. Pracownia pisarza jest wielkości przedwojennego kredensu, jednak właściciel bardzo sobie ją, i całe mieszkanie, chwali. W Krakowie cała rodzina mieszkała w jednym pokoju — na Wybrzeżu są zaledwie od sierpnia zeszłego roku. Jeszcze żadna książka Andrzeja Twerdochliba nie ukazała się w Wydawnictwie Morskim.

Pierwszy raz zobaczył w druku swoje opowiadanie w śląskiej „Panoramie”, było to w 1957 roku. Debiutem książkowym były *Małe punkty*, wydane w 1965 roku przez „Iskry”; w książce, którą czytam, całe okresy zdań z metodyczną furją poprzekreślane są czarną linią, pozmieniane dialogi, pierwsza osoba (narracja książki jest w pierwszej osobie) wszędzie pozmieniana na trzecią. Czyżby symboliczny obraz współpracy pisarza z filmem? *Małe punkty* miały być w 1968 roku filmowane, praca dobiegła do etapu scenopisu, ale na tym się też skończyło. A jednak był to początek trwającej do dziś przygody pisarza jako scenarzysty. *Małe punkty* w 1966 roku dostały nagrodę Stowarzyszenia Księgarzy. W 1967 roku wyszła w „Czytelniku” *Gwiazda sezonu*. Film, który powstał na podstawie tej książki, nosił tytuł *Znaki na drodze*, dostał za debiut filmowy nagrodę Munka. A jednak... Na oszklonych drzwiach „pracowni” wisi plakat — *Znaki na drodze*, nazwiska reżysera, aktorów. Wśród nich uderza czerwonymi literami stwierdzenie

Autorzy
nie umieją
pisać
scenariuszy

Zbigniew Herbert

Colantonio - S. Gierolamo
e il leoneKarolowi Dedeciuszowi z niezłomną
przyjaźnią

Prawdę rzekłszy bałagan
książki w nieładzie
Organom Marx Engels Lolita Tractatus Logico-Philosophicus
święty czyta wszystko
i na marginesie
mak komentarzy:
porównaj strona 7 słusznie nie wynika
na biurku zwój pergaminów
pióro kałamarz klepsydra
bezużyteczne flaszeczki które pomagają w skupieniu
odbija się w nich świat odwrócony a więc poddany w wątpliwość
właśnie gdy czytał głośno
proroctwo świętego Jana
wszedł lew i wyciągnął
przebitą kolcem łapę
długim łacińskim stylem święty wyciąga cierń z szarej puszkii
to mogło skończyć się dobrze
ale skończyło się źle
lew przywiązał się bardzo
chodził wszędzie za świętym
tratował kwiaty
straszył rzeźników
tylko nieustraszone dzieci
wołały „głupi Leon”
i rzucaly kamieniami
święty robił co mógł
chowal się do bramy
kazał mówić służącej że „pana nie ma w domu”
nic a nic nie pomagało
lew ryczał walił ogonem
naprawdę zwariował
z miłości
w dzień kiedy święty umarł
odszedł przez brudne przedmieście
wprost na pustynię
i wtedy właśnie zobaczył
jak szkarłatny kapelusz
z potrójnym sznurem i czternastoma węzłami
którym święty przykrywał aureolę
gdy szedł do apteki na rogu
po proszki od bólu głowy
wschodzi wolno
jak księżyc na niebo
całe złote
i tam już zostaje
na zawsze



500-LECIE ALBRECHTA DÜRERA: ŚWIĘTY HIERONIM POKUTUJĄCY

Nie, to żart autora scenariusza, nie plakat — tylko zrecznie dolepony, wycięty z „Ekranu”, jakże wymowny, tytuł artykułu. Jak widać — czarownic w Polsce ciągle nie brakuje.

Następna książka — *Z braku dowodów* wyszła w „Iskrach” w 1968 roku. Temat ukazał się w „Czytelniku” w 1969 roku. Najnowsza książka Twerdochliba, to *Czterej w lesie*. Również w tym roku ukaże się w Wydawnictwie Literackim *Godzina za godziną*, powieść nagrodzona w Konkursie Leninowskim na utwór o Nowej Hucie. Nagrodzona zresztą jako nowela filmowa. Jej autor opracowuje właśnie scenariusz, przypuszczalnym reżyserem filmu będzie Jan Laskowski. Byłby to drugi film według scenariusza Andrzeja Twerdochliba; *Znaki na drodze* w reżyserii Andrzeja Piotrowskiego zostały ukończone w 1969 roku, premiera odbyła się w rok później.

Pisarz myśli również o słuchowiskach radiowych, dotychczasowy jego dorobek w tym gatunku to adaptacja własnych powieści — *Gwiazdy sezonu*, *Tematu* i *Z braku dowodów*. Zresztą, przypadkiem lub nie, są to książki najbardziej dla niego — z różnych zresztą względów — znaczące. Najwyżej sobie ceni z własnej twórczości właśnie *Temat* i *Gwiazdę sezonu*. Zdecydowa-

nie na końcu umieszcza *Z braku dowodów*.

Nawet te wyznania czyni Twerdochlib z pewnym ociąganiem. „Nie jestem oratorem” — mówi o sobie. To samo powiedział któryś z narratorów jego powieści. Ten z *Tematu* wyznaje: „Wywiady już nawet ze mną przeprowadzali. Pytali, co tu i ówdzie chciałem powiedzieć. A ja to kiedyś wiedziałem, wiedziałem na pewno, bo przy pisaniu zawsze staram się myśleć, ale kiedy pytali, już nie pamiętałem. Raz przyszedł facet i zapytał, jakie są moje antypatie literackie. Żeby zyskać na czasie, poszedłem zrobić herbatę i zanim się woda zagotowała, wymyśliłem odpowiedź.”

Tyle narrator Twerdochliba. Sam Twerdochlib mówi o sobie: „Brałem udział w almanachach (*Forum* w Krakowie). Trochę tekstów było na antenie, w *Twórczości*, *Życiu Literackim*, *Odrze*. Nigdy wierszy nie pisałem. Zaczęłem myśleć o pisaniu poważnie, kiedy w roku 1957 wydrukowałem pierwsze opowiadanie. Przez osiem lat opublikowałem osiem, może dziesięć opowiadań. Potem od razu książka.

Urodziłem się w 1936 roku w Ostrowi Mazowieckiej. Nie zostałem tam po wojnie. Wyjechałem — Śląsk, okolice Bielska. Maturę zdałem w 1953 roku, zaliczyłem

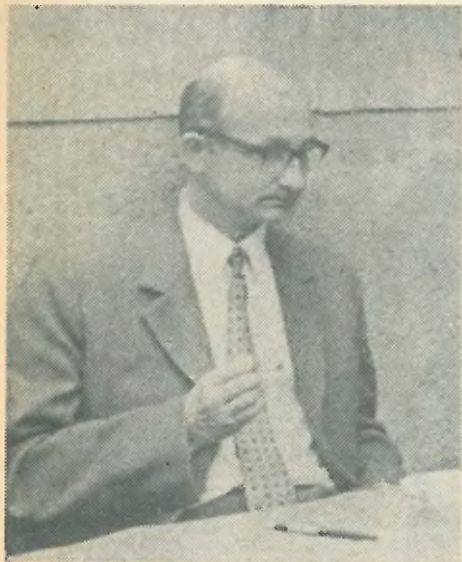
trzy lata na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej. W roku 1957 przerwalem studia, zacząłem pracować. Lista moich zajęć jest długa — kaowiec w funduszu wczasów, teatr — techniczny pracownik dekoratorni, kierowca, kontroler techniczny w różnych przedsiębiorstwach aż do 1968 roku. Od 57 do 1970 roku mieszkalem w Krakowie.

Londonowski życiorys? No, cóż, po prostu pracowałem. Tak, lubiłem tego pisarza i lubię w dalszym ciągu.”

Bohater i narrator *Tematu*, pisarz ironizuje na ten sam temat — „Ciężko to wyznać, ale chyba nie jestem z tych, co to się urodzili na pisarzy i wykazywali talenty już w starszych klasach szkoły podstawowej. Wypracowania i klasówki z polskiego zawsze na bardzo dobrze, od czasu do czasu jakiś zgrabny referat dla kółka miłośników książki, ukończone w terminie i z odnaceniem studia polonistyczne, historia sztuki jako drugi fakultet, albo może filozofia — lepiej filozofia — asystentura w katedrze literatury klasycznej, rozprawa doktorska na temat zastępowania przecinków we wczesnych utworach Józefa Ignacego Kraszewskiego, etat w wydawnictwie, drugi w redakcji czasopisma społeczno-kulturalnego, ryczałt w radio, drugi w telewizji, jeszcze jakiś stały felieton w piś-

mie popołudniowym. W mojej biografii nic z tych rzeczy. A raczej wszystko na opak."

Andrzej Twerdochlib wspomina: „Miałem trochę dobrych recenzji, trochę złych też miałem. Szczególnie za książkę *Z braku dowodów* oberwało mi się — jak najbardziej



śluszenie. Literatura... Po prostu do tego trzeba się dogryźć. Trzeba się zaciąć w pewnym momencie. Byłem w krakowskim Kole Młodych, na pierwszą książkę musiałem czekać osiem lat. Wielu zawodów można by się nauczyć w tym czasie, i

to nieźle. A przecież pierwsza książka jest dopiero początkiem, wstępem. W Kole Młodych miałem wielu znajomych, dzisiaj nie wiem, co się z nimi stało, nikt o nich nie słyszy. Wydaje mi się, że potrzebne są takie doświadczenia, jakie ja miałem. A nie chodzi wcale o to, żeby „podglądać”, opisywać autentycznych ludzi i zdarzenia.

Dodajmy od siebie, że pisarstwo „nieuniwersyteckie” ma tę wyższość chociażby, że zna z własnych doświadczeń realia, o których dzisiaj dopiero głośno — i z bolesnym zdziwieniem — się mówi. W powieści *Gwiazda sezonu*, wydanej w 1967 roku, autor pisze o bohaterze: „Michał nie miał dotychczas dobrych doświadczeń z przełożonymi. Zdażył ich poznać. Byli zawsze tacy mądrzy, uczciwi i szlachetni, ale jak przyszło do dzielenia premii, zamykali się w gabinecie i sobie przydzielali kolektywnie po trzy razy tyle, co innym pracownikom. Rzecz prosta z innej listy, tajnej, żeby nie obniżyć morale tłumiu. A jak się w przedsiębiorstwie trafiły dwie darmowe wycieczki zagraniczne, to nie jechał żaden starszy księgowy, tylko naczelny i jego zastępca do jakichś tam spraw.”

Stojąc przed drzwiami mieszkania Twerdochlibów słyszę stukot maszyny do pisania. Dzwonię z odrobiną skruchy — że przeszkadzam, z wielką satysfakcją — że tak ładnie wszystko mieści się w modelu, dobry początek... „Przerwałam właśnie pracę nad kolejną powieścią...” Nic z tego. Pisarz pracował rzeczywiście, ale pisał dla zaprzyjaźnionych sąsiadów podanie — do Związku Kynologicznego o przydział odpowiedniego partnera dla bardzo rasowej Arabelli (rasy

collie). Twerdochlib chętnie pokazuje meble, które sam zrobił. Niechętnie mówi o własnych książkach. Chętnie, z zachwytem o cudzych. Ta fascynacja literaturą nie jest niczym „od święta”, jest oczywista, tkwi w życiu jak zainteresowanie synem, który właśnie wrócił, jak przyjaźń z sąsiadami, jak zrobienie czegoś własnymi rękami.

W słońcu wygrzewa się kot Generał. Nikomu nie przeszkadza, że w fotelu. Generał otwiera oczy, ale nie jest zaniepokojony widząc „małd sobą” całą rodzinę i obcą osobę. Zasypia z powrotem. Kiedy go znaleźli, bał się ludzi i nie pozwalał do siebie podejść. Bohater ostatniej książki Twerdochliba, reżyser filmowy, nawet w monologach wewnętrznych myślicy o sobie jako o Twórcy, na spacerze w lesie słyszy dziecięcia. „Dzieciód ciągle terkotał. Reżyser przez chwilę wypatrywał ptaka, wypatrzył wreszcie i sięgnął po kamień. Wstał, przymierzył się starannie i cisnął”. Autor, poza tym, że ośniewa nas dowcipem — co niestety we współczesnej prozie polskiej jest coraz rzadsze (nie licząc książek, z których każą nam śmiać się wydawcy, ale tam raczej może być mowa o śmiechu historycznym) — szkicuje niezwykle celne portrety psychiczne bohaterów. Robi to ciekawą kreską, ale efekt nie budzi wątpliwości. Oto dalszy ciąg epizodu z reżyserem: — „Widziałem dziecięcia — pochwalił się Borysławski”.

Może więc literatura określana niejednokrotnie mianem „małego realizmu” w bezwzględności z jaką potępia małe świństwo — jest literaturą wielkiej moralności; tej na co dzień. ■

DŁUGOPISEM

PIĘKNE MARGINESY

Mówi się o kryzysie polskiej prozy współczesnej i jest w tym dużo racji. Mówi się o kryzysie młodej poezji polskiej i jest w tym dużo racji. Mówi się, że literatura rozrywkowa w Polsce osiągnęła dno przepaści grafomanii, choć niekiedy pisarze uprawiający literaturę tzw. piękną, oddają się zajęciom zgoła rozrywkowym. W tym twierdzeniu jest najwięcej racji. Ale przy wszystkich narzekaniach i jeremiadach na niepełność naszego życia literackiego na półkach księgarskich, warto jednak wrócić uwagę na dwa obszary tematyczne, które niestety wrzuca się na ten sam stos, gdzie „wszelkie robactwo i diabły i czarownice wsteczne”. Tymi dwoma obszarami są — proza o tematyce wiejskiej i literatura dla dzieci i młodzieży. W obu tych „tematach” zapisano wiele udanych stron i zebrano je w dość ciekawe książki. I jeżeli nie ma pełni szczęścia, to może dlatego, że kiedyś Reymont dostał za „Chłopów” Nobla i dopiero taki laur uświetniłby nasze pisanie o wsi w kraju przemysłowo-rolniczo-morskim. Lecz i tak, choć na razie nam chyba tu Nobel nie grozi, od czasów Reymonta, samotnego bądź co bądź, nikt tak dużo i tak dobrze nie pisał o współczesnej wsi polskiej, co próżnicy ostatniego dwudziestopięciolecia.

Inna sprawa jest z literaturą dziecięcą i młodzieżową. Jest to dział w literaturze dość specyficzny. Granica między dzieckiem a młodzieżowcem jest dość płynna. Nawet się człowiek nie obejrzy, a tu z dziecka panna, z dziecka kawaler. Jest to proces w dojrzałości postępujący, dynamicznie się rozwijający. Im dalej w las, tym więcej szarych komórek, tym więcej zmartwień, tym więcej doświadczenia. Z pisarstwem dla dzieci i młodzieży jest zgoła lub przeważnie inaczej. To oczywiście nie znaczy, że dla dobrej książki dla dzieci pisarz musi dziecińczyć, lecz i w tym coś jest. Trzeba nie tylko się „zatrzymać” w rozwoju, ale trzeba „wrócić”. Nie jest to jednak poszukiwanie czasu utraconego; nie czas, ale odbiorca jest tu poszukiwany. Jego to pisarz chce „odzyskać”.

Jaki jest więc przepis na dobrą książkę dla dzieci, dla młodzieży? Czy trzeba być wybitnym pisarzem dla „dorosłych”? Przeważnie pisanie dla dzieci i młodzieży jest marginesem w pracy twórczej pisarza, na tle tej ważniejszej, dla „dorosłych”. Ważniejszej? Boże, skoro się musi tam, odkrywać nowy świat w nowej atmosferze, skoro trzeba konstruować i kreować inną rzeczywistość dla dzieci dojrzałych lub nawet przejrzałych, sprawom tym trzeba nadać charakter ostateczny. Tymczasem tu pióro zanurza się w różowym atramentie podobnych marzeń, malutkich kłopotów, jasnej nadziei na przyszłość, wiary w cud, że młody bohater dokona cudu... I pewnie pisarz uśmiecha się pisząc, pozbawiając głowę swoich bohaterów, albo czasem nawet bawi go ta przygoda odkrywania sposobu myślenia i reakcji nie dorosłych jeszcze ludzi. Jest to pisanie więc zabawą? Z kim, przeciw komu? Jeżeli z młodymi — to z przyjęciem wszelkich reguł gry: Stanie w kole. Gra w klasy. W kłipe. W palanta. Gra więc pisarz poważny, autor poważnych i „odkrywczych” książek dla dorosłych ze swoimi młodymi rówieśnikami. Sądję, że pisanie tych książek jest zajęciem najbardziej angażującym uczucie. Pisarz jest przejęty faktem, że oto odzyskał znów archipelag utraconej młodości, że wiatr wyobraźni może znowu pognać jego łódź do wysp szczęśliwego dzieciństwa. Ta pasja przenoszenia się w czas przeszły, bo to jest tylko to, przenoszenia się w świat psychiki „odbiorcy” rzadko udaje się bez utożsamienia się z młodością. W wyobraźni świat ten kiełkuje nową rośliną, odnawiającą krajobraz słów wiosenną świeżością. Te podeptane łaki są obok, to prawda, te wycięte lasy widać tuż przy tej samej drodze, to fakt, ale teraz biegniemy za motylem, który unosi się lekko, uciekając spod ręki. W tych książkach pisarz najmądrzejszy, jest rzeczywiście mądrzejszy od swych bohaterów, co tak rzadko udaje mu się spełnić, gdy ma do czynienia z bohaterem mu rówieśnym.

A poeta? I jemu heksametr i sonet sen spędzają z powiek, źródła wyschnięte, rzeki bez ryb... Teraz zniżając się do uśmiechniętego malca dobiera słowa najprostsze, lecz najważniejsze, uskrzydłone świeżością wyobraźni dziecka, nieskażoną jeszcze podręcznikiem specjalnie dla niego napisanym. Ptak jest puszką z racyną w wiatr, a kamyk górą na drodze matych nóżek, butelka mleka — rzeką, a krzesło — wysoką wieżą, bardzo chwiejną.

Tak więc jest ten margines piękną przygodą, jest oddechem w dusznym mieszkaniu dorosłych, odpoczynkiem w jazgocie świata. Trzeba tylko trochę cierpliwości i... miłości. Tylko taki pisarz sprostą ważnemu zadaniu kulturowemu, jakim jest twórczość dla dzieci i młodzieży. Radością naszego życia literackiego jest fakt, że takich pisarzy mamy we współczesnej Polsce bardzo wielu.

BERNARD

Z MYŚLĄ O ROZWOJU ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

W dyskusji redakcyjnej na temat pracy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego uczestniczyli członkowie Zarządu Głównego tej organizacji: Józef Borzyszkowski, Stanisław Cygiert, Tadeusz Gleinert, Regina Grzenkowicz, Wojciech Kiedrowski, Ryszard Łosiński, Wacław Odyniec i Izabella Trojanowska. Redakcję reprezentowali: Tadeusz Bolduan i Stanisław Pestka. (Not. tb.)

TADEUSZ BOLDUAN: Spotykamy się w gronie działaczy kaszubsko-pomorskich, żeby omówić niektóre sprawy związane z dalszą działalnością Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Dla nikogo z nas nie jest tajemnicą, że Zrzeszenie od wielu lat działa niewłaściwie i do niedawna przeżywało kryzys organizacyjny spowodowany przede wszystkim postawą jego kierownictwa. Stan „radosnej improvisacji” trwał dość długo, ale na szczęście — mam nadzieję — definitywnie się skończył. Nowe władze organizacji, poważnie odmłodzone, podjęły już szereg decyzji zmierzających do uporządkowania agend i odbudowania poszczególnych komórek, tych mianowicie, które albo przestały istnieć, albo istniały tylko formalnie. Pracuje się nad modyfikacją statutu i innych dokumentów, wyznacza się docelowe programy pracy. Częściowo odeszli ludzie pełni kompleksów, lękliwi, w niektórych przypadkach nieudolni. Odejdą z pewnością ci jeszcze, którzy nie są zainteresowani w rozwoju organizacji i w pojedynczych przypadkach próbują działać na jej szkodę. Trzeba ich pożegnać i to szybko. Uważam, że konfliktowa sytuacja w Zrzeszeniu rodziła się na tle odmiennych zapatrywań na pracę regionalną dwóch pokoleń: starszego i młodszego. Starszym działaczom wystarczała niejednokrotnie działalność improvisowana, wystarczało przylączenie się do przedsięwzięć innych organizacji, młodzi natomiast postulowali konkretne formy pracy i uznawali tylko rzeczywiste wyniki osiągnięte w ramach organizacji i przez jej członków. Za współpracą opowiadali się tylko wtedy, kiedy sami mogli wnieść do niej swój wkład i uważali ją za celową. Zachowując to, co dobre w organizacji, trzeba zarazem wypracować nowy program wyraźnie precyzujący cele i zadania Zrzeszenia. Ten program powinien łączyć wszystkich w pracy, a nie zniechęcać do niej na jakże często jałowych zebraniach i odprawach. Chcielibyśmy zatem podyskutować na temat tych różnych spraw nurtujących Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, zasygnalizowanych również w moim artykule, opublikowanym w marcowym numerze „Liter”.

IZABELLA TROJANOWSKA: Mnie interesuje działalność organizacyjną Zrzeszenia, która w ostatnim okresie zaczęła się kształtować w sposób specyficzny. Chodzi mi o to, że pewne ogniwa Zrzeszenia, konkretnie oddziały gdański i wejherowski, stworzyły sobie program działania i zaczęły pracować pozytywnie, w minionej sytuacji często nawet wbrew Zarządowi Głównemu. Tę aktywną działalność powinno się przejąć na pozostałe oddziały, którym indolencja Zarządu Głównego nie pomagała, a raczej pogłębiała ich słabość. Myślę, że praktyka przede wszystkim oddziału gdań-

skiego powinna być rozszerzona, to znaczy, że w oddziałach powinni dochodzić do głosu młodzi. Zrzeszenie przez długie lata opierało się na działaczach starszego pokolenia, powiedziałabym — najstarszego, czyli na tych, którzy działalność społeczną zaczęli często jeszcze przed wojną. Zabrakło pokolenia średniego, albo raczej było ono nieliczne. W tej chwili wyrasta pokolenie młodych działaczy. Ci młodzi powinni przejąć pracę organizacyjną, bo są prężniejsi, mają więcej sił i czasu, chociaż... z tym czasem różnie bywa. Starszym działaczom należy się po prostu odpoczynek. Powinni służyć radą i pomocą, ale nie należy ich już eksploatować, zmuszać do uciążliwej pracy organizacyjnej. Wymiana pokoleń powinna nastąpić — tak mi się zdaje — w Gdyni; Zrzeszenie jest dosyć słabe w Kartuzach, ale tam znajdu-



ją młodzi działacze. W Pucku jest inna sytuacja, tam jest średnie i młode pokolenie, więc działalność powinna być wspólna.

STANISŁAW CYGIERT: Cieszą mnie zmiany dokonane u nas, w Zrzeszeniu. Wierzę, że nowe władze naczelne umożliwią rzeczywistą pracę regionalną i przede wszystkim zrezygnują z tego niepotrzebnego balastu papierkowego, który spływał w dół. Mam wrażenie, że potrzeby terenowe, oddolne głosy, problemy nurtujące naszych członków w oddziałach będą bardziej respektowane, a nasza praca będzie w Zarządzie Głównym właściwie oceniana. Jak podkreśliła p. Trojanowska, u nas, w Pucku, rzeczywiście nie ma aktywnie działających starych działaczy, chociaż mamy wielu zasłużonych i o nich pamiętamy. To są ci ludzie, którzy zakładali nasz oddział, potem zaś z różnych względów wycofali się. Skupiamy raczej pokolenie średnie, chcemy też nawiązać bliższy kontakt z młodymi, pracującymi m. in. w zawodzie nauczycielskim....

IZABELLA TROJANOWSKA: Czy kłopoty z pozyskaniem dla oddziału nauczycielstwa nie wiążą się z klimatem, jaki wytworzył się wokół oddziału w powiecie?

STANISŁAW CYGIERT: Tak, wytworzył się u nas niekorzystny klimat. A przecież przed kilku laty w powiecie była czysta atmosfera, mogliśmy spokojnie pracować. Byliśmy wszędzie mile widziani, akcentowano naszą działalność, omawiano ją i oceniano np. w Komitecie partyjnym. Ostatnio dzieje się odwrotnie, panuje tendencja do tuszowania naszej pracy. To nie zachęca. Pra-

cujemy przecież społecznie, a praca społeczna wtedy daje zadowolenie, kiedy jest omawiana i doceniana, jeśli widzą ją i cenią również władze powiatu. Rozmawiałem o tych sprawach z I sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR, który był zaskoczony moją opinią. W planie mamy spotkanie z Sekretariatem KP, więc na pewno wyjaśnimy sobie wszystkie kontrowersyjne sprawy. Puck jest powiatem specyficznym, chociażby z uwagi na przewijające się przez nasz teren, latem oczywiście, dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi. Wśród wczasowiczów notujemy duże zapotrzebowanie na wiedzę regionalną. Pracowaliśmy i będziemy pracować w tym kierunku. Chcemy nadal organizować wystawy, prelekcje, chcemy popularyzować nasze filmy, również te, które powstały w



naszym amatorskim klubie filmowym. Ale praca w naszym powiecie nie jest łatwa, np. notujemy dużą płynność kadr, zwłaszcza posiadających wyższe wykształcenie. Biorąc to pod uwagę, wspólnie z Prezydium PRN przygotowujemy spotkanie ze studentami pochodzącymi z naszego powiatu. Chcemy porozmawiać o różnych sprawach, także o możliwościach zatrudnienia przyszłych absolwentów, o ich planach.

JÓZEF BORZYSZKOWSKI: To jest bardzo cenne, że oddziały nawiązują bezpośrednie kontakty ze studentami, którzy wywodzą się z ich terenu. W praktyce klubu „Pomornia” zauważyliśmy, że tylko w minimalnym



stopniu przychodzą do niego ci, którzy chociaż trochę znają Zrzeszenie z działalności w terenie. W powiatach jest wielu działaczy, którzy „wyżyli się” już organizacyjnie, teraz należałoby korzystać raczej z ich doświadczeń. Celowy byłby roboczy kontakt

młodych ze starszymi działaczami, który pozwalałby na omawianie form pracy itp.

WOJCIECH KIEDROWSKI: Można powiedzieć, że w procesach społeczno-kulturalnych odnotowujemy dwa nurty: jeden przebiega poza Zrzeszeniem, drugi w samej organizacji. „Słownik gwar kaszubskich” dra Sychty, „Historia Pomorza” redagowana przez prof. Labudę, „Kaszubi bytowscy” doc.



Kukiera, „Życie codzienne na Pomorzu” Kiersnowskich, „Tragedya o Bogaczu y Łazarzu”, film „Kaszëbë” itp. — to są zjawiska powstające niezależnie od tego, czy Zrzeszenie istnieje, czy też nie. Na ten dorobek składa się praca wielu ośrodków, wielu ludzi, tego typu dzieła będą powstawać nadal, bez względu na przynależność naszej organizacji. Nam powinno zależeć na tym, żeby w tym kierunku tematycznym, kaszubsko-pomorskim, inspirować ludzi nie zajmujących się dotąd tą problematyką.

STANISŁAW PESTKA: Jaki powinien być charakter tej inspiracji? Bo wiadomo, że w muzeach zgromadziliśmy już sporo eksponatów, przekazów sztuki ludowej, inwentaryzujemy się je w dalszym ciągu, ale dobiegamy właściwie końca. W związku z tym rodzi się pytanie, jak powinno wyglądać profilowanie tej działalności regionalistycznej, czy trzeba i można tutaj pójść za sugestiami np. prof. Burszty, który mówi, że przede wszystkim towarzystwa regionalne powinny w swej działalności nastawiać się na tzw. folklorystykę. Wiadomo, że prof. Burszta jest autorem terminu folklorystyka...

WOJCIECH KIEDROWSKI: Rozumiem, chodzi o — powiedzmy — dodawanie wytworów kultury ludu tej ziemi do dóbr wytwarzanych współcześnie, niekoniecznie w świątku ludowym. Pomijam to, że krajobraz, architektura, muzea mogą inspirować twórców w szerokim znaczeniu. Do tej pory Zrzeszenie kładło główny nacisk na taką działalność, jak spotkania autorskie, dyskusyjne, różne wieczory tematyczne z udziałem różnych miar fachowców jako prelegentów. Innymi słowy — popularyzacja. Były to inicjatywy kameralne i cały zysk inkasowała organizacja, która łatwo mogła to odnotować w sprawozdaniach. Niewątpliwie niektóre z tych przedsięwzięć były dobre, ale w tej chwili z naszą działalnością trzeba wyjść szerzej. Organizacja powinna pomagać młodym naukowcom, twórcom, których nazwiska dopiero się ujawniają. Trzeba do nich dotrzeć i w ogóle do szerszych kręgów społeczeństwa. Trzeba zdobyć materiał do przetwarzania w trybach organizacji. Myślę, że wciąż aktualna jest sprawa rozpisywania konkursów na pamiętniki, wspomnienia, utwory literackie. Warto też pomyśleć o zawieraniu umów z naukowcami, sugerując im konieczność zbadania takiego czy innego problemu.

IZABELLA TROJANOWSKA: Czyli obok popularyzacji również inspiracja...

WOJCIECH KIEDROWSKI: Tak, ale inspiracja konkretna, wpływająca z zamówienia społecznego, z potrzeby ułatwienia

startu, powiedzmy twórcy ludowemu. I jeszcze kilka słów o „Pomoraniu”. Trzeba przyznać, że członkowie klubu zawsze wyjątkowo trafnie wyróżniają medalem Stolema zasłużonych dla Kaszub i całego Pomorza ludzi. Młodzi z klubu na bieżąco reagują na wszystkie najbardziej wartościowe zjawiska twórczej myśli i pozytywnego działania, trzymając rękę na pulsie współczesnego życia. Ale — powiedzmy to sobie otwarcie — Zarząd Główny nie wykorzystywał inicjatywy młodych, nie wyławiał mowych nazwisk. Poza zasięgiem bezpośredniego działania postawiliśmy np. Edmunda Puzdrowskiego i Jana Drzeżdżona.

STANISŁAW CYGIERT: Byłem jednym z pierwszych członków „Pomorania” w okresie, kiedy Zrzeszenie wegetowało. Z przyjemnością stwierdzam, że ten zapoczątkowany przez „Pomoranie” ruch młodych pięknie się rozwijał. Członkowie klubu są niezwykle aktywni. Jednego lata, objeżdżając Kaszëbë, zawitali do Wierzhucina — wsi na krańcach powiatu puckiego, która do ostatniej wojny należała do Niemiec. Tam członkowie „Pomorania” spotkali się z ludźmi, którzy życie strawili na walce o polskość, o zachowanie swojej narodowości. Wzruszające było to spotkanie, a gdy młodzi zaśpiewali nasze pieśni, tym starszszkom łzy lały się z oczu. Mówili: „My już nie pamiętamy, a wy to tak ładnie śpiewacie...”

WACŁAW ODYNIEC: Na uniwersytecie mamy już umowę z wejherowskim muzeum na prowadzenie badań w Wierzhucinie...

IZABELLA TROJANOWSKA: Muzeum wejherowskie jest przykładem szerszego działania Zrzeszenia i to nie tylko w zakresie popularyzacji, ale i nauki, a także twórczości, gdyż zajmuje się m.in. muzyką...

REGINA GRZENKOWICZ: Chcę nawiązać do artykułu p. Bolduana opublikowanego w „Literach”, w którym krytycznie omówiono pracę Zrzeszenia. Dlaczego Zrzeszenie w ostatnim okresie podupadło? Zdecydował o tym chyba ogólny klimat wytworzony wokół organizacji, którego nie potrafiono zmienić. Stracono pokolenie ludzi w wieku 30—40 lat, które faktycznie nie włączało się do pracy. W Zrzeszeniu pozostali ludzie starsi, a zarazem dano szansę rozwoju młodym działaczom — studentom z klubu „Po-



morania”. Ze strony dotychczasowych władz Zrzeszenia młodzi otrzymywali znaczną pomoc, m.in. finansową. Przekonali się oni jednak, że nie można dalej tolerować indolencji starszych działaczy, którzy stale oglądali się za siebie i tylko czekali na reakcję władz, czy pewnych grup społeczeństwa. Taka atmosfera doprowadziła do bezwładu i nawet niemożności celowego działania. Wierzę, że to ulegnie teraz zmianie, bo przecież praca Zrzeszenia jest bardzo potrzebna. Odczuwa się np. brak rzetelnej informacji o działalności Kaszubów na terenie Pomorza w rozwoju dziejowym i współcześnie. Na jednym ze spotkań w ramach cyklu „Współczesna kultura Pomorza”

doc. dr A. Januszajtis zwrócił uwagę na niedoceniony problem działalności polskiej na terenie Gdańska, prowadzonej w języku niemieckim. Działalność ta pozostawała pod wpływem kultury polskiej i służyła sprawie polskiej. Chodzi więc o ciągłość tradycji, która szczególnie zaznacza się na obszarze Kaszub. Niczego nie budowaliśmy od nowa, po prostu rozwinięliśmy i kontynuujemy to, co tutaj już było. Podtrzymuję więc już wielokrotnie zgłaszaną propozycję stworzenia wszechkierunkowo kaszubsko-pomorskiej. Inna sprawa: Zrzeszenie powinno dbać o stworzenie autentycznej atmosfery tego regionu w sezonie turystycznym, kiedy przyjeżdża do nas wielu ludzi absolutnie nie znających problemów Pomorza Gdańskiego. Istnieje zatem konieczność kontynuowania Dni Folkloru Ziemi Gdańskiej, popieram propozycję p. Bolduana sprzedaży wydawnictw regionalnych w ośrodkach turystycznych. Należy pomyśleć o kilku miejscowościach, np. o Sopocie, Jastrzębiej Górze, Łebie, Wierzy, Wdzydżach — miejscowościach najbardziej atrakcyjnych. Powinno się tam stworzyć stałe ośrodki-kiermasze wydawnictw, wyrobów ludowych... W z góry określony dzień, powiedzmy raz w tygodniu, dobrze by było prezentować zespoły regionalne, w innym dniu wyświetlać filmy typu „Kaszëbë” i oświatowe, w innym znowu dniu mogłyby wystąpić teatr amatorski, można też organizować spotkania autorskie. Konieczna jest oczywiście współpraca z innymi organizacjami o charakterze turystyczno-wypoczynkowym; to wszystko powinno być ujęte w planach, wydrukowane w folderach i... przynosić dochód.

RYSZARD ŁOSIŃSKI: Wyjdę od ogólnych uwag, bo traktuję to nasze spotkanie jako



dążenie do uaktywnienia Zrzeszenia — żebyśmy mogli wyjść z bardziej konkretnym programem i planem działania. Trzeba zarazem szukać przyczyn niezadowolającej aktywności w minionym okresie. Tych przyczyn jest dużo, można się ich dopatrzeć w pracy samego Zarządu Głównego i poszczególnych oddziałów. Zrzeszenie posiada ogólny program, ale za mało dyskutujemy o tym, co powinniśmy robić na co dzień, poprzez różne ogniwa naszej organizacji. Żeby robić, trzeba jednoznacznie określić, co robić. Uważam, że trzeba opracować plan pracy na 2—3 lata. Jednym z podstawowych braków naszej działalności jest to, że za mało popularyzujemy nasz folklor i kulturę duchową na zewnątrz. Działamy w zbyt wąskim gronie, do Zrzeszenia przyciągamy zbyt mało ludzi, którzy byłiby pozytywni w rozwijaniu społecznych inicjatyw. Chyba nie w tym rzecz, żeby starych działaczy zastąpić młodymi. Podział na starych i młodych jest niesłuszny — wspólna praca powinna być po prostu bardziej zsynchronizowana. Przecież poza naszą organizacją jest wielu działaczy, którzy są bardzo mocno związani z kulturą regionalną. Powinniśmy z nimi nawiązać bliższy kontakt. Myślę o naukowcach, działaczach kulturalnych, o ludziach różnych profesji. Za mało współdziałamy z organizacjami czy towarzystwami o pokrew-

nym profilu. Chyba nie jest ważne, komu przypisze się taką czy inną działalność. Ważna jest treść i rezultat pracy.

IZABELLA TROJANOWSKA: Współdziałanie Zrzeszenia z innymi organizacjami jest bardzo szeroko rozwinięte, np. w oddziałach gdańskim i wejherowskim. Zrzeszenie jest z reguły jednym z partnerów!

RYSZARD ŁOSIŃSKI: Pozostaje jeszcze problem trudniejszy... Dużo mówimy o tym, co było, mniej o teraźniejszości, a jeszcze mniej o perspektywie jutra. Nasza działalność nie może się ograniczać tylko do popularyzacji folkloru, do upamiętniania wydarzeń historycznych. Trudno mi w tej chwili sprecyzować, w jaki sposób włączyć się w nurt współczesnego życia, bowiem problem ten jest skomplikowany...

TADEUSZ BOLDUAN: Cała działalność Zrzeszenia jest działalnością współczesną. Czyżby utrwalanie pamięci o tych, którzy odeszli, nie było działalnością współczesną? Czyżby folklor był zjawiskiem martwym? Jeśli zaś chodzi o współdziałanie, to — jak dotąd — Zrzeszenie niemal wyłącznie współdziałało z różnymi organizacjami i instytucjami. Istotny jest problem wyboru: z kim i w jakim kierunku współdziałać. Ograniczanie się do uczczenia swojego sztydu niczego nie załatwia. Zrzeszenie nie uchylało się i prawdopodobnie nie będzie się uchylać od współpracy z innymi partnerami. Żeby jednak być równorzędnym partnerem, organizacja musi najpierw stanąć na nogi. Cała organizacja.

WOJCIECH KIEDROWSKI: Zgadzam się z p. Łosińskim w sprawie problemu starszy — młodzi. Myślę, że jest tylko problem ludzi umiejących i chcących pracować, z drugiej strony tych, którzy poprzez swój dawny dorobek, niekiedy niesłusznie sobie przypisany, usiłują za wszelką cenę zatrzymać swoje funkcje, bo one — ich zdaniem — powinny torować drogę do różnych zaszczytów. Tę negatywną cechę możemy zaobserwować również u niektórych młodych. Jeśli chodzi o współdziałanie, to p. Bolduan określił je wyraźnie. Jest tylko niebezpieczeństwo w tym sztydowaniu, w sztucznej autoreklamie, przeznaczonej głównie dla celów sprawozdawczych. Na terenie Gdańska do końca roku chcemy kontynuować cykl dyskusyjny „Współczesna kultura Pomorza”. Te spotkania mają na trwałe skupić wokół oddziału członków Zrzeszenia oraz specjalistów różnych dziedzin, a jednocześnie dostarczyć ich uczestnikom trochę wiadomości, jakich nie zdobędą za pośrednictwem środków masowego przekazu. Różne spotkania chcemy organizować rzadziej, ale lepiej, żeby nie zniechęcać naszych członków. Udane są nasze uroczystości wręczenia medalu Stolema w klubie „Pomorania”. Do końca roku wydamy 8–10 książeczek — utworów literackich i o charakterze propagandowym. Myślę, że inspirować i popularyzować nasze sprawy powinniśmy głównie poprzez wydawnictwa i środki masowego przekazu. Wydawnictwo Morskie nie interesuje się literaturą kaszubską, przed laty uległa likwidacji „Biblioteczka kaszubska”, ale nie powinniśmy rezygnować z dalszych zabiegów umieszczenia w tym wydawnictwie czegoś wartościowego. Inna sprawa: chcemy wystawić 2–3 tablice upamiętniające działalność „Gryfa” w Gdańsku, założenie pierwszego muzeum kaszubskiego w Sopocie i może jeszcze inne wydarzenia. Podobną inicjatywę powinny przejąć pozostałe oddziały.

WACŁAW ODYNIEC: Najpierw kilka uwag dyskusyjnych. Czy stało się coś złego, że Kaszuba prof. Labuda redaguje „Historię Pomorza”? Dlaczego my tego nie dyskutujemy? Co to ma do rzeczy, że mieszka w Poznaniu? Nas, jako Zrzeszenia, tam nie ma, ale jest ktoś, kto tworzy „Historię Pomorza”. Albo ks. Sychta. Drukuje on swoją wielotomową pracę we Wrocławiu, firmuje Ossolineum, PAN i GTN, ale ks. Sychta jest autentycznym Kaszubą... Tak sobie słucham: regionalizm i regionalizm! Kiedyś doc. Zajewski przeprowadził ze mną na ten temat wywiad, opublikowany w „Literach”.

Twierdzą, że regionalizm jest bardzo wskazany, jednak my o jednym zapominamy i całemu społeczeństwu nie wbijamy do głowy, że Kaszuby są integralną częścią Polski i wszystko, co my robimy, powinniśmy robić



w aspekcie jednej części Polski. Tymczasem my zamykamy się niekiedy w swoich sześciu czy dziewięciu powiatach. Może mnie spotkać zarzut, że chciałbym, aby ten region rozplynął się w „polszczyźnie”. Nieprawda! Kaszubszczyzna jest przecież częścią kultury polskiej. W swojej pracy zawsze starałem się wykazać związki między morzem i Pomorzem a resztą Polski. Tymczasem — tak mi się zdaje — Zrzeszenie chce robić wszystko samodzielnie, a przecież ono nie jest bogate. Może więc znajdzie mecenasów, którzy są uczuleni na to, co my robimy? Poza tym, czy Zarząd Główny i zarządy oddziałów wiedzą, co na temat Pomorza i Kaszub robi się w kraju?

WOJCIECH KIEDROWSKI: Przyznawanie medalu Stolema dowodzi, że doskonale orientujemy się nie tylko w tym, co się dzieje w kraju, ale i za granicą. Dlatego Stolema dostał doc. dr Frido Mětsk, a jednym z kandydatów był F. Neureiter z Austrii. Natomiast prawdą jest, że inicjatywy młodych nie podchwytowała cała organizacja, nie popularyzowała np. dzieła prof. Labudy, czy ks. dra Sychty, nie dawała autorom satysfakcji. My się bardzo cieszymy, że poza Pomorzem powstają dzieła o Kaszubach, my o nich doskonale wiemy. Zrzeszenie wcale nie musi mieć wpływu na ich powstawanie, ale wyniki badań powinno upowszechniać.

WACŁAW ODYNIEC: Moim zdaniem prace o Kaszubach wcale nie muszą powstawać poza Zrzeszeniem, my powinniśmy je inspirować.

WOJCIECH KIEDROWSKI: Niekoniecznie! Na przykład na Uniwersytecie Gdańskim powinny powstawać — i powstają — prace, jakie nigdy nie powstaną w ramach Zrzeszenia. Tam są pracownicy naukowcy, instytuty...

WACŁAW ODYNIEC: Dobrze, ale my na uniwersytecie nie mamy np. katedry etnografii. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie powinno w tej sprawie wystąpić chociażby do władz uniwersyteckich, bo nasza etnografia po prostu leży...

IZABELLA TROJANOWSKA: Powinniśmy pamiętać o tym, że Zrzeszenie interesuje się całym Pomorzem. Mamy przecież etnografię w Toruniu, nie jest więc istotne, czy ona będzie w Gdańsku. Ważne natomiast jest, żeby instytut, czy odpowiedni zakład literatury UG zajmował się również literaturą regionalną w jak najszerszym zakresie, żeby historią tego regionu zajmował się instytut historii.

STANISŁAW PESTKA: W nawiązaniu do tego, co tutaj powiedział p. docent Odyniec na temat wąskiego traktowania działalności regionalistycznej. Z ust pana docenta padł zarzut, że w dotychczasowej działalności bardzo często widziało się tylko region, tracąc z oczu — tak to zrozumiałem — tę szerszą ojczyznę i gubiąc niejako po drodze te polskie

wątki. Wynikało to może z jakiejś fascynacji tym regionem i w rezultacie sprawy bardziej ogólne, dotyczące kraju, schodziły na plan dalszy. Ja bym się z takim postawieniem sprawy nie zgodził, odwołałbym się tutaj do jakichś przykładów, doświadczeń z poprzednich lat, może jeszcze z czasu działalności dwutygodnika „Kaszëbë”. Sądzę, że problem nie przedstawia się tak, jak go tutaj naświetla p. Odyniec, lecz odwrotnie. Właśnie z praktyki redakcji „Kaszëbë”, z działalności Zrzeszenia Kaszubskiego i obserwacji tego wszystkiego, co się działo w terenie wynika, że bardzo często, aż do przesady, podkreślano związki z Polską; wszelkie sesje, artykuły były przeładowane tego typu informacjami, były niejako ustawiane pod kątem właśnie związków z Polską. To nie były prace wykonywane na siłę, bo te związki istniały rzeczywiście, poczynając od Ceynowy. Obserwatorzy nie — Kaszubi bardzo często zapytywali: dlaczego tak często to podkreślacie, czy cierpicie na jakiś kompleks, że ciągle zbieracie te dowody? Uważam więc, że ten zarzut wytoczony tutaj regionalistom, działaczom, miłośnikom regionu jest na wyrost. Chciałbym tu jeszcze nawiązać do wypowiedzi p. Łosińskiego w sprawie szeroko rozumianej współpracy Zrzeszenia z różnymi instytucjami. Oczywiście jest w tym jakaś racja, że w wielu punktach ta działalność się pokrywa, zalebia i często zachodzi potrzeba tej ścisłej współpracy. Jakże formy ona przybiera? Widzieliśmy to na przykładzie Zrzeszenia, które dostarczało niejednokrotnie tylko sztydu, albo tylko uczestniczyło w imprezie sztydowanej przez inną instytucję. Takich rzeczy należałoby unikać, niemniej jednak problem współpracy istnieje. Dyrektor WDK Cybulski wyszedł z propozycją stworzenia federacji różnych towarzystw. To jest problem koordynacji. Ja byłbym przeciwny koordynowaniu poprzez stworzenie jakiegoś nadrzędnego ciała, którym miałyby zostać GTPS. Wiemy, jaki profil ma ta organizacja.

JÓZEF BORZYSZKOWSKI: Cenię wyżej tych, którzy nie są zdecydowanymi integrystami, nie niwelują różnic regionalnych. Smutne, że nic się nie robi, aby utrzymać specyfikę Kociewia. Cieszyłbym się, gdybyśmy w Kociewiu mieli równego partnera. W zakresie informacji oparciem dla nas powinien być biuletyn „Pomerania”, no ale w tej chwili większą rolę w tym zakresie spełniają „Litera”. Biuletyn nie ukazuje się regularnie, a szkoda. Pragnę jeszcze zauważyć, że praktycznie wypadła z naszej działalności szkoła.

TADEUSZ GLEINERT: Żeby uniknąć w przyszłości dotychczasowych błędów, a na-



wet w pewnym stopniu kryzysu organizacji, musimy mieć sprecyzowany program działania. Zrzeszenie chciało robić wszystko, od kultywowania tradycji do budowy dróg. Na pewno powinniśmy kultywować i popularyzować w całym kraju nasz folklor. Służyć temu celowi powinny przede wszystkim prasa, radio i telewizja. No, ale nas gdański ośrodek TV nie jest zbyt aktywny, w popularyzacji folkloru kaszubskiego zastępują



Marian Pelczar

JERZY PERTEK

— MARYNISTA OSTATNIEGO ĆWIERĆWIECZA

Pewnego jesienno wieczoru, gdy zmachany wróciłem z objazdu rozlewisk dolnej Odry na tym samym „Batorym”, który przerwał blokadę Helu w r. 1939 i marzyłem o marynarskim śnie „bez snów”, znalazłem na biurku nadesłaną odbitkę „Wielkich dni małej floty”. Zamiarzy wzięły w łeb: do świtu pozostaliśmy we troje: ja, fajka i książka...

Opinia ta o pierwszej napisanej przed 25 laty książce Jerzego Pertka, skreślona niemal ćwierć wieku temu (jesienią 1946 roku) przez ówczesnego komandora Włodzimierza Steyera, może najlepiej charakteryzuje siłę ekspresji pisarskiej autora, który dziś jest chyba najbardziej znanym historykiem dziejów polskiej marynarki wojennej, ulubionym pisarzem młodzieży, a również i starszego pokolenia, autora, który milionom Polaków w kraju i poza jego granicami ukazał wielkość bohaterstwa polskiego żołnierza-marynarza drugiej wojny światowej. Kreśląc to swoje pierwsze dzieło z historii polskiej marynarki wojennej dał Jerzy Pertek udokumentowane świadectwo bohater-

stwa, trudu i poświęcenia tych ludzi, którzy — po utracie ostatniego skrawka swej wolnej ojczyzny — przez przeszło pięć i pół lat zmagali bitewnych bronili nadal jej wolności na jedynym nie zagarniętym przez wroga polskim terenie, jakim były pokłady polskich wojennych okrętów drugiej wojny światowej.

„Wielkie dni małej floty” doczekały się już sześciu wydań, w ślad za tym dziełem poszły dalsze prace publikowane niezmordowanie, coraz gruntowniejsze, o coraz szerszym zasięgu źródłowym i tematycznym.

Chyba jednak nie to jest najważniejsze w twórczości pisarskiej Jerzego Pertka, że w ciągu 25 lat wytrwałej pracy badawczej i twórczej ogłosił drukiem 40 książek i broszur, które rozeszły się w ilości niemal półtora miliona egzemplarzy, że ogłosił ponad 1700 drobnych szkiców, przyczynków naukowych, recenzji, biogramów ludzi morza, z których wiele posiada zasadniczą wartość naukową, ale to że umiał w pracach swoich podać naukowe wyniki swych badań w formie przystępnej dla każdego czytelnika i w ujęciu literackim tak porywającym swym prostym stylem, że pasja ukochania przedmiotu swych badań przez autora, jaka cechuje Jerzego Pertka od jego młodzieńczych lat, pasja umiłowania polskiego morza i polskich spraw morskich, przelewa się niemal podświadomie na czytelnika.

W dwa lata po ogłoszeniu drukiem „Wielkich dni małej floty” powstała jakby druga jej część — „Druga mała flota”. Były to dzieje i koleje losu polskiej floty handlowej

okresu przedwojennego, wprzęgniętej w lata 1939—1945 w służbę wojenną: floty transportowej drugiej wojny światowej. Książka ta, wykazująca wielki wkład i również bohaterstwo załóg marynarskich polskich statków handlowych, ukazała się jednak drukiem dopiero w jedenaście lat po jej napisaniu, w roku 1959, a w drugim wydaniu w roku 1968.

Tymczasem w twórczym warsztacie pisarskiej działalności Jerzego Pertka powstawały dalsze broszury i książki. Drobne monografie jednostek polskiej marynarki wojennej okresu międzywojennego wypełniły 17 tomików popularnych broszur, wydawanych przez Wydawnictwo Morskie w Gdyni w serii „Miniatury Morskie”. Dwie z nich doczekały się niebawem nowego obszernego, ściśle naukowego już opracowania. To dzieje sławnego na całym świecie ze swych bohaterskich zmaganiń we wrześniu i październiku 1939 roku okrętu podwodnego „Orzeł” oraz historia kontrtorpedowca „Burza”, istotnego — jak go nazwał Jerzy Pertek — „weterana atlantyckich szlaków”, który po swej pełnej walki i przygód przeszłości służy nadal szerzeniu wiedzy o polskiej myśli morskiej, jako okręt-muzeum u nadbrzeża portu w Gdyni. Obie te monografie zadziwiają szczegółową dokumentacją zebranych faktów, a przede wszystkim niezmiernie bogatym materiałem fotograficznym, żeby przytoczyć tylko zebranie niemal kompletne fotografii członków załogi „Orla”, którzy zginęli w czasie jego ostatniego tragicznego rejsu z końcem maja 1940 roku.

nas Katowice i Kraków. Trwała wartość przedstawiają różnego typu wydawnictwa, trzeba więc kontynuować wartościową działalność wydawniczą oddziału gdańskiego i energiczniej inspirować wydawnictwa profesjonalne w zakresie naszej tematyki. W krąg naszych zainteresowań muszą wejść szerzej plastyka i rzemiosło artystyczne, nie wolno nam też zaniedbywać tematu morskiego w twórczości i w propagandzie. Chciałbym jeszcze nawiązać do szkoły, w której — na naszym terenie — bardzo słabo omawia się lokalne sprawy. W programach szkół śląskich przeznacza się sporo miejsca na omawianie własnych tradycji itp. Czy nie można wykorzystać do tych spraw chociażby wychowania obywatelskiego? Oczywiście dużo zależy od nauczycieli, od ich inicjatyw, oni muszą przede wszystkim żyć regionem, ale zarazem muszą mieć odpowiednie materiały.

WACŁAW ODYNIEC: Wracam jeszcze do sprawy, nazwijmy ją umownie „Kaszuby — Polska”. Żeby nie było nieporozumień wyjaśniam, że mnie chodzi po prostu o spojrzenie od Polski na Kaszuby, o to, że turyści i inni przybywają nie lub prawie nie wiedzą o regionie kaszubskim. Ten zarzut panowie źle zrozumieli. Taki przykład: w toruńskim ośrodku naukowym widzi się zawsze Toruń i resztę, natomiast my nie widzimy Gdańska i reszty. Mnie chodzi o to, żeby Gdańsk promieniował na cały teren Pomorza. Nie zarzucam panom ścisłego regionalizmu, chodzi mi o to, żeby cała Polska wiedziała jak najwięcej o morzu i Pomorzu. W tym kierunku musimy podjąć pracę...

IZABELLA TROJANOWSKA: Zgadzam się z tym całkowicie, dlaczego jednak ta

sprawa „Kaszuby — Polska” wywołała tutaj taką reakcję? Otóż wśród pewnych kręgów starszych działaczy istnieje kompleks, zresztą nie tylko na Kaszubach, udowadniania swojej polskości. Wygląda to w ten sposób, że na zebraniu wstaje mówca i oświadcza, że nie będzie udowadniał polskości Kaszub — po czym mówi tylko na ten temat przez 15 minut. W wystąpieniu p. Łosińskiego sprowokowała mnie inna sprawa. Pan powiedział: istotna jest sprawa ludzi pożytecznych w rozwijaniu działalności w Zrzeszeniu. Ta sprawa wypłynęła również na ostatnim plenum. Cóż, pan skierował ostrze przeciwko sobie. Jest pan właśnie przykładem człowieka pożytecznego w rozwijaniu działalności w Zrzeszeniu z tytułu swojej funkcji wicekuratora, swoich możliwości... Niestety nie wykorzystuje pan tego dla dobra regionu. To oczywiście nie odnosi się tylko do pana, do szkolnictwa, ale i do wielu innych ludzi i spraw. Szkolnictwo, jeśli chodzi o propagandę regionu, niewiele robi, a przecież ma duże możliwości. My sami wszyscy tego nie zrobimy, chodzi o to, żebyśmy byli tam, gdzie są luki. Obok pracy we własnym zakresie musimy inspirować. To dotyczy np. wydawnictw i sztuki ludowej. W zakresie sztuki ludowej bardzo dobrą działalność rozwija Wojewódzki Dom Kultury, ale nasza pomoc, nasze podpowiadanie i współdziałanie jest też potrzebne. Nie zabierajmy innym ludziom z rąk tego, co robią, ale zarazem działajmy tak, żebyśmy mogli powiedzieć, że wiele dziejących się teraz rzeczy bierze swój początek właśnie w inicjatyw Zrzeszenia.

RYSZARD ŁOSIŃSKI: Dobrze, że pani personalnie uderzyła we mnie. Rzeczywiście ze sprawami regionalnymi w zbyt małym

zakresie wychodzimy do młodzieży, może dlatego, że za mało rozmawiamy na te tematy ze sobą. Myślę jednak, że te sprawy nie muszą być formalnie ujęte w programach nauczania. Każdy nauczyciel języka polskiego, czy historii, ma możliwość eksponowania spraw regionalnych. Jest jednak podstawowy problem: w wielu wypadkach ludzie są nieprzygotowani, oni tej tematyki na tyle nie znają, żeby mogli przekazywać ją dalej. My z p. Kiedrowskim przeprowadziliśmy rozmowy na temat rozdysponowania pewnej ilości egzemplarzy naszej literatury w szkołach. Zadecydowaliśmy, że poprzez wydziały oświaty będziemy zachęcać szkoły do kupna...

TADEUSZ BOLDUAN: Prawdopodobnie moglibyśmy dyskutować tutaj jeszcze wiele godzin, moglibyśmy się spierać w kwestiach zasadniczych i zupełnie drobnych. Nie o to chodzi. Dyskusja wykazała, że istnieje jeden podstawowy problem: potrzeba aktywnej działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, które nadal ma do spełnienia ważne zadania w regionie, ale te zadania trzeba uściślić w dokumentach programowych i w konsekwencji w roboczych planach pracy. W pierwszym rzędzie trzeba jednak uporządkować sprawy organizacyjne, pozostawione przez byłe kierownictwo w stanie wręcz okropnym. Jest zjawiskiem bardzo pozytywnym, że do Zrzeszenia pomalą wracają ludzie, którzy w minionych latach z różnych powodów odsunęli się od organizacji, że nowe władze cieszą się zaufaniem i poparciem młodych i starszych działaczy. To zaufanie może być — i chyba będzie — podstawą do ożywienia oddziałów, które nie wykazywały się niczym szczególnym w działalności, lub nawet istniały tylko formalnie, a także do

Ale właśnie — i to chyba należy szczególnie podkreślić — we wszystkich swych pracach, nawet najdrobniejszych przyczynkach, Jerzy Pertek okazał się szczególnie sumiennym, docieklwym i drobniawym badaczem, dla którego żaden szczegół nie jest obojętny, który zna każdą wersję, ocenia ją krytycznie i umie oddzielić relacje prawdziwe od przygodnych, nie sprawdzonych informacji. Wiadomo zaś powszechnie, jak trudno jest już dziś ustalić fakty, sprzed zaledwie trzech dziesiątków lat, fakty walk morskich drugiej wojny światowej. Jeżeli Jerzy Pertek stał się świetnym znawcą i monografistą dziejów polskich walk na morzu lat 1939—1945, to w swej pracy nie ograniczył się jedynie do tego okresu morskich dziejów Polski. Siegnął znacznie głębiej w historię Polski i po kilkuletnich żmudnych badaniach, po lekturze setek pamiętników, wspomnień, podręcznych opisów — dał w roku 1957, w ramach publikacji Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, monografię naukową „Polacy na szlakach morskich świata”. Skreślone tu zostały na przeszło 650 stronach książki, w 18 rozdziałach, losy i przygody polskich wędrowców morskich, żeglarzy i uchodźców, podróżników, odkrywców i badaczy, niemal od początków państwa polskiego po rok 1914. Znalazło się tam również i (z natury rzeczy krótkie) omówienie poczyną organizacyjnych polskiej floty wojennej wieku XVI i XVII oraz handlowej wieku XVIII, czy usiłowania prowadzenia walki również na morzu przez powstańców roku 1831 i 1863.

W trakcie tych badań i poszukiwań specjalnie zainteresował się Jerzy Pertek podstawami źródłowymi dla przebiegu największej w dziejach polskich bitwy morskiej, jaką była stoczona na redzie gdańskiej w dniu 28 listopada 1627 roku walka floty polskiej Zygmunta III Wazy z flotą szwedzką, zwana powszechnie (aczkolwiek niesłusznie) „bitwą pod Oliwą”. Opracowując niektóre z materiałów ikonograficznych, ilustrujących przebieg tej morskiej batalii, dzięki wrodzonej sobie skrupulatności w poszukiwaniach udało się Jerzemu Pertkowi odnaleźć w rękopiśmiennych zbiorach Biblioteki Gdańskiej — leżące od przeszło trzech wieków i nie zauważo-

ne przez badaczy naszej morskiej przeszłości — kapitałne źródło do dziejów floty wojennej Polski wieku XVII i do bitwy 1627 roku. Są to mianowicie: „Akta i diariusz komisarzy okrętowych Zygmunta III”. To jedyne w swoim rodzaju źródło do dziejów Polski na morzu zamierza Jerzy Pertek opublikować oddzielnie. Należy jednak pamiętać, że praca taka wymaga wieloletniego trudu i żmudnych przygotowań.

W międzyczasie inne, pozornie nowe problemy pociągnęły badacza polskiej przeszłości morskiej. Wrócił do poprzednich zagadnień walk na morzu lat 1939—1945 w nieco odmiennym jednak i szerszym aspekcie, obejmującym przede wszystkim problemy stosunków polsko-niemieckich oraz ogólnych dziejów walk morskich drugiej wojny światowej.

Wynikiem tych zainteresowań jest monografia „Od Reichsmarine do Bundesmarine”, dająca zwięzły, źródłowo udokumentowany i (jak zawsze w pracach Jerzego Pertki) bogato ilustrowany zarys dziejów niemieckiej floty wojennej okresu międzywojennego, drugiej wojny światowej i powojennego dwudziestopięciolecia. Jest to pierwsza i jedyna monografia z tej dziedziny w polskiej literaturze naukowej. Ostatnią (chronologicznie) publikacją jest pierwszy tom chyba trzypięciotomowego dzieła „Morze w ogniu” — obraz walk morskich drugiej wojny światowej. Wspomniany tom pierwszy obejmuje okres lat 1939—1942. Ukazał się w druku w roku 1970.

Jeżeli do tej ogólnie omówionej twórczości pisarskiej Jerzego Pertki dodać jeszcze kilka dalszych pozycji, jak „Obrona Wybrzeża we wrześniu 1939 roku”, jak drobniejszą monografię sięgającą wieku XIX „Pod powstańcą banderą (1863—1864)”, czy wspomniane już przyczynki do dziejów bitwy zwanej „pod Oliwą”, względnie popularną broszurę o tej bitwie — to stwierdzić należy, że wachlarz zainteresowań badawczych i pisarskich Jerzego Pertki jest nieprzeciętnie rozległy. Przede wszystkim jednak należy raz jeszcze podkreślić gruntowność badań autora, który sam wypracował sobie wzorową metodę badań historycznych (studia jego bowiem szły w zgoła innym, e-

konomicznym kierunku) i umiał ją połączyć z ujmującym prostym talentem literackim przedstawiania zdarzeń i faktów. Stąd tak wielka popularność oraz poczytność jego dzieł.

Pamiętać również należy o wyrosłej jeszcze w latach szkolnych pasji kolekcjonerskiej Jerzego Pertki — zbierania wszelkich informacji: drukowanych, pisanych czy ustnych o morzu i wydarzeniach morskich. To — najszlachetniejsze chyba kolekcjonerstwo naukowe — pozwoliło mu zgromadzić w jego bibliotece nie tylko poważny zbiór książek i publikacji o morzu, roczniki czasopism marynistycznych, ale i chyba najbogatszy w Polsce zbiór wycinków i notatek prasowych, prawdziwe archiwum morskie wraz z rękopiśmiennymi relacjami marynarzy i ich korespondencją, jakim z pewnością nie może się poszczycić żadna z polskich bibliotek naukowych.

Cwierćwiecze pracy pisarskiej i naukowej Jerzego Pertki wypełniły też dowody uznania nie tylko ze strony czytelników, ale i instytucji państwowych, naukowych i społecznych. Gdańska Nagroda Marynistyczna w roku 1959, Nagroda Literacka im. Mariusza Zaruskiego w roku 1965, Nagroda Długoletniej Marynarki Wojennej w tym samym roku, a wreszcie Nagroda Ministra Obrony Narodowej II stopnia w roku 1968, poprzedziły skromny, ale bardzo serdeczny obchód jubileuszu dwudziestopięciolecia działalności pisarskiej, jaki odbył się w Poznaniu w dniu 26 marca 1971 roku. Jubilat (wprawdzie urodzony nie w Poznaniu, lecz w Czersku, w powiecie chojnickim, związany jednak całym swym życiem i pracą ze stolicą Wielkopolski) otrzymał szereg wyróżnień Ziemi Poznańskiej: Odznakę Honorową Miasta Poznania, Odznakę Honorową Województwa Poznańskiego, Odznakę Dwudziestopięciolecia Ligi Obrony Kraju, Medal Stowarzyszenia Marynistów Polskich, oraz „Srebrną księgę”, jako wynik plebiscytu czytelników na najpopularniejszą książkę napisaną w roku 1970 przez pisarza środowiska poznańskiego.

OD REDAKCJI: 15 maja br. Jerzy Pertek został uhonorowany przyznaniem mu przez Radę Państwa Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

reaktywowania oddziałów w miejscowościach, w których przestały one istnieć. Przecież przed wielu laty wyróżniały się żywotnością oddziały w Bytowie i Słupsku, przodował niegdyś oddział w Kartuzach, były dobre okresy w działalności oddziału gdyńskiego. Trzeba będzie dobrze i przede wszystkim mądrze popracować, żeby ożywić wszystkie komórki Zrzeszenia i wyznaczyć im generalne kierunki pracy. Z dyskusji wynika, że uruchomienie wszystkich trybów organizacji jest możliwe w stosunkowo krótkim czasie, bo dysponujemy tym, co najważniejsze, mianowicie stosunkowo szerokim aktywnym tkwiącym w organizacji i do niej powracającym. Są oczywiście ludzie, którzy boją się własnego cienia — solidaryzują się wprawdzie z tymi działającymi w Zrzeszeniu, ale sami się nie angażują, bo to może być przez kogoś tam niemile widziane. Tacy ludzie są w różnych organizacjach — i poza nimi — i na nich nie ma rady. Przekonywanie ich, że głosy maluczkich a złośliwych towarzyszów nierozłącznie naszemu życiu, jest bezcelowe. Nie oni zresztą decydują o losach Zrzeszenia i nie na nich Zrzeszeniu zależy. Sądzę, że obecnie organizacja jest na dobrej drodze, by skupić w swych szeregach wszystkich ludzi dobrej woli, ambitnych i odważnych w społecznej służbie Pomorza. ■



Helena Sperska-Abbe

LEKCJA HISTORII

*Historia chłopcze to nie jest nauka
o wojnach*

*ani o bohaterach
Historia chłopcze to jest kochanie
rozstawanie się nieustające
rodzenie się i umieranie ludzkie
to cierpliwość marzeń
i samotność*

*Historia chłopcze to jest zegar
mierzący godziny westchnień
obszar morza krwi
ciężar łez*

*Dlatego ucz się chłopcze
historii*

Kazimierz Sopuch

* * *

*a kiedy umrę —
inni poniosą mnie w tę podróż
w drewnianej urnie*

*na pszczołę patrzę:
tak się oddala głową w stronę ulla
piękno klasyczne wśród kwiatów które
zniszczyły kwiaty*

*odejdę ciszą
po nici pajęczej na skrzydłach pszczoły
za dom za bramę i choćby kto wołał
nie usłyszę*

LAUREACI NAGRODY WOJEWÓDZKIEJ — 1971



MARTA BYSTRON

Biografia Marty Bystron, pochodzącej z podkartuskiej miejscowości Garcz, jest ściśle związana z działalnością Zespołu Pieśni i Tańca „Kaszuby”. Całe swe przywiązanie do rodzimej kultury, umiejętności i zapal przez 25 lat przekazuje członkom stworzonego przez siebie zespołu.

Mąż pani Marty, Leonard Rychert, był sekretarzem dra Aleksandra Majkowskiego, znanego literata i działacza kaszubskiego. Siostra Majkowskiego — Franciszka, uczyła młode dziewczęta kaszubskiego haftu. Wśród nich była również Marta Bystron. Umiejętności hafciarskie przydały się bardzo w powojennej działalności. Przed pierwszą rocznicą wyzwolenia Gdańska, przedstawiciele Urzędu Informacji i Propagandy w Kartuzach po-

prosił Martę Bystron o zorganizowanie zespołu. Nie była to sprawa łatwa. Brak było strojów, nie było również materiałów do ich wykonania. Jednak zapał grupki młodych pozwolił przezwyciężyć trudności. Koce przebarbowano na męskie kamizele, „skorzenie” i kapelusze pożyczono od chłopów, spódniczki uszyto z płótna flagowego. Wszystko wyszło bardzo dobrze. Kartuska grupa bardzo się podobała. Po uroczystościach w Gdańsku, ówczesny burmistrz Kartuz, Banasiak, przydzielił zespołowi jeden pokój w muzeum. Można było przystąpić do prób. Zapamiętane dawne tańce, obrzędy i przyspiewki posłużyły za materiał repertuarowy. Materiał repertuarowy czerpano też ze śpiewnika Jana Trepczyka. Z pomocą miejscowego organisty utworzono kapelę. Z tym pierwszym koncertem zespół „Kaszuby” został zaproszony na nagrania w radiu. Zaczyna również koncertować, najpierw dla mieszkańców Kartuz i powiatu, potem w całym kraju.

Przez pierwsze osiem lat Marta Bystron była kierownikiem zespołu, kapelmistrzem i choreografem. Szyla i przygotowywała stroje. Opracowywała tańce i widowiska. Było ich wiele: „Scinanie kani”, „Wesele kaszubskie”, „Dyngus”, „Gwizdże”. Autentycznie ludowa wiedza pozwala na zachowanie dawnych wersji tańców i zabaw. We wszystkich układach nie ma stylizacji. Stwarza to niepowtarzalny, specyficzny charakter zespołu. „Kaszuby” z Kartuz stopniowo zdobywały coraz większą popularność w kraju. Od 1947 r. uczestniczyły corocznie w centralnych uroczystościach dożynkowych. Pierwsze dożynki... Odbyły się one w województwie wrocławskim na Psim Polu, tam gdzie kiedyś zmagali się Krzywousty

z Henrykiem V. Ciężarówka, która wiozła zespół z Wrocławia, z powodu awarii utknęła w szarym polu. Całonocne oczekiwanie na naprawę spędzono przy rozpalonym ognisku, dając improwizowany koncert dla mieszkańców okolicznych wiosek. Nie tylko w dożynkach bierze udział kartuski zespół, uczestniczył on też w otwarciu trasy W—Z w Warszawie. W 1950 r. koncertował po raz pierwszy na Targach Poznańskich. Zapraszano zespół na przeglądy i festiwale folklorystyczne. Zdobył wiele nagród i wyróżnień. W roku 1958 w ramach Tygodnia Morza Bałtyckiego wyjechał do NRD, dając koncerty w Greifswaldzie i Rostocku. Przygotowane przez Martę Bystron widowisko „Sobótka” cieszyło się dużym uznaniem widzów. Sukcesem artystycznym był wyjazd do Szwecji w 1969 r. W międzyczasie zespół grał w filmach: „Pogodne lato”, „Organiki”, „Gwizdże”, „Nuty kaszubskie”, „Kaszë-bë”.

Największym uznaniem zespół cieszy się w Kartuskiem. Nie ma takiej wsi w powiecie, gdzie by nie występował. Duże umiejętności i znajomość folkloru kaszubskiego ściągają do mieszkania Marty Bystron rzesze turystów z kraju, żądnych wiedzy o naszym regionie.

W tym roku zespół „Kaszuby” obchodził XXV-lecie swej działalności. Do jego sukcesów i dużej rangi artystycznej przyczyniła się przede wszystkim Marta Bystron. Trzeba zaznaczyć, iż była to zawsze praca społeczna, pozazawodowa.

Za zasługi dla popularyzacji kultury kaszubskiej, Marta Bystron została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. (T. Glein.)



EDMUND CIEŚLAK

Wśród laureatów gdańskiej nagrody wojewódzkiej znajduje się tylko jeden przedstawiciel nauki wybrzeżowej, reprezentujący zresztą jej gałąź humanistyczną. Jest nim prof. dr Edmund Cieślak — historyk, kierownik Pracowni Historii Gdańska Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk.

Edmund Cieślak urodził się 7 listopada 1922 roku w Toruniu; w tamtejszym Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika (filia) otrzymał tzw. małą maturę (1939), dalszą naukę przerwała wojna. Wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec, pracuje tam jako robotnik rolny, budowlany itp., przebywa też w więzieniach hitlerowskich. Z robót przymusowych trafia do Francji, gdzie w Gimnazjum im. Cypriana Norwida w Villard-de-Lans złożył egzamin maturalny (1946). Studiuje prawo na uniwersytecie w Lille, ale kończy studia już w kraju, na Wydziale Prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (1949). W Lille i w To-

runiu uczęszczał również na wykłady i ćwiczenia z zakresu historii. W 1950 roku doktoryzował się na Wydziale Prawa UMK, u prof. dra Karola Koranyi'ego, w 1954 roku otrzymał docenturę, a w 1963 roku Rada Państwa nadała mu tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego.

Po ukończeniu studiów, w latach 1949—1953, był asystentem i adiunktem na Wydziale Prawa UMK. W 1953 roku przeszedł do pracy w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. W latach 1957—1967 pracował również w Wyższej Szkole Pedagogicznej, prowadząc m. in. wykłady monograficzne, seminaria magisterskie i doktoranckie. Był też dziekanem Wydziału Humanistycznego WSP.

Edmund Cieślak jest autorem ponad stu prac naukowych, w tym niezwykle cennych rozpraw z dziejów Gdańska i monografii przedstawiających konflikty wewnętrzne w miastach pomorskich, że wymienię *Walki ustrojowe w Gdańsku i Toruniu oraz w niektórych miastach hanzeatyckich w XV w.* (1960), *Walki społeczno-polityczne w Gdańsku w drugiej połowie XVII wieku. Interwencja Jana III Sobieskiego* (1962) i *Konflikty polityczne i społeczne w Gdańsku w połowie XVIII wieku. Sojusz pospółstwa gdańskiego z dworem królewskim* (w druku). W 1959 roku ukazała się praca Cieślaka *Miasto wierne Rzeczypospolitej. Szkice gdańskie XVII—XVIII w.*, która szybko rozeszła się wśród czytelników, łaknących rzetelnej i w miarę przystępnie podanej wiedzy o Gdańsku.

Istotne miejsce w dorobku naukowym Edmunda Cieślaka zajmują edycje źródeł. Wspólnie z Józefem Rumińskim wydał on dwa tomy dokumentów dotyczących Gdańska, mianowicie *Raporty rezydentów francuskich w XVIII wieku* (tom I obejmuje lata 1715—1719, tom II lata 1720—1721). Całość składać się będzie z czterech tomów, w tym jeden obejmie

raporty z lat 1787—1790, a więc z okresu rozbiorów Polski.

Spod pióra Edmunda Cieślaka (i Czesława Biernata) wyszła pierwsza popularnonaukowa synteza obejmująca dzieje Gdańska od zarania po dzień dzisiejszy. *Dzieje Gdańska* (1969) wypełniają dotkliwą lukę w piśmiennictwie o naszym mieście i spełniać będą pierwszorzędą rolę w kształtowaniu poglądu na dzieje miasta nad Motławą wśród maszego społeczeństwa, przynajmniej do czasu otrzymania obszerniejszej, wyczerpującej syntezy, która zresztą pod kierownictwem Edmunda Cieślaka powstaje w zawiadywanej przez niego gdańskiej placówce PAN. Będzie to pięciotomowa *Historia Gdańska*, której wydaniem zajmie się Wydawnictwo Morskie.

Pod redakcją Cieślaka ukaże się w bieżącym roku zlecona przez Stocznię Gdańską praca zbiorowa *Historia budownictwa okrętowego na Wybrzeżu Gdańskim* (65 arkuszy wydawniczych!), a także kolejny, już piąty tom redagowanych przez niego *Studiów i materiałów do dziejów Gdańska*, pomyślanych jako przygotowanie do pięciotomowej *Historii Gdańska*.

Przedmiotem badań Edmunda Cieślaka jest więc głównie Gdańsk i Pomorze Gdańskie, ściślej — konflikty społeczno-polityczne w miastach pomorskich, rozpatrywane na tle przemian ustrojowych i w ścisłym z nimi związku. Problematyka ta była dotąd raczej marginesowo traktowana przez historyków, w każdym bądź razie nie doczekała się gruntowniejszych wykładów. Dlatego m. in. badania prof. Cieślaka mają kapitalne znaczenie dla przygotowywanej syntezy naukowej dziejów Gdańska, dla pełnej rekonstrukcji tych dziejów.

Za zasługi w rozwoju nauki polskiej prof. Cieślak odznaczony został m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. (T. Bol.)



Tadeusz Woźniak

NARKOTYKI WSPÓŁCZESNYCH PAZIÓW

Był zdziwiony gdy go odszukałem: — Kto powiedział panu moje nazwisko, kto wskazał adres?

Po kilku słowach rozmowy, był już wyraźnie zadowolony z odwiedzin.

— Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o narkomanie to trafił pan w dziesiątkę przychodząc do mnie.

Weszliśmy do mieszkania. Z korytarza o brudnoszarych, porysowanych ścianach drzwi prowadziły w krajobraz bogactwa. Każde miejsce, sprzęt czy nawet ozdoba, wszystko świadczyło o nieprzeciętnej zamożności właściciela.

Marek zgodził się na rozmowę. Dzisiaj nie może. Za piętnaście minut jedzie na lotnisko witać matkę. Matka odwiedza ich raz na kilka lat. Ale możemy się spotkać jutro. Będzie z kolegą. Umówiliśmy się.

Mają po siedemnaście lat. Są uczniami gdańskich szkół. Szczupli, o twarzach jeszcze dziecięcych. Mówią o sobie — my jesteśmy bananowa młodzież, próżni. Marek podciąga rękaw eleganckiego sweterka. Na przedramieniu kilka drobnych nakłuć, ślady po zastrzykach z morfiny. Jarek rozumie, to głupota z tą narkomanią, ale... Kilka miesięcy temu był na wczasach w Zakopanem. Wybrali się całą grupką. Między innymi był taki Jurek, także z Gdańska.

Pod jego wpływem Marek nabrał przekonania — warto być narkomanem. Nie to, żeby go ktoś namawiał, on sam chciał. Spróbował, spodobało mu się. Po przyjeździe namówił Władka. W tym czasie ich koledzy też zaczęli próbować. Początkowo kryli się z tym, pierwsze zastrzyki robili w piwnicach. Nie znali jeszcze reakcji. Potem już niemal oficjalnie w gronie rówieśników, na prywatkach. Opuszczano się rozbawione grono na kilka minut, samemu lub z kolegą wchodziło do łazienki, ampułka, strzykawka i po wszystkim. Wrócili. Oczywiście gdy narkotyk zaczynał działać ich zachowanie wzbudziło podejrzenie rówieśników. O to właśnie chodziło. Wyróżnić się, zaszokować innych. Zaczął ich otaczać męt.

Krażyły szeptane legendy, pokazywano ich sobie ukradkiem, to ten, to ten — narkoman. Czuli wokół siebie zainteresowanie, podziw — mieszany z przyganą — ale o taki chodziło. Kreacja sympatycznego degenerata to zupełnie coś nowego.

Uważają siebie za przeżytych. Sądzą, że poznali już wszystko. Nie widzą nic godnego uwagi. Przyszłość? Przyszłość to jest jutro. A jednak chodzą do szkoły, uczą się. Jakoś trzeba będzie się urządzić. Ale to nie jest cel, to konieczność. Na razie jednak nie należy się tym zbyt przejmować. Ważne jest, żeby ciekawie żyć. Co to znaczy? Szukać mocnych przeżyć. Coraz to nowych. Ruch, ciągły ruch jest niezmiernie ważny. Ludzie wielkich spraw muszą podejmować decyzje błyskawicznie, muszą mieć fantazję. Na przykład około godz. 22 telefonuje do Jarka kolega.

— Słuchaj, nie wybrałbyś się do Warszawy?

— Po co?

— Tak sobie, po prostu naszła mnie ochota.

— Zgoda. Kiedy jedziemy?

— Teraz. Za pół godziny bądź na dworcu.

Wsiadli do pociągu. Mieli pieniądze ale nie wykupywali biletu. Psuć sobie smak przygody jakimiś zbędnymi formalnościami? Nie zapłacili kary. Załatwili z konduktorem. Dobra jest, chłopaki — mrugnął do nich porozumiewawczo. Jeszcze zaoszczędzili na tym. Chcieli ryzyka. Władek ma podobny przykład. Oni całą paczką siedzieli w kawiarni. Ktoś zaproponował: jedziemy do Warszawy. Kilkanaście osób. Wszyscy prosto na dworzec. To była sobota. W niedzielę wrócili do Gdańska. Fajnie było. Rozsiadli się w bufecie WARS-u na podłodze, za resztę haicu kupili piwo. Pokładli się jeden na drugiego. Chłopaki i dziewczyny, wszyscy razem. Fajnie było.

Haic to gotówka, pieniądź. Skąd mają? Marek nie otrzymuje ani grosza w monetach. Ale dostaje płyty. Najnowsze nagrania sławnych zespołów zagranicznych. Dużo

płyt. Jeden long-play kosztuje różnie, 500—700 zł a nawet więcej. Sprzedać nietrudno. W ogóle płyty to dobra rzecz. One gwarantują pozycję towarzyską, rozrywkę, ba — uznanie. Kto ma najlepsze nagrania jest mile widziany na prywatkach (oczywiście z płytami), jest dobrym kolegą jeśli pozwoli przegrać na magnetofon i dziewczyny go lubią, wiadomo z takim warto trzymać. Marek mógł także zarobić pieniądze w inny sposób. Ojciec ma samochód. Ojciec często wyjeżdża służbowo, wówczas właścicielem jest Marek. Mieć wóz to szalone udogodnienie, awans w oczach rówieśników, no i gdy konieczność zmusi, można kogoś „na łebka” podrzucić i już jest parę groszy. Chociażby tyle, żeby wystarczyło na kawę albo na danc.

Kawiarnia, danc, long-play, haic, prywatka, morfina — płynie potok tego typu określeń z ust moich rozmówców. Starają się mówić tonem zblazowanym, żebym tylko — broń Boże — nie zwątpił w ich dorosłość i zepsucie. Gdzie tu jest miejsce na naukę, na aspiracje zawodowe, na ideały?! Jak im wytłumaczyć, że prawdziwa dojrzałość wymaga realizacji tych celów. Niby wiedza, niby mądrzy, a jednak wybierają pozę narkomana. Nie potrafią zrozumieć konsekwencji igrania z nałogiem, tak jak dziecka nie przeraża zbliżające się ostrze noża. Ten nóż w pastylkach i ampułkach dostaje się do rąk młodzieży.

Skąd otrzymywali? Zdobyć nietrudno, twierdzą. Moda na zażywanie rozpowszechniła się szybko. Oni mają wielu kolegów. Sprzedawali, pożyczali płyty, często chodzili na prywatki. Jednego ojciec pływa na statku, innego ojciec lub matka jest lekarzem, albo pracuje gdzieś w służbie zdrowia, tacy zawsze coś mogą skombinować. Ampułka morfiny 50—60 zł, a nawet i więcej. Oni płacili. Nowy towar szybko stworzył całą machinę. Znaleźli się dostawcy, pośrednicy. Wiadomo, okazja zarobku, a komu nie są potrzebne pieniądze? Byli tacy, którzy sami nie zażywali, a tylko trudnili się handlem, byli tacy, którzy fałszowali recepty i po niższej cenie wykupywali narkotyki w aptekach a następnie sprzedawali z zyskiem. W rękach młodzieży znalazły się pieczętki trzech lekarzy. Służyły nie tylko przy wypełnianiu recept. Potwierdzano nimi usprawiedliwienia nieobecności w szkole. W jednej z gdańskich szkół posługiwało się nimi w sumie około 100 uczniów. Co na to rodzice? Najczęściej nie wiedzieli. Młodzi wykorzystywali okazję. Kto miał chatę, wolną zapraszał kolegów. Schodzili się grupami po 30 osób. Muzyka, coś do wypicia, no i bardziej radykalni — narkotyki. Zasada — nie czuć się skrzepowanym, robić to na co się ma ochotę. Oni nie lubią kontroli. Kto to lubi? Rodzice mówią: Oni kryją się, nie mają do nas zaufania. Czy wobec tego kończy się obowiązek rodzicielski? Czy w szeregach wypadkach nie było zwykłej bez troski? Marek i Władek chwalą sobie prywatki u jednej z koleżanek. W eleganckiej willi, na piętrze, bawiła się mamusia ze swoim towarzystwem, na parterze oni. Pięknie było, cmokają. Według ich relacji miały miejsce sytuacje całkowicie zaprzeczające rzekomemu konfliktowi pokoleń. A gdzie był tatuś koleżanki? Jej rodzice się rozeszli...

O handlu narkotykami trudno coś się dowiedzieć. Sprawa śliska, pachnie kryminałem. „Kot” trochę może powiedzieć, ale — pan rozumie. Kot jest także uczniem. Kiedyś u kolegi w zeszytach znalazł dolary. Suma była duża, kilkadziesiąt banknotów, nie tylko „jedyńki”. Zainteresował się. Nie chciał być gorszy, on też chciał być kimś. Dopuszczono go do spółki. Został pośrednikiem, mało znaczącą płótką, ale jednak „kimś”. Podawał z rąk do rąk. Brał od kolegi i zanosił do szkoły. Tam w czasie przerwy zgłaszali się odbiorcy. Czekal na nich przy szatni. Szkoła duża, różni ludzie się kręcą. Wszystko odbywało się precyzyjnie. Nieraz punktem spotkania była szkolna ubikacja albo bufet. Co podawał? Dola-

LAUREACI NAGRODY WOJEWÓDZKIEJ — 1971



FRANCISZEK FENIKOWSKI

Franciszek Fenikowski urodził się 15 maja 1922 roku w Poznaniu. A więc jego zainteresowanie morzem i Wybrzeżem jest wynikiem świadomego wyboru.

Kiedy po wojnie w Poznaniu kończy studia z filologii polskiej, pracę magisterską pisze o motywach marynistycznych w poezji Adama Mickiewicza.

Debiutował 15 czerwca 1945 roku dwoma wierszami wydrukowanymi przez Jarosława Iwaszkiewicza w poznańskim „Życiu Literackim”. Członkiem Związku Literatów Polskich jest od 1950 roku.

Po studiach osiedlił się na Wybrzeżu i pracował jako dziennikarz. Jest laureatem wielu nagród i odznaczeń. Otrzymał nagrodę literacką miasta Gdyni (1959) i miasta Gdańska (1953), i nagrodę w konkursie LPZ i ZLP na sztukę marynistyczną (*Dumna legenda*, 1964), nagrodę literacką Klubu Marynistów LPZ imienia Mariusza Zaruskiego. Został odznaczony Medalem X-lecia Polski Ludowej i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1963), Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego i Odznaką „Zasłużonym Ziemi Gdańskiej”. W 1971 roku przyznano mu medal „Stolema” za całokształt dorobku pisarskiego związanego ściśle z Pomorzem. Dorobek ten jest bardzo duży — czytelnicy znają tytuły Franciszka Fenikowskiego. Tytuły, które zresztą z reguły nie leżą długo w księgarni. Niemniej warto przypomnieć debiuty: Franciszek Fenikowski debiutował w poezji w 1946 roku, wydając wspólnie z Leszkiem Gołńskim tomik *Odra szumi po polsku*. W

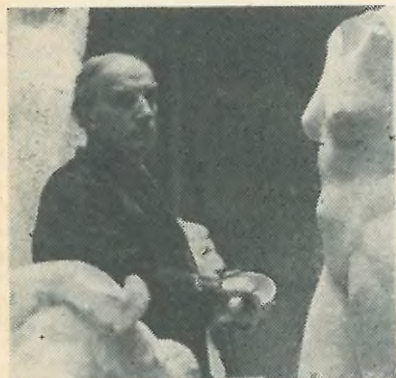
prozie — powieścią *Zakręt Pięciu Gwizdów*. Widzowie telewizji pamiętają z pewnością nadane przez gdańską telewizję widowiska: *O pijanicy co królem był w Gdańsku* (1966), *Verbum Mercatoris* (1966), *Tawerna »Pod Dębem«* (1967).

Po dwudziestu sześciu latach twórczości lista tytułów jest bardzo długa. *Lewy brzeg, Oddycham morzem, Ziemia-gwiazda zielona, Statek błaznów, Włazi kotek na płotek, czyli poezja polska w przekroju* (parodie), *Bal kapitański* — to tytuły poetyckie. Wymieńmy z prozy, dla przypomnienia, *Pierścień z łabędziem, Przyszłość morze* (reportaże), *Długie Morze, Rękopis z »Gospody pod Łososiem«, Zapadły zamek, Kaper z »Morskiego Psa«, Baszta Trzech Koron, Smok króla Augusta, Kalo-szem do Skandynawii* (reportaże).

Franciszek Fenikowski nie zaniedbuje także dzieci: to on napisał *Okręt w herbie, Bursztynowe serce, Gdańską szkatułkę, Zielony kałamarz, Złoty strąg*.

Wszyscy czytamy w sobotnim wydaniu „Głosu Wybrzeża” *Pigułki ze starej apteki*. Oprócz tego jednak możemy oczekiwać *Piernikowego miasta*, które zapowiada Nasza Księgarnia, albumu *Pod Tarczą Sobieskiego* z tekstem Franciszka Fenikowskiego. A w planach twórczych znajduje się *Sigal* — osadzona w XVIII wieku historia z dreszczykiem.

Czekamy niecierpliwie. (EHM)



STANISŁAW HORNO-POPŁAWSKI

Jeden z najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy XX wieku urodził się w roku 1902 na Kaukazie — reminiscencje gruzińskie, tematyka kaukaska powtarzają się w niektórych z jego prac do dziś. Niemniej cała jego długoletnia, owocna i płodna twórczość — wystawia od 1928 roku — jest nierozdzielnie związana z rozwojem współczesnej sztuki polskiej w ostatnich dziesięcioleciach, stała się jej trwałym dorobkiem.

Studia w warszawskiej ASP ukończył w 1933 r. Sławę zdobywa już w okresie międzywojennym dzięki swym realistycznym portretom i torsom. Pełny, wszechstronny rozwój jego twórczości przypada jednak już na czasy powojenne, na okres Polski Ludowej.

Twórczość to wyjątkowo wszechstronna: od lirycznych główek dziewczęcych, poprzez sceny rodzajowe, rzeźbę portretową aż do monumentalnych realizacji pomnikowych, takich jak pomnik Adama Mickiewicza przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie, Henryka Sienkiewicza w Bydgoszczy, Juliana Marchlewskiego we Wrocławiu, Marii Konopnickiej w Kaliszu, popiersie Stefana Żeromskiego w Rozewiu czy rzeźby na cmentarzu ofiar faszyzmu w Olsztynie koło Częstochowy. Jest to sztuka ściśle związana z życiem, zawsze zaangażowana; artystę interesują ważne politycznie i społecznie sprawy dotyczące się wokół niego, żyjący współcześnie ludzie. Mogą o tym świadczyć choćby takie głośne prace, jak *Matka Belojannisa, Wietnam* czy *Nigdy więcej*.

W ciągu ponad trzydziestu lat twórczości brał udział we wszystkich niemal większych wystawach krajowych. Prace jego mogły podziwiać na wystawach sztuki polskiej czy ekspozycjach międzynarodowych widzowie prawie całej Europy a także krajów tak odległych jak Indie, Chiny czy Mongolia. Wystawy indywidualne jego twórczości miały miejsce w Warszawie w latach 1937, 1957, 1962, 1970, w Sopocie w 1962 r., w Gdańsku w roku 1968. Prace jego znajdują się w zbiorach Muzeów Narodowych w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, w Muzeum Pomorskim w Gdańsku, Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

Ulubionym tworzywem artysty jest granit. Materiał ten — najbardziej wydawa-

łoby się oporny — jest Horno-Popławskiemu wyjątkowo posłuszny, współdziała jak gdyby w komponowaniu udostępniając strukturę, barwę, wspomagając własnym kształtem uderzenia dłuta. Artysta zresztą w miarę upływu lat coraz dyskretniej używa dłuta. Od dawnych, ekspresyjnych i rozczłonkowanych dynamicznie prac przechodzi do form klasycznie zwartych, ogranicza środki wypowiedzi do minimum, do podkreślania piękna zawartego jakby w samym tworzywie. Rzadki to przykład doskonałego opanowania materii kamienia.

Stanisław Horno-Popławski może się poszczycić nie tylko własnym dorobkiem twórczym. Związany z Wybrzeżem od 1950 r. jako wykładowca w gdańskiej PWSSP wychował cały zastęp zdolnych uczniów. Uznaniem jego zasług na tym polu było nadanie mu w 1965 r. Nagrody I stopnia Ministra Kultury i Sztuki za działalność pedagogiczną. Nie jedyne to wyróżnienie tej rangi: w 1953 r. otrzymał Nagrodę Państwową II stopnia za rzeźbę *Matka Belojannisa i Głowa Gwardzisty*, w 1955 taką nagrodę za całokształt twórczości w latach 1945—1955. Za cykl rzeźb na wystawie Polskie Dzieło Plastyczne w XV-lecie PRL otrzymał Nagrodę II st. MKiS w roku 1961, a w rok potem Nagrodę I stopnia MKiS za całokształt twórczości. W 1968 uzyskał Nagrodę I stopnia Ministra Obrony Narodowej. Jest odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Sztandarem Pracy II klasy. (mk)

ry albo narkotyki. Przeważnie odbierali to ludzie nie znani mu. Często starsi od niego. Słyszał, że niektórzy z nich byli z głębi kraju. Tego jednak nie wie. Nieraz kolega zabierał go do „źródła”. Jechali „gablotą” (taksówką) do Nowego Portu, do „Wikin-ga”. Tam kolega odbierał towar. Od cinkciarzy i od prostytutek. Kot za pośrednictwem otrzymywał swoją dółę. Gdy potrzebował forszę, zgłaszał się do kolegi. Niewiele otrzymywał, kilka stów tygodniowo, dwie, trzy, najwyżej cztery stowy.

Z Geminusem umówił się na godzinę 17 przed kawiarnią „Teatralną” w So-

pocie. Weszliśmy do środka. Oczekaliśmy aż zwołał się stolik, usiedliśmy. Znamy się od kilku miesięcy, dokładnie od listopada ubiegłego roku — od opublikowania dwóch reportaży o polskich hippies. Miałem spotkanie z czytelnikami w klubie Lastadia w Gdańsku. W pierwszym rzędzie siedziało kilku długowłosych: Gołkin, Geminus, Błażej, Francuz, Rokoko, Grek i inni.

— Nas też nazywają hippies, oświadczili, znamy tych, o których pan pisał, przyszedliśmy podyskutować.

Tak się poznaliśmy. Widywalismy się nie-rz na mieście, porozmawialiśmy o nowin-

kach. Po wydarzeniach grudniowych pokazywali mi swoje ostrzyżone głowy, żalili się. Teraz postanowili ich odszukać. Oni pierwsi zażywali narkotyków. Wtenczas „łykało” nie więcej niż trzydzieści osób. Tak mówią, bo inni przede wszystkim używali fermy w pastylkach. Co jakiś czas ktoś do nas podchodzi, coś szepcze Geminusowi na ucho, albo wprost do niego: — Masz coś, Gemi? Geminus jest trochę zażenowany, wszyscy go tutaj znają. Kawiarnia zapełniona. Przy stolikach wyłącznie młodzież, 16—17-latk. Grupki stoją przy drzwiach. Wycho-dzą i znowu wracają. Dojdą się do jakie-

goś stolika, zamienia kilka słów, przy drugim porozumiewają się stojąc i już gdzieś biegają, zaafierowani, przejeżdżają. Oni tutaj wszyscy się znają, mówią sobie na ty, nie bawią się w konwenanse, są bezpośredni. Przy stoliku obok nas dwie dziewczynki i czterech chłopców. Nudzą się, nie ma już o czym rozmawiać i nie chce się nawet. Jeden próbuje zonglerki dwoma talerzykami, niezbyt mu się to udaje, rezygnuje. Po chwili rzuca do siedzącego naprzeciw szklanke, tamten rewanżuje się. Zaczyna się zabawa. Na jakiś czas zainteresuje trochę pozostałą część towarzystwa. Potem znowu nudzą się, czekają.

Kto wyciągnie rękę po tę młodzież niczyją, setki nastolatków? Oni sami nie potrafią zorganizować sobie życia. Nie wiedzą czego chcą. Bawią się, ale to ich nie bawi. Każda „zgrywa” szybko przestaje być atrakcyjna. Podchwycą każdą modę, będą się nawzajem prześcigać, chcą się wyróżnić, zwrócić uwagę otoczenia.

Po schodach wspina się młody chłopak, zatacza się. Wypił trochę, ale z pewnością nie jest pijany tak bardzo, jak próbuje przedstawić. Wszyscy obserwują każdy jego krok, najdrobniejszy ruch, śmieją się. Drwina, czy uznanie? Zgrywa, po prostu zgrywa. Spektakl się skończył, mija zainteresowanie, twarze przed chwilą drapieżnie ciekawością, przysgasyi zawiedzione. Nic się nie stało — nie upadł, nie przyszedł szatniarz wyprowadzić go, no nic, żadnej draki.

Geminus jest dobrym przewodnikiem, wskazuje tych, którzy dzisiaj „łykali”. Po niektórych widać dosyć wyraźnie. Są bardziej ożywieni, mówią dużo, rozglądają się niespokojnie. Trzeba mieć pewną prawpę, żeby to dostrzec. Z bliska poznać po oczach — rozszerzone źrenice, lekkie zaczerwienienie spojówek jak przy stanie zapalnym. Geminus wskazuje na chłopaczkę — widzisz jak porusza wargami? — jakby żuł gumę. To po fermie. W ustach zbiera się ślina. Trzeba ją połykać. Dlatego popijają ciagle herbatę i palą papierosy, jednego za drugim. „Łykają” tutaj w kawiarni, żeby inni widzieli albo w toalecie, czy nawet gdzieś na ulicy. Chcą się pokazać. Geminus też łyka, ale nie dlatego, żeby się afiszować. Co innego kiedy ktoś urządzi fermatkę, wówczas tak. Geminus ma dwadzieścia jeden lat, pracował w stoczni. Takie wyszły komplikacje... pojechał na kilka dni do Warszawy i zwolnił go. Da sobie radę, ma zawód, tokarzem jest. Geminus należy do „weteranów” w tym środowisku. Ma długie włosy, gęsty zarost. Młodzi noszą krótkie fryzury. Nie ma ustalonego wzoru ale najlepiej na pазіа, średnio długie, z grzywką na przodzie lub przedziałkiem przez środek głowy.

Wybieram wzrokiem jedną z dziewczynek. Wszystkie one w tej kawiarni podobne. Mają w sobie coś z cepeliowskich lalek, z eksportowego blichtru. Może nawet są ładne, a z pewnością dobrze odżywione, zadbane aż do przesady. Podobnie zresztą jak ich rówieśnicy. Na pozór lekceważą sztywne kanony mody dorosłej, „gangi” i białe koszule. Aż tak swobodnie, polo, golf, jakaś kurtka. A jednak, ile wagi przywiązują do tego, jak się nawzajem szacują, wyróżniają na tej podstawie. Po kilku spojrzaniach moja „wybranka” ożywia się. Szybciutko upewniła się co do walorów swojej kreacji i odtań będzie już czujna. Co z tej naiwnej świeżości zostanie po latach? Bawią się w życie z istic dziecięcą okrutnością, nie oszczędzając siebie i innych.

Dosiadł się do nas chłopczyk, ręce zaciera, cieszy się, zażył jochimbine. Na razie nie czuje działania, ale chyba zacznie i wtedy... pobiegi do stolika opowiadać. Inny przychodzi poradzić się, jak działa taki lek — wymienia nie znaną nam nazwę — nie wiemy. Szkoda, bo on ma i chętnie by połąknął.

— Namnożyło się tych „łykaczy”, ponad setka ich będzie w Sopocie, a w Gdyni i w Gdańsku?

Wszystko to zaczęło się w tym roku. Ganiają, popisują się, krzyczą. Geminus tego nie uznaje. — Oni — starzy pamiętają „lepsze” czasy, kiedy narkotyk używało się z jakimś namaszczeniem. Geminus widząc, że cała ta zabawa w narkomanie, jakiej obrazki oglądamy w „Teatralnej”, ma charakter śmiesznej błazenady, próbuje ratować honor początków mody „łykania” związanej z ruchem hippies. Nie chce zrażać sobie Geminusa i wprost powiedzieć, że było to takie same zło, tylko w mniejszym zakresie, bo dotyczyło nielicznej grupki młodzieży. Nie mówię mu tego, bo oboje dobrze wiemy, że „łykanie” nie dobrego im nie dało. Dawniej — wspomina Geminus — jakby to było wiele lat temu. A to przecież zaledwie dwa lata minęły. Zaczynali w kilkunastoosobowej grupie: Gołkin, Ade, on i inni.

Wychodzimy z „Teatralnej”. Chłodny wiosenny wieczór. Na „monciaku” tłoczno. Niedługo, jak co roku, nadciągną turyści. Przyjedzie sporo ludzi z Polski — mówi Geminus i ma na myśli swoich przyjaciół z różnych stron kraju, wymienia pseudonimy, zna ich bardzo dużo. W „Złotym Ulu” spotykamy się z Gołkinem i Ewką. Wpadli na chwilę, ale nie mają czasu. Kiedyś to co innego, kiedyś oboje łykali. Przestali. Teraz mają inne sprawy na głowie. Pobierają się. Gołkin nie ma jeszcze skończonych 21 lat. Martwi się, czy dostanie zezwolenie na ślub. Ale chyba tak. Będą mieszkać u rodziców Ewki. Gołkin przerwał szkołę, był w X klasie liceum ogólnokształcącego, teraz pracuje. Zarabia nieźle, ponad dwa tysiące. Szkołę obiecuje dokończyć. Starzy koledzy trochę zawistnie słuchają tych planów. Gołkin jest sprytny, organizuje sobie życie. Oni? Jeszcze nie mogą sobie poradzić. Nie mogą znaleźć punktu oparcia. Gdy go znajdują, obiecują, że poruszą ziemię, zmienią świat. Na razie czekają. Wegetują, niszczą.

Jedziemy do Mayalla. Późno już, niedługo północ. Pustym ciemnym podwórkiem docieramy do drzwi bloku. Cicho przemycamy się przez korytarze i już jesteśmy. Mayall leży na łóżku. Średniego wzrostu, ciemnowłosy, o śniadej karnacji cery. Mieszka sam w tym pokoju. Rodzice odumarli go gdy miał 13 lat. Początkowo utrzymywali go brat i siostra. Mayall skończył dwie klasy technikum, zaczął pracować. Kilka miesięcy pracował, potem rzucił pracę i teraz nic nie robi, oprócz grania na gitarze. Mayall chce być sławnym muzykiem. Drugi rok już uczy się grać. W rogu pokoju stoi gitara, czerwona, błyszcząca. Promieniuje tą czerwonością na cały pokój jak kwiat, a wokół jest szaro, ubogo i brudno. Żelazne łóżko prześwieca spod kołdry sprężynami, stolik bez jednej nogi podparty taborettem, stara szafa i lampa stojąca z czerwonym kloszem to całe umeblowanie! Na ścianach foty sław big-beatu. Jest między innymi podobizna Mayalla i Jimmy Hendrixa. Jest i obrazek wykonany ciemną farbą, twarz skrzywiona jakimś potwornym grymasem. Jimmy Hendrix, namalował go Rococo. U Mayalla zastaliśmy Rudę, Joe i jeszcze jakiegoś chłopaka, wysokiego, w okularach. Pełen pokój, gwarno. Mayall robi wymówki Rococo, że ten zaniebduje ich przyjaźń. — Dobra, dobra wykrzykuje Rococo, chodzi po pokoju, zryma się, gestykuluje rękami odpowiadając.

Słucham w przerażeniu tej absurdalnej sceny zazdrości. Mało co a będą płakać. Obok Gołkin sprzecza się z Joe. Nie wiem o co poszło, ale nie szczędzą sobie zgryźliwości. Jedni biorą stronę Gołkina, drudzy Joe. Krzyżują się uwagi, docinki. Nawet spokojny Błażej dodaje swoje „trzy grosze”. Co chwila ktoś ucisza, bo za ścianą śpi Anetka, starsza pani, która wynajmuje od Mayalla pokój z kuchnią, pozostałą część mieszkania po rodzicach. Po chwili głosy znowu wzmagają się. Tylko Geminus milczy, usiadł pod ścianą i nie odzywa się ani słowem. Pozostali przypominają Włochów. Wykrzykują wymachując rękami. Wydaje

się, że za chwilę dojdzie do rękoczynów... Nic podobnego. Oni w ten sposób rozmawiają. To efekt zażywania narkotyków. Rozchwieanie psychiki, nerwica. Nawet o malowaniu podłogi nie potrafią mówić spokojnie. O drobny szczegół będą się spierać, przekonywać do upadłego. Przebudziła się Anetka, straszy, że zapoda gdzie trzeba, co tu się wyrabia. Rozmawiamy ciszej. Joe, Ruda, chłopak w okularach i Błażej odchodzą. Teraz jest już spokojnie. Anetka i tak nigdzie nie zgłosi. Dobra kobieta, Mayall wie o tym. Ona go nawet lubi, chociaż krzyczy często. To dlatego, że do niego ciągle ktoś przychodzi. Ile fermatek się tutaj odbywało. Fermatka to prywatka, na której łyka się fermę. Jest muzyka, nastrojowe światło, ale nikt nie tańczy. Ludzie rozmawiają, dyskutują. Po fermie czuje się potrzebę zwierzeń, łatwiej mówić, tyle różnych myśli przychodzi do głowy. Jakich oni tematów nie poruszali. Najchętniej z dziedziny filozofii, psychologii, religioznawstwa. Oni niedużo wiedzą, ale czytali różne książki, podręczniki i czują potrzebę. Rococo na fermie malował obrazy, lepiej mu szło. Ade pisał wiersze, potem odczytywał, podobały im się nawet. Obrazy Rococo pełne są grozy, sylwetki ludzi wykrzywione, jakimś ogromnym cierpieniem. Często powtarzają się motywy obozu koncentracyjnego, druty kolczaste, wychudłe szkielety.

Na fermatki przychodziły też dziewczyny: Ruda, Kaśka, Julia. Chętnie zgadzały się na rolę publiczności. A im potrzebna była publiczność. Oni chcą być wielcy. Rococo takim jak van Gogh, którego współcześni też nie potrafili ocenić. Rococo zna jego życiorys. Nieśmiało próbuje „przymierzyć się”. Bezczenie wielka jest wiara Rococo w swoją wielkość. Czy stać go będzie na tyle samo pracy? Nie rozumieją Rococo nawet najbliżsi, rodzice, bracia. Mają mu za złe, gdy wraca późno w nocy. A on nie może sobie poradzić ze swoimi myślami. Szuka takich, którzy by mu chcieli uwierzyć. Dlatego chodzi do „Ula”, uczestniczy w fermatkach, łyka fermę albo coś innego. Ręce Rococo drżą. Nerwy.

Mayall chce być takim muzykiem jak mistrz — wskazuje na Hendrixa. Już nieźle mu idzie. Zna kilka chwytów, niektóre utwory potrafi zagrać lepiej od podobnych sobie entuzjastów.

Marzą o wielkości. W ich gronie każdy ma tę nadzieję i nikogo nie pozbawia się szansy. Kto nie gra na gitarze, nie maluje, nie pisze wierszy, też może zostać sławny. Opiszę wspomnienia o życiu kogoś, kto zostanie wielkim, np. Mayalla, Rococo. Dlatego tak kurczowo trzymają się w grupie. Czekają na cud odkrycia. Nikomu się nie udaje ale oni wiedzą, że to nie tak łatwo. Czekają oglądając się nawzajem czy też przypadkiem nie widać symptomów wielkości. Snują rozważania jak to będzie gdy staną się sławni.

„Złoty Ul” — ulubiona kawiarnia młodzieży. Przyjeżdżają z całego Trójmiasta. Okupują cały „wagon” i inne części pomieszczenia. Czują się swobodnie. Ganiają całymi grupkami, ciągle mając coś do załatwienia. Jakies sprawy. Teraz moda na narkotyki, o tym mówi się najczęściej. Przychodzą tutaj „na fermę” i po fermę. Można kupić. Nie zawsze, ale często ktoś ma. Jakiś nastolatek proponuje kupno recept. Pięćdziesiąt blankietów po piętnaście złotych za sztukę. Są czyste, z pieczętkami różnych lekarzy. Inny pokazuje sfalszowaną czy przejdzie? Ruda wczoraj wpadła. Wykupowała fermę na sfalszowaną receptę. Spisano jej personalia — w aptekach wiedzą już do czego używany jest lek popularnie nazywany fermą. Sprawdzają teraz u lekarza, którego pieczętka znajduje się na receptce. Ruda boi się. Doradzają jej, żeby poszła do tego lekarza i załatwiła z nim. Można tak. Zresztą — co się boisz? Twój tata lekarz jakoś to za-

LAUREACI NAGRODY WOJEWÓDZKIEJ — 1971



HENRYK JABŁOŃSKI

Urodził się 3 listopada 1915 roku w Gdańsku. Zainteresowanie muzyką przyszło wcześniej — ojciec i matka muzykowali na skrzypcach. Jabłoński poznał najpierw fortepian, skrzypce nieco później, a okazało się w końcu, że najbardziej upodobał sobie wiolonczelę. W latach międzywojennych studiował grę na

tym instrumencie w Konserwatorium Muzycznym Szkolnej w Gdańsku u Kazimierza Wiłkomirskiego. Ale że czuł się bardziej kompozytorem niż wiolonczelistą, przeszedł czas, kiedy pozostawił wiolonczelę na uboczu, przekazując ją synowi Romanowi. Komponowanie pochłonięło go całkowicie. I tylko utwory pisane na wiolonczelę mówią o tym, jak Jabłoński zna ten instrument i jaką darzy go sympatią.

Pierwsze, dziecinne jeszcze kompozycje były pisane dla rodziców. W rodzinnym gronie przetrwała pamięć marsza, który zwrócił uwagę na zdolności kompozytorskie jego młodego twórcy. Z czasem komponowanie przestało być zabawą a stało się pasją. W latach szkolnych prowadził Jabłoński zespół kameralny, dla którego pisał swoje utwory. Wśród nich znacznie szerszym dziełem była „Suieta polska”. Potem przyszły studia kompozytorskie u W. Schramma i A. Paetscha. Wojnę przetrwał zajmując się graniem w lokalach i aranżacją. Po wyzwoleniu grał przez krótki czas w wybrzeżowej orkiestrze symfonicznej, prowadził amatorski zespół muzyczny i chór Politechniki Gdańskiej a także chór w Conradinum. Od powstania Polskiego Radia w Gdańsku nawiązuje z nim bliską współpracę, nieustającą do dziś. W dziedzinie jego kompozycji rozrywkowych ważne miejsce zajmuje współpraca z orkiestrą radiową Stefana Rachonia. W roku 1950 Jabłoński zostaje członkiem Związku Kompozytorów Polskich, a od

1954 r. wykłada kompozycję w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej.

Twórczość kompozytorska Jabłońskiego jest bogata i różnorodna. Obejmuje przeszło 300 pozycji, w tym dwie symfonie, poematy symfoniczne, uwertury, suitę, koncerty na skrzypce, wiolonczelę, flet i trąbkę, cykle pieśni, muzykę teatralną i filmową, opracowania folkloru kaszubskiego oraz piosenki, wśród których *Siwy włos* zrobił zawrotną karierę, a szeroko znane są również te o Gdańsku, pisane głównie dla Gdańskiej Czwórki Radiowej. Z nowszych kompozycji na uwagę zasługuje *7 improwizacji na wiolonczelę i fortepian*, *Freski*, *C-67* i *Tryptyk na organy*. Osobnym wydarzeniem stała się *Gdańska noc* — opowieść sceniczna na balet, śpiew solowy, aktora, chóry i orkiestrę do scenariusza Andrzeja Żurowskiego, której prapremierę przygotowała w grudniu 1970 r. Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka.

Ostatnio Ministerstwo Kultury i Sztuki złożyło u Henryka Jabłońskiego zamówienie na operę o Helenie Modrzejewskiej. Kompozytor zamówienie przyjął. Kiedy ten tekst ukaże się w druku, pierwsze takt nowej opery będą już faktem dokonanym. Zważywszy że *Gdańska noc* powstała w ciągu trzech kwartałów, opera Henryka Jabłońskiego być może rozpocznie uroczystości sezonu 1972/73 w POiFB. Życzymy powodzenia i czekamy z niecierpliwością! (J.W.)



MARIAN KOŁODZIEJ

Marian Kołodziej jest jednym z najwybitniejszych artystów polskiego teatru. Jako plastyk jest jednym z nielicznych, którym udało się rozwiązać kwadraturę koła scenografa-twórcy, który nie niszczy teatru, nie eliminuje aktora, nie dominuje reżysera, nie przekształca sceny w wystawę prac własnych, a przecież pozostaje wybitnym uczestnikiem kreacji zbiorowej, zachowującym pełnię indywidualnego wyrazu. Spektakle, których współautorem jest Kołodziej, rozpoznaje się na pierwszy rzut oka, jak spektakle Szajny; różni Kołodzieja od Szajny to tylko, że jest on scenografem, podczas gdy Szajna zamienia teatr w Biuro Wystaw Artystycznych.

Marian Kołodziej — rocznik 1923 — ukończył studia artystyczne w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kie-

runkiem Karola Frycza w roku 1950, a w maju 1951 debiutował w Teatrze „Wybrzeże” oprawą scenograficzną produkcyjnej sztuki Rybarskiego *W stoczni*. Surowe kanony rządziły wówczas plastyką teatralną. Kołodziej podporządkował się im i... — uzyskał wyróżnienie jury Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych.

Potem było bardzo dużo Fredry (*Śluby pańskie*, *Mąż i żona*, *Cudzoziemszczyzna*, *Wielki człowiek do małych interesów*), były scenografie do *Profesji pani Warren* i do *Intrygi i miłości*, w *Poszukiwaczach Krona* stworzył Kołodziej oprawę sceniczną debiutu aktorskiego Zbyszka Cybulskiego (1953), a w roku 1960 — w sztuce Saroyana *Zabawa jak nigdy*, reżyserowanej przez Jerzego Golińskiego — odniósł Kołodziej pierwszy głośny sukces artystyczny. Jedni nazwali to, co Kołodziej pokazał na scenie, „neonaturalizmem”, inni pociągali wymowa materiału, jego faktury (surowe drewno), odbierająca teatrowi sporą dozę jego sztuczności.

Wielki okres gdański Kołodzieja zaczyna się z dyrekcją Tadeusza Minca. Artysta projektuje scenografie do *Tragedii o Bogaczu i Łazarzu*, do *Ostatniego dobranoc Armstronga*, do gdańskiej *Panny Julii* w TV; w okresie ostatnim zaś — dyrekcja Manka Okopińskiego — opracowuje plastycznie prapremierę *Termopoli polskich* Micińskiego, prapremierę *Maleńkiej Alicji* Albee’go i licznych innych sztuk. Równolegle podejmuje współpracę z Teatrem Narodowym Adama Hanuszkiewicza, gdzie opracowuje scenografie do *Hamleta*, *Nie-boskiej Komedii*, *Beniowskiego*, w Teatrze Wielkim (we współpracy z Hanuszkiewiczem) tworzy oprawę *Julii i Romea* Bernadetty Matuszczak, w łódzkim Teatrze Nowym *Kordiana*, w Operze Łódzkiej *Dziewczynę z zachodu* Pucciniego (reż. Marek Okopiński). Pra-

kuje w Błonie nad sztuką Kundery *Miatle kliczu*, w Helsinkach nad *Mężem i żoną*, w Tampere nad *Don Juanem* Molière (wspólnie z Hanuszkiewiczem). Od czasu pierwszego głośnego sukcesu w sztuce Saroyana paleta Kołodzieja znacznie się wzbogaciła. Zachował wielką czułość dla faktury, lubi przemawiać twórczym autentycznością, odszedł natomiast od neonaturalizmu — by dojść do plastyki, którą zresztą pojmuje szeroko. W *Tragedii o Bogaczu i Łazarzu* cytuje Memlinga (kurtyna) i barokowe ołtarze, w *Termopoliach polskich* materializuje legendę Księcia Józefa, w *Hamlecie* zamyka świat w metalowym pudle, które równie dobrze może być teatrem, jak też pułapką na myszy. Cytując — mówi od siebie: barokowy ołtarz-scena w *Tragedii* nie był przecież rekonstrukcją i cytacją tylko, lecz wyrażoną bogatymi środkami wizją protestanckiego, surowego, maderlowieckiego Boga.

Wysoka pozycja, jaką zajął Marian Kołodziej w środowisku znakomitej polskiej plastyki teatralnej, znalazła potwierdzenie w opinii zagranicznej. W światowej wystawie scenografii, zorganizowanej w Norwegii, z udziałem m. in. prac Picassa i Chagalla, Polskę reprezentuje „ich pięciu”: Gurawski, Kantor, Pankiewicz, Szajna i — właśnie Kołodziej. Podobnie na światowej wystawie szekspirowskiej w Pradze...

Tytan pracy (bo pamiętać trzeba jeszcze o 43 filmach Kołodzieja, realizowanych scenograficznie we współpracy głównie z reżyserami Kucem, Lenartowiczem, Różewiczem...) — jest Marian Kołodziej znakomitym laureatem pierwszej w województwie gdańskim nagrody artystycznej w dziedzinie teatru. (MiM)

O Marianie Kołodzieju por. M. Piszczatowska, w: „Litera”, nr 6, 1969 r.

łatwi. Na drugi dzień Ruda już się nie bała. Tu w kawiarni omawia się wszystkie sprawy, planuje, czeka i martwi się. Ale tu zawsze jest większa szansa, że coś się wydarzy.

— Dzieciak i Karin przyjechali — roz-

mosi się wiadomość. To goście z Warszawy wpadają na chwilę do „Ula”. Można porozmawiać. A komu się nie uda, wysłucha wieści od pośredników, którzy całym tabunem ciągną za przybyszami. Co opowiada ją? Ploteczki z życia nastolatków stolicy.

Kto z długowłosych się ostrzygł, kto poszedł do wojska itd. Nic ważnego? Tu wszystko się liczy. Wszystko jest ważne co mówi Dzieciak, który jest z Warszawy i w dodatku ma takie długie włosy, że chyba tylko Kary ma dłuższe. Kary ma najdłuższe

włosy w Polsce. Oni wiedzą, oni mu zazdroszczą. Chudy nie zazdrości. Chudy jest spokojny. Kiedyś „łykał”, ale był na leczeniu odwykowym. Dzisiaj trochę jest pijany. W pracy płacili, starzy mówią postaw, trzeba dobrze żyć ze starymi pracownikami, tym bardziej, że zakład, w którym pracuje, jest mały.

Joe porusza ustami, łykał. Siedzi w towarzystwie dwóch „nowych” dziewcząt. — Ten to zawsze z haraczem — komentuje Błażej.

Późnym wieczorem wpada do kawiarni na godzinę-dwie Rococo. Wcześniej nie może, chodzi do technikum wieczorowego. W dzień pracuje, jest mechanikiem samochodowym. Oni wszyscy chodzą do szkół, pracują. Mayall też. Następnego dnia po naszej rozmowie zgłosił się do pracy. Przyjęto go. Czy można nazwać ich leniami lub pasożytami? Pytają się, bo wiedzą, że trudno ich włączyć do schematycznych podziałów. Ale nie można pomijać milczeniem szkody, jaką wyządzają swoim postępowaniem, sobie samym i tym, którzy pod wpływem ich towarzystwa sięgną po narkotyki. Mówią, że nie ma gdzie pójść. Nie ma co robić.

Najłatwiej zrzucić winę na „obiektywne” trudności. W ten sposób zawsze można się rozgrzeszyć. A gdyby tak więcej wymagać od siebie? Nie potrafią tworzyć nowego modelu życia. Są w stanie krytycznie ocenić starszych, nieraz nie można zaprzeczyć ich racjom. Odwracają się ze wstrętem od pijaków, ale cóż przeciwstawiają temu nałogowi? Drugi nałóg — narkomanię. Oni roznoszą modę. Dlaczego tak łatwo ulegają? Dlaczego imponują im śmieszne ideały?

Ilu jest narkomanów w Trójmieście? Trudno o jakiejkolwiek dane, z przyczyny obiektywnej — brak. W kilkunastu szkołach średnich wykryto przypadki narkotyzowania się przez młodzież. Były to na ogół grupki kilku osób, rzadziej kilkunastu. Czy jednak ujawnione zostały wszystkie kontakty? Ile spośród młodzieży nieuczącej podlega pod ten „problem”? Są też przypadki narkotyzowania się młodzieży starszych klas szkół podstawowych a także studentów. Czy tych, którzy kilka razy użyli narkotyku, można nazwać narkomanami? Z pewnością nie. Ale jaka jest gwarancja, że nie wpadną w nałóg?

Z moich bardzo szacunkowych ustaleń wynika, że takich, którzy systematycznie używają środków narkotyzujących, jest na Wybrzeżu nie więcej niż kilkadziesiąt, natomiast początkujących około 700. Liczby na szczęście nie są wielkie, jednak problem jest ważki. Chodzi o nałóg, który szybko się utrwała i rozprzestrzenia. Już jednorazowe użycie morfiny może spowodować głód narkotyczny, czyli — potrzebę dalszego zażywania. Trzeba dodać, że głód narkotyczny jest silniejszy od głodu fizjologicznego. A więc niebezpieczeństwo nałogu — wielkie. Z oczywistych przyczyn możliwości zdobycia prawdziwych narkotyków są w naszym kraju małe. Większość polskich narkomanów używa określonych leków, biorąc jednorazowo kilka tabletek. Stąd nazwa narkomania w odniesieniu do tego zjawiska nie w pełni jest odpowiednia. Fachowo zjawisko to określa się toksykomanią. Działanie uboczne niektórych leków — wywoływanie stanu odurzenia — zostało „odkryte” przez młodzież kilka lat temu. Dlatego medycyna nie potrafi w pełni odpowiedzieć, jakie są skutki tej mody. Przede wszystkim dotyczą one zmian w psychice. Urojenia, psychozy o typie majaczeniowo-zamroczeniowym powodują rozchwianie psychiki. W końcowej fazie działania środków występują stany rozdrażnienia, przegnębienia, pogłębiające się w przypadku braku nowej porcji środka.

Liczne konflikty, w jakie popadają narkomani w swoim środowisku, w rodzinie, powodują zaburzenia psychiczne o charakterze nerwicowym, stopniowy zanik uczuć wyższych: normalnych, społecznych itd.

Narkotyki powodują także zmiany biologiczne w organizmie: uszkodzenia narządów miękkich, serca, wątroby, nerek oraz zanik nerwów czuciowych. Jakże dalsze konsekwencje odkryje medycyna po latach, trudno przewidzieć. Konieczność zdobycia środka prowadzi często do działalności przestępczej: fałszowania recept, kradzieży.

Ade ma 20 lat, pracuje w stoczni jako elektryk. Chodził do liceum wieczorowego. Przerwał naukę przez narkotyki. Ade chce się odzwyczaić. Półtora roku brał farmę. Sam nie mógł zwyciężyć nałogu, dlatego zgłosił się tutaj. Rozmawiamy na korytarzu szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych na Srebrzysku. Twierdzi, że już nie będzie „łykał”. Chce ukończyć liceum, potem studiować. Przynosi mi zeszyt z wierszami. Moim zdaniem bardziej to dokument, niż dzieło sztuki. Z tego względu wybieram wiersz „Podziemie”. Jest bardzo długi więc zacytuję tylko fragment:

...Jam jest protest młody
Twierdzić żem zatruty
że zatruci oni
Zapomnisz twórcę świata
twórczym rojem broczysz zmore
nieprzerwanych bestii woje
Dyktaturą opętałeś wolność czystą
brudną karmiąc i częstując
kochających miłość johibinę
spadkobiercą naszych nieszczęść
Wyścig krzywdy albo zbrojeń
Postanawiam krzywdzić siebie
kosztem pragnień osiągniętych
Iglą importując szczęście
Otwierając usta tykać
również szczęście
formowane tabletkami
Być odkrywcą kraju
Tam tak wiele pięknych krajobrazów
— doprowadzą młodzież do zagłady
Winę ponoć gdzieś tam skryto

Winowajcy mordujecie
potem chcąc ratować zrozumienie
lub zrozumieć kazać będę
Dać nam możliwość kwitnąć
w naturalny sposób bycia
wówczas sztucznych kształtów szczęścia
nie zobaczysz
i kalektwa
tylko zdrowy umysł
Tego pragnę
teraźniejszość dziś rozumie
umiara tworzyć
upodobnić się do muzy
które z podziem się wynuza
w świecie własnym
żyć oddechem pragnień własnych
a to będzie nasze życie.

Ade po wyjściu ze szpitala będzie namawiał kolegów, żeby zerwali z narkotykami. Błażej za jego mamowia już nie bierze. Wierzy, że innych także przekona. Będą zajmować się twórczością, zdobywać wiedzę. Czy uda mu się to? Czy sam znajdzie w sobie wystarczająco dużo silnej woli? Ade nerwowym ruchem odgarnia opadające na oczy długie włosy — wierzy, że uda mu się.

Poszczególne przypadki narkomanii wymagają opieki lekarskiej. Pod kontrolą lekarzy znajduje się Marek, Władek i szeregi innych. W jaki sposób zahamować rozszerzającą się modę narkomanii?

Przyczyny jej powstania szukać należy w błędach wychowawczych. Nie tylko rodziców i szkoły. Wpłynął na to całokształt życia społecznego. Młodzież coraz bardziej bezkrytycznie ulega modzie. Każda nowość znajduje setki wielbicieli, naśladowców. Problem długich włosów zwalczaliśmy nożyczkami. Bzdura, bo problem leży nie w przejawach, lecz w tendencji. Przeciwdziałanie tendencji wymaga bardziej racjonalnych środków, niż nożyczki. ■



SKRZYPEK Z ZESPOŁU „KASZUBY”

(FOT. A. PROKOFIEW)

Antonina Sowińska

NAGIE GWIAZDY CZYLI SEKSOLATKI DO WYNAJĘCIA (Refleksje outsiderki)

Czas to pieniądź. Ale nie w filmie. Kto nie wierzy, niech sam spróbuje asystować ekipie filmowej przy pracy. Stawienie się o oznaczonej porze nie oznacza bowiem wcale, że przybysz będzie mógł z rozdziawionymi oczami chłonąć wartki rytm twórczości tych półbogów współczesnego życia towarzyskiego — nie znających co to zmęczenie, wypruwających żyły z siebie i innych, żeby tylko osiągnąć wymarzony efekt. O nie, nic z tych schematów. Się nie spieszy nikomu.

Seksolatki — nowy film polski — powstaje (ile można sądzić po dwudniowej obserwacji) w spokoju, kulturalnie. Podczas, gdy sztab panów zerka przez okienko na chmurki, czy aby właściwe, można tymczasem w gotowym do drogi na plan, orbisowski autokarze chłonąć specyfikę środowiska.

— Lody pingwin na śmietanie, kto polize temu staniu!... Wątroba w poprzek.
— Jasne, że wątroba, a tyś myślał, że co?
— No, kto da ognia, panowie!...
— Ach ty smutku kryształowy, mo jak rany, kto ma zapakli!

Nie miałam. Te dialogi, robiące wrażenie prześmiewczych, są autentyczne, zapisane dosłownie. Ekipa techniczna (tu zresztą, jak się wydaje, reakcje są najbardziej „otwarte”), wszyscy ci ludzie związani z filmem, nie wyobrażają sobie, żeby w ogóle można było robić coś innego. Ich naturalność i bezsprzeczna serdeczność wobec osób z zewnątrz, przybrały formę pewnej konwencji. Wybaczają i rozumieją. Nie przekona ich nikt, że jego celem ostatecznym nie jest zagranie w epizodzie.

Tłum, jaki zgromadziły przed dworcem w Gdańsku wieczorne zdjęcia, zdaje się potwierdzać mniemanie o powszechnej fascynacji filmowaniem. Podobno jednak już przedtem ekipa spotykała się ze spontaniczną reakcją przechodniów, reakcją, która nie była chyba przyjazna. „— Trzeba było tu w grudniu filmować!”

Tłum, który miałem okazję obserwować, składał się w dużej mierze — jak to wieczorem, przed dworcem, w Gdańsku z... piwoszy. Chociaż nie mieli takich intencji, niewątpliwie przeszkadzali. Przy tym zespół realizatorów nie podzielał widać entuzjazmu teoretyków teatru dla autentycznej teatralności wydarzeń ulicznych. Zlekceważyli swoją publiczność. Próba „rozpedzenia” tłumu była natomiast przykładem niekomunikatywności, braku kontaktu. Może żart mógłby tę sytuację rozładować, dość obcesowo formułowane morały zaostrzyły ją. Wsparte iście południową gestykulacją odezwy kierowane do stojących najbliżej, starły się z nieco knajpskim poczuciem humoru wieczornych gdańszczan.

— Panie, tu się nie zbija baków, tu się pracuje! Jakby tak pan pracował, a ktoś panu stał przed nosem!...

Gra została podjęta: — Jakto, to nie chcecie mieć wiernej publiczności na zapleczu?

— Ja tam na ulicy nie pracuję.

Wziewany na sukurs milicjant przystąpił do pracy: — Pan stoi na kablu, proszę zejść z kabla.

Winowajca reaguje równie kulturalnie: — Już się robi, panie władzo, już schodzę...

Za chwilę ten sam głos z niekłamany oburzeniem: — Panie władzo, on stoi na kablu! Pan mu zwróci uwagę...

Pan władza „kupuje”: — Sam niech pan zwróci. Co, to ja mam uwagę zwracać?

Gorliwy nie daje się długo prosić: — He-niu, ty zejdź z kabla, to bardzo brzydko stać na kablu.

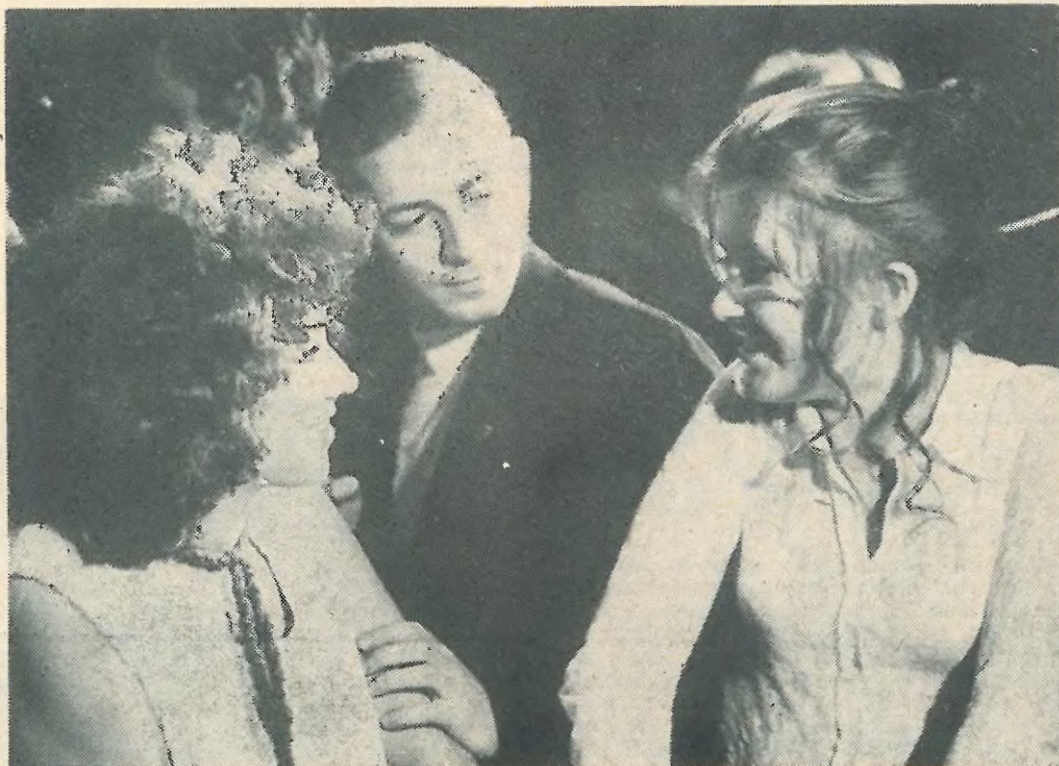
Zdjęcia zostały przerwane. Komentarz aktualny obserwatora, który na kablu nie stał — tonem na wpół tylko żartobliwym: — To tak się wyrzuca nasze pieniądze w błoto, a na milicję! A gówno...

Seksolatki reżyseruje znakomity, dobrze na wybrzeżu znany, reżyser teatralny i aktor, Zygmunt Hübner. Dość przypomnieć, z nowszych dzieł naszej sceny, *Ulyssesa* w reżyserii Hübnera. Zresztą niezapomnianą Molly z tego przedstawienia, Halinę Winiarską, będziemy mogli również zobaczyć w *Seksolatkach*, w epizodzie dyrektorki szkoły. Jak wynika z wypowiedzi — w rzadkich przerwach między kręceniem zdjęć — uwag, Hübnera zainteresowała w scenariuszu Scibora-Rylskiego sprawa dojrzewania młodych do życia; inicjacja ukazana jest tu poprzez wtajemniczenie seksualne. Dojrzałość biologiczna młodzieży nie zbiega się z dojrzałością psychiczną. Młodym brak świadomości psychicznych i życiowych następstw tego, co robią. Z kolei reakcje dorosłych oparte są

na ekranie oglądali jakiś obcy, „sztuczny” kraj. Podobnie ma się sprawa ze scenariuszem Scibora-Rylskiego. Rzecz, pozornie tak pełna aktualnych szczegółów — jak włożona na wieczór spódnica maxi, wystająca spod jeszcze krótkiego płaszcza — w istocie dzieje się w próżni społecznej. Nieprzypadkowo rodziny obojga bohaterów tytułowych są daleko; poznajemy ich tylko „z wizytą”, kiedy bohaterowie odwiedzają ich, szukając oparcia. A jednocześnie scenariusz ten ma — wprost interwencyjne — ambicje ukazania związku młodocianych kochanków w jego zależności od innych; od społecznych instytucji, takich jak szkoła, rodzina, koledzy — czyli opinia publiczna...

Dlatego też, aby ukazać klęskę tego związku, sięgał Scibor-Rylski do efektu deus ex machina. Z tą różnicą, że interwencją z zewnątrz niesie nie wybawienie, a klęskę. Charakterystyczne, że autorowi zabrakło cierpliwości do analizowania do końca, zamkniętego w pewnym sensie, środowiska młodzieży. Jeżeli miłość kończy się ohydą; upodleniem bohaterki i klęską bohatera, który okazał się niedorośli, to dzieje się to za sprawą nie rówieśników, ale mężczyzn dojrzałych: świata dorosłych.

Tytułowe seksolatki grają autentyczne



„SEKSOLATKI”

na schemacie potępienia, brakuje im argumentów istotnych.

Zdjęcia kręcone były w autentycznych wnętrzach. Autentycznych? Zdaje się, że istnieje duży rozróżnienie między autentyzmem filmowców, a powszechnym rozumieniem tego słowa. Sceny z rzekomą babcią, u której seksolatka wynajmuje pokój, nie chcą mieszkać w internacie, filmowano w prywatnym mieszkaniu, na jednej ze starych uliczek Gdańska. Autentyczne meble starszej pani były jednak nie dość autentyczne, wobec czego usunięto je, a pokójumeblowano tak, jak „babcia” powinna mieszkać. A więc wszystkie naraz rekwizyty, które przetrwały chyba tylko w magazynach Filmu Polskiego. Inicjatywa ta jest objawem pewnej postawy, czy może tylko metody. Być może wniosek będzie zbyt daleko posunięty, ale zabieg ten każe podejrzewać, że twórcy ci nie podglądają ani nie przetwarzają, ani nie tworzą — nowej rzeczywistości filmowej — oni ją imitują. Stąd może bierze się dziwne wrażenie obcości, braku rozpoznania, na polskich filmach jakbyśmy

nastolatki. W ich wykonaniu były: — Bardzo miłe sceny intymne; szkoda, że tego pani nie widziała...

Miłe? Dwoje dzieci, markujących sceny miłosne pod baczny okiem fachowców? Zdaje się, że jest to kliniczna sytuacja, kiedy można obserwować przepoczwarczanie się nie tyle poczwarki w motyla, co dziecka w kaboutyna.

Młodociana bohaterka filmu ma znakomite warunki; modną obecnie urodę. Gdyby chciało się ją określić, to chyba tylko opisując wyraz twarzy pomiędzy naiwnością, a sex appeal. Dziecko z całą naturalnością kokietyjące pcią; dorodna kobieta o pulchnych nogach dziecka...

Kogo razić może ta beceremonialność w opisie człowieka, młodego wchodzącego w życie człowieka — niech pomyśli o tym, że dorośli odpowiedzialni za rozwój i bezpieczeństwo psychiczne tej dziewczyny, zdecydowali wcześniej. Pozwolili ją przecież rozbić, jak towar, który można rozpakować, jeżeli nabywca sobie tego życzy.

Edukacja — gwiazdy?

Stefan H. Kaszyński

SZYPER Z POKŁADU

«KAPELLI»

Trwałe miejsce w duńskiej prozie marynistycznej zyskała powieść „Statek w butelce”. Jej autor Knud Vandmose Larsen (ur. 1912 r.), prezentuje dość osobliwy i skądinąd frapujący typ pisarstwa. Jego niebawome oswiadczenie życiowe oraz rozliczne poroże morskie (m. in. do Polski, Afryki, Hiszpanii, Ameryki Południowej) przysparzają twórczości autora „Statku w butelce” autentycznego i oryginalnego wyrazu. Literatura, którą tworzy Larsen, jest ze wszech miar interesującym i cennym studium psychologicznym ludzkiej natury. Temat ten pasjonuje pisarza również na co dzień; sam kiedyś pisał: „Moja praca przysparza mi wielu kontaktów; obcuje na ogół z prostymi ludźmi, nie mam środowiskowych uprzedzeń. Najbardziej interesuje mnie psychika człowieka”. Jest mianowicie Larsen nauczycielem w Aalborg, gdzie mieszka od szeregu lat. Swoją artystyczną wypowiedź nadaje kształt powieści, niekiedy wiersza; z równym powodzeniem uprawia też malarstwo i rzeźbę. Należy do grupy „Fluesomen”, przez jakiś czas współpracował z czasopismem „Kunst”. Swoje prace wystawiał ostatnio wraz z żoną w Polsce. Jego debiut w dziedzinie sztuk plastycznych (1948) poprzedził tomik poezji „Twa istota jest kobieta” („Dit vaesen er en kvinde” — 1940). Powszechne uznanie przyniosła mu jednak dopiero pierwsza w jego dorobku powieść „Statek w butelce” (Skibet i flasken — 1950).

Książka ta obrazuje historię małżeńskiego trójkąta, rozgrywającą się w pozornie zwyczajnej scenarii morskiej. Jest to atoli pretekst do stworzenia subtelnego portretu dwóch odmiennych osobowości, dwóch krańcowych postaw życiowych. Pierwszą reprezentuje wyrostek, który od dzieciństwa marzył o żeglarskiej. Kiedy nadarza się ku temu okazja, rzuca pracę, aby zaciągnąć się na statek. Niedoświadczony i słaby, z łatwością daje się ponieść namiętnościom i przypadkowemu układowi losu. Jego przeciwnictwo stanowi szyper, dojrzały mężczyzna, silny, o sporym doświadczeniu, słowem, stary wilk morski. Kobieta, która inicjuje konflikt, wygrywa jednego mężczyznę przeciwko drugiemu bez konkretnego właściwie celu. W istocie jest ona tylko stymulatorem wydarzeń. Młody chłopak to ulega jej sugestiom, to znów zmagają się z własną i cudzą podłością, wątpli w ludzką dobroć i uczciwość. Szyper natomiast potrafi zreczynić lawirować w gęstwinie wydarzeń, a mimo to przegra.

Larsen odizolował swe postacie od normalnego życia na lądzie, tam bowiem okazałyby się one bezbarwnymi, nędznymi kreaturami. Sens życia bohaterów powieści skupia się wokół morza, ono nadaje im wymiar i barwę, stanowi cel i punkt odniesienia wszechrzeczy. Morze decyduje o bycie tych ludzi. Nie jest ono wprawdzie burzliwe ani gwałtowne, niemniej wyzwala w człowieku surowe instynkty. Pisarz stworzył więc sytuację, w której ludzie, osamotnieni, w obliczu żywiołu, zdani są wyłącznie na siebie, mogą siebie sprawdzić, potwierdzić własne wartości lub ujawnić wręcz nieoczekiwaną stronę swej osobowości. Niemal identyczny model sytuacji zastosowali swego czasu Roman Polański i Jerzy Skolimowski w filmie „Nóż w wodzie”. U Larsena spotykamy oczywiście bardziej rozbudowaną fabułę, wzbogaconą o znakomicie przedstawione realia, skandynawskie wybrzeża, morze, tonację pogody. Tak dogłębna znajomość morza, życia marynarzy, fachowego słownictwa jest wynikiem doświadczeń i przeżyć pisarza, który też był marynarzem i przez długi okres pływał na różnych statkach.

Doskonałym chwytym narracyjnym w przekazywaniu niezwykle zawiłych spraw dotyczących natury ludzkiej, jest u Larsena retrospekcja. Czas w planie retrospekcji rozciąga się na okres kilkunastu lat, obiektywnie zaś ogranicza się do kilku miesięcy. Pozwala to z kolei na szereg kontrastowych konfrontacji różnych płaszczyzn rzeczywistości.

ci. Znaczącym walorem książki jest również jej poprawna stylizacja, jednocząca prostotę i muzyczną harmonijność słów. Styl Larsena „nabiera koloru morza i rytmu fal. Jest to morze baśniowe, lecz pozbawione romantycznego kamuflażu, opisane z autentyczną pasją”; oto jak wyrażał się jeden z duńskich krytyków.

Obok „Statku w butelce” można wymienić jeszcze kilka książek Larsena, które w podobny sposób drażnią psychikę ludzką, chociaż w zupełnie odmiennym kontekście i różnej konwencji stylistycznej: choćby nagrodzona powieść „Magnus” (1952) lub inna „Czy znajdzie się statek dla Nico?” („Er der et skib til Nico?” — 1953), znana w Danii również jako słuchowisko.

Kiedy latem ubiegłego roku odwiedziłem Larsena w jego domu na zboczach fiordu, przecinającego miasto Aalborg, wybierał się on właśnie na kolejną wystawę do Polski. W trakcie wielogodzinnej rozmowy, w której konsultowaliśmy polski przekład „Statku w butelce”, udało mi się wniknąć w psychikę tego nader skromnego człowieka. Jego niepozorna postać dosyć zasadniczo różni się od typów, które zaludniają jego powieści. Widać są one pewną rekompensatą, a może nawet próbą wyzwolenia się z zastarzałych kompleksów. Larsen bardzo niechętnie wypowiada się na temat swoich książek, zdawałoby się nawet, że nieswiadom ich artystycznych walorów, woli na wszelki wypadek nie dotykać tak intymnych tematów. Dopiero późnym wieczorem, kiedy zasypia już port, a z okna Larsenowego pokoju widać przytłumione światła statków, cumujących na wodach fiordu, zasiada on do biurka i przenosi się w świat marynarskich przygód i znojów.

Warto o tym wszystkim pamiętać, gdy weźmie się do ręki polski egzemplarz „Statku w butelce”. Tłumaczka, Maria Krzysztofiak, z którą odwiedziłem wówczas pisarza, niezwykle pieczołowicie przeniosła subtelną kreskę psychologiczną tej książki. W przekładzie bardziej może nawet niż w oryginale oddana została postać prosta, którą owiana jest ta surowa opowieść. Wbrew pozorom nie ma ona nic wspólnego z sentymentalizmem. Jeśli więc „Statek w butelce” stanie się przeżywcim intelektualnym, będzie w tym również zasługa tłumaczki.

*) Knud Vandmose Larsen: *Statek w butelce*. Tłumaczyła z duńskiego Maria Krzysztofiak. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1971, s. 176.

Bohdan Kubicki

BLIŻEJ FIORDÓW

Wiadomo, że nawet najciekawsza i najbardziej interesująca antologia obcej prozy — za jaką niewątpliwie należy uznać tom noweli norweskiej *Tam gdzie fiordy**) — nie jest w stanie zaprezentować w pełni tego, co literatura danego kraju stworzyła. Kiedy przegląda się czasem podobne wybory opowiadań polskich, wybory w obcych językach, odczuwa się całą niedoskonałość i w gruncie rzeczy bezsilność takich zbiorów. Czyż na przykład *Antek* może dać pojęcie Norwegowi o prozie Prusa? Albo Sienkiewiczowskiemu *Za chlebem* o wartościach innych dzieł tego pisarza?

Sam wybór zaledwie jednego utworu spośród wielu to decyzja trudna, toteż nie dziwne, że często w antologiach — a *Tam gdzie fiordy* dostarczą podobnych argumentów — autorzy bardziej wybitni wypadają gorzej od mniej utalentowanych czy mniej znanych, co zresztą nie jest „wykroczeniem”, ponieważ antologia nie hierarchizuje pisarzy, lecz daje wyobrażenie o pewnym ich zbiorowym trudzie i jego artystycznych rezultatach. A jeżeli w dodatku obejmuje stulecie literatury, jak omawiany tom — z konieczności i obowiązku powinna przynajmniej być „oddaniem głównych prądów w życiu literackim Norwegii” — jak pisze w *Przedmowie* A. Skrentna. Sądze, że intencja ta była słuszną, i wydaje się, że osiągnęła swoje zamierzenie.

Rodowodu literatury skandynawskiej szuka się m.in. zwykle w jej

chłopskości i ludowości. „Kultura Szwecji tkwi mocno korzeniami w życiu wsi” — pisał we wstępie do noweli szwedzkiej *Losy ludzkie* Z. Łanowski. „Kultura norweska tkwi bowiem korzeniami mocno w życiu wsi” — czytamy podobnie choć w nieco innym szyku w *Przedmowie* do omawianego tomu. Nie jest to z pewnością zatem genealogia wyjątkowa, bo można by tak powiedzieć o wielu innych literaturach europejskich, choćby o naszej — szlacheckiej, ońskiej, a współcześnie w książkach Czernika, Piętaka, Przybosa czy licznej grupy młodych — chłopów. Swego czasu „chłopskość” literatury skandynawskiej była socjologiczną Reymontowską *Chłopów*, które dzięki swej tematyce mogły liczyć na poparcie w ojczyźnie Nobla, napotykać jednocześnie na konkurencję właśnie norweskich pisarzy — O. Duuna, K. Hamsuna czy J. Bøjera — prezentowanych w recenzowanym tu zbiorze.

Problematyka wiejska znajdzie dostateczny dowód w noweliście norweskiej, ukazującej często graniczącą z heroizmem walkę człowieka z przyrodą, zwłaszcza z morzem. Ale z drugiej strony odzwierciedli się też w niej proces „odcinania korzeni”, odrywania się od ziemi jako naturalnego gniazda ludzkiego. Ta bolesna świadomość jest źródłem jednego z powszechniejszych niepokojów dwudziestowiecznej literatury wielu krajów i — co ciekawe — wcale nie znika, choć niekiedy traktowana jest jako przejaw atawizmu i sentymentu i przeciw niej wymierzona jest ironia współczesnych „postfutrystów”.

Ale nie w warstwie tematów i problemów doszukiwałbym się najbardziej interesujących walorów tej antologii — chociaż jak zwykle z okazji tak rozległego wyboru nie można lekceważyć jego poznawczych zalet. Nie ulega wątpliwości, że *Tam gdzie fiordy* zbliżają nam Norwegię, że dość wszechstronnie, choć z konieczności fragmentarycznie, pokazują nam charakter jej mieszkańców, przemiany społeczne i historyczne kraju — spełniając dobrze te role, jakie może w najlepszym sensie podjąć się również literatura.

Lecz najciekawsze w tym tomie wydaje się chyba podpatrywanie jak norwescy pisarze — poza rzetelnością realistów, psychologów czy nastrojowych poetów — pojmują sposób istnienia literatury, jak zdarzeniom i postaciom przydają cech, które sprawiają, że schematyczne kombinacje ludzkich losów nabierają wartości artystycznych. Z jednej strony utwory te nie proponują niczego, co byłoby obce europejskiej prozie XIX i XX-wiecznej. Antologia jest bowiem z pewnością również odbiciem wielu głównych literackich prądów Europy. Przeplata się w niej realizm Undset z naturalizmem i alegorią *Nieustraszonej mrówki* Vesaasa. Modernistyczne ponure tajemnice duszy w *Zimowej nocy* Aarndta lub w opowiadaniu Kraga *Gdy zapada mrok* równoważy ludowa wiara w efekt niezłomnego i trudnego działania. Obok symbolizmu pojawia się tu psychologizm; obiektywizm narracji zętknie się z subiektywizmem komentarza, mistyka ze zdrowym rozsądkiem. W tym sporze o metodę przedstawiania świata zwraca uwagę jednak pewna dominująca cecha, która rozwinęła się w związku z mistyką i symbolizmem tej literatury, ale służy przede wszystkim realizmowi — sztuka wieloznaczności. Potrafi ona wyłowić z najbardziej prozaicznych i realistycznych anegdot i fabuł znaczenie metaforyczne, gdy realizm, nie tracąc bynajmniej autentyzmu, jest nie tylko „kawałkiem życia”, lecz również przenosią sugerującą i wskazującą jakieś ogólniejsze prawdy.

Żest to poza tym proza bardzo poważna i serio — i to w dosłownym znaczeniu, jakby unosiła się nad nią atmosfera Ibsenowskiego *Rosmersholmu* i Solness, proza, w której humor pojawia się raczej pod wpływem ludowej ironii, kpiny i trzeźwości w takich choćby utworach jak *Ulriksen buntownik* M. Haalkego czy w groteskowych *Sądach* Stigena. Jednocześnie silne poczucie realizmu, bijące z omawianych nowel, pewien ich stoicyzm, na ogół są skuteczną bronią przeciwko krańcowemu pesymizmowi. Ci pisarze nie ulegają łatwo temu, co Dąbrowska nazywała „sterroryzowaniem przez ciemne strony rzeczywistości”. Świat jest jednak dla nich czymś arcyważnym, a tworzenie aktem potwierdzającym tę powagę.

Dochodzimy tutaj do zagadnienia rzetelności artystycznej i wciąż porażającego pytania „czym jest literatura?”. Sądze, że w antologii noweli norweskiej to pytanie znajdzie jedno z możliwych rozstrzygnięć, którego nie sposób odrzucić.

Nie odcinając literaturze roli „szkiełka i oka”, czyni się ją zdolną jednocześnie do wyrażania bardziej skomplikowanych i niebanalnych relacji, jakie wykształciły się pomiędzy człowiekiem i światem. Tropienie tych związków i przekładanie ich na język najszerzej pojętej metafory jest bowiem celem wszystkich godnych uwagi książek. A świadomość tego zadania dobitnie, choć oczywiście z różnymi rezultatami, prezentuje i pokazuje tom *Tam gdzie fiordy*.

*) *Tam gdzie fiordy*. Antologia nowel i opowiadań norweskich. Wybór Józefa Giebułtowskiego. Wyd. Poznańskie 1970, str. 458, cena 40 zł.

Bohdan Kubicki

UPADEK KRÓLA

W 1944 roku, po wojennej przerwie, pierwszą nagrodę Nobla w dziedzinie literatury otrzymał, jako trzeci z kolei Duńczyk, Johannes Vilhelm Jensen. Ale zdaje się, że ani jego nazwisko, ani twórczość nie są w Polsce szczególnie popularne, mimo że w dwudziestolecie międzywojennym rozpoczęto u nas przekłady jego prozy. Laureaci Nobla, jak widać, nie wszędzie przechodzą do nieśmiertelnych — choć na przykład poza nielicznymi pamiętą poprzednika Jensena, który wraz z Gjellerupem w 17 roku otrzymał to samo wysokie wyróżnienie — Henrika Pontopidana?

*Upadek króla**, dzieło dwudziesto- paroletniego Jensena, nie jest z pewnością utworem na tyle doskonałym, by mógł on wywołać w nas zdziwienie i zawstydzenie, iż dopiero teraz trafiła do polskiego czytelnika. Jeżeli jednak zważy się, że książka ta została napisana siedemdziesiąt lat temu, uderzy w niej niewątpliwie świeżość formy, jakiej Jensenowi mogłoby pozazdrościć niejeden młodszy od niego pisarz.

Historyzm *Upadku króla*, przenoszącego nas w XVI wiek burzliwych dziejów Danii — bo zresztą jaki kraj w owym czasie nie przeżywał swojej burzliwej epoki — proponuje tę odmianę czasu przeszłego, który na tle realiów historycznych tworzy model bohatera uniwersalnego. Jest to bowiem chyba przede wszystkim książka o człowieczej niedoli, która należy w znacznej mierze od społecznych i politycznych warunków, lecz kształtuje się także niezależnie od nich — poza dobrem i złem konkretnych czasów, konkretnego państwa i trwających w nim niepokojów, gdyż jest w ogóle przypisana człowiekowi. Ten moment w powieści podkreślony jest na przykładzie losów bohatera — Michela Thøgersena — który dzieli perypetie i niepowodzenia ojczyzny a później „upadku króla”, Chrystiana II, lecz przeciw toczy także swój niezależny spór ze światem, spór, w którym gorycz i rozczarowanie przyniosą mu tyleż nieprzejrzana rzeczywistość co i osobiste klęski — m.in. miłosny zawód. Jensenowi udaje się jednocześnie zaznaczyć, że historia jest zupełnie pozbawiona poczucia sprawiedliwości, bo nie licząc się z człowiekiem i wykorzystując go bezwzględnie i bezlitośnie, nie jest w stanie go za to wynagrodzić; obdziela nas swoimi kłopotami, nie ujmuje cierpienia indywidualnych.

Jensen niewątpliwie uległ w okresie pisania *Upadku króla* pesymizmowi końca wieku, jest to pesymizm w części modernistyczny, chociaż bierze się on nie tyle z zapatrzenia w siebie, ile z patrzenia na świat. Ale duch modernizmu przeniknął w nastrojowości i symbolizmie do jego książki. Alegoryczna postać śmierci, przemierzającej niby wędrowiec zimowy pejzaż, coraz to uderza kogoś „dłonią w płuca i pozostawia leżącego na drodze”. Wesołość i śmiech pojawiają się nieznacznie i naiwne zaufanie wobec życia i trwają krótko. Tej ponurej wizji dopełniają obrazy rzezi i zabijania, gdy człowiek objawia się jako struktura tkanek, kości i ścięgien.

Na szczęście, komentarz do tego niesamowitego świata cechuje pewien rodzaj pisarskiej „zimnej krwi”, nie dopuszczającej do głosu modernistycznej patetyczności i egzaltacji. W pisarzu dominuje bystry obserwator pragnący wydobyć z materii zdarzeń i przedmiotów ich cechy wyraziste i zmysłowe. I jeżeli wspomniano tu, że w *Upadku króla* uderza świeżość stylu, to właśnie bierze się ona z tej powściągliwości i pozornej nieangażowania się autora w ową człowieczą niedolę. Ale uprzytomnienie jej rozmiaru jest co najmniej tyle samo warte, ile deklaratywne veto.

*) Johannes V. Jensen, *Upadek króla*. Przełożyła Emilia Bielicka. Wyd. Poznańskie 1971, str. 200, cena 25 zł.

Tadeusz Bolduan

DZIAŁALNOŚĆ PUBLICZNA MIKOŁAJA KOPERNIKA

W księgarniach jest już do nabycia piąty tomik *Biblioteczki Kopernikańskiej*, wydawanej przez Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Pięć dalszych tomików ukazuje się w najbliższej przyszłości. Tak więc idea upowszechniania wiedzy o życiu, działalności i epoce Mikołaja Kopernika za pośrednictwem



popularnonaukowych książeczek, przystępnie opracowanych przez specjalistów, jest owocnie realizowana. Wspominając o popularnonaukowym charakterze tych wydawnictw trzeba zaznaczyć, że dotyczy to sposobu podania treści i rezygnacji z aparatu naukowego (przypisów), a nie samej treści, która jest wykładnią najnowszych badań, w wielu wypadkach publikowanych po raz pierwszy. W uwagach bibliograficznych autorzy niejednokrotnie powołują się na prace będące w druku, lub na badania jeszcze nie zakończone. Otrzymujemy więc prace świeże, pełnowartościowe pod względem naukowym, a zarazem podane z dużą kulturą literacką.

Działalność publiczna Mikołaja Kopernika, pióra Mariana Biskupa*), jest najnowszą pozycją *Biblioteczki Kopernikańskiej* — pozycją bardzo ważną zważywszy, że temat ten nie doczekał się dotąd gruntowniejszego opracowania i w związku z tym wiemy o publicznej działalności Kopernika bardzo mało, lub zgola nic. Biskup pisze: „Kopernik — największy uczony Polski renesansowej — był przede wszystkim jednym z najaktywniejszych ludzi na polu pracy publicznej, społecznej”. W jakich dziedzinach ta działalność publiczna się przejawiała? Jak rysowała się jej sylwetka obywatelska w północnej części XVI-wiecznej Polski?

Na te i wiele innych pytań daje odpowiedź wykład M. Biskupa, przedstawiający i rozpatrujący wszechstronną działalność publiczną fromborskiego uczonego. Autor wprowadza nas najpierw w podstawową problematykę Prus Królewskich XVI wieku; objaśnia, co to były Prusy Królewskie (obszar, podziały administracyjne), przedstawia ich oblicze gospodarczo-społeczne i

swobody prawno-ustrojowe. Teraz łatwiej nam śledzić angażowanie się Kopernika w publiczne sprawy Prus Królewskich, najpierw u boku wuja, Łukasza Watzenrodego, potem — od 1510 roku — już samodzielnie. W dalszych rozdziałach M. Biskup omawia działalność Kopernika jako administratora „dóbr kapituły warmińskiej, jego udział w obronie Warmii przed agresją zakonu krzyżackiego, działalność w zakresie reformy monety pruskiej i wreszcie schyłek działalności publicznej w latach trzydziestych i na początku lat czterdziestych.

Podsumowując całość rozważań, autor zwraca uwagę na niezwykłą pracowitość Kopernika, na jego prawy charakter i poczucie obowiązku społecznego. „Przed wszystkim — pisze M. Biskup — uderza... wszechstronność zajęć podejmowanych przez cały okres jego pełnej działalności publicznej po 1510 r., a wymagających znacznej ofiarności i wysiłku”. Inne cechy Kopernika, to sumienność w wykonywaniu przyjętych na siebie obowiązków i bezinteresowność. Całe jego postępowanie, jakże szlachetne, wypływało z miłości do kraju rodzinnego. „To poczucie miłości kraju rodzinnego związane było u Kopernika z niezachwianą lojalnością i wiernością wobec najwyższego zwierzchnika Prus Królewskich i Warmii — króla polskiego. Kopernik należał do tych osobistości warmińsko-pruskich, dla których zwierzchnictwo władcy Polski było czymś oczywistym i niezbędnym dla normalnego funkcjonowania organizmu polityczno-prawnego Prus Królewskich...”

Nie wiem, czy kuratoria szkolne i biblioteki publiczne pomyślały o kompletowaniu w swoich zbiorach *Biblioteczki Kopernikańskiej* i umiejscowieniu jej propagowaniu. Jeżeli dotąd tego nie uczyniły, powinny czym prędzej nadrobić zaległości, aby te cenne książeczki były powszechnie czytane przez młodzież, nauczycieli, przez wszystkich zainteresowanych życiem i dziełem Wielkiego Astronoma. Poszczególne opracowania dostarczają nam bowiem nie tylko rzetelnej wiedzy, ale ją systematyzują i zachęcają do sięgania po opracowania szczegółowe, a nawet — po materiały źródłowe. Umieszczone na końcu książeczki (tak samo w poprzednich tomikach) *Uwagi bibliograficzne* pozwalają rozszukać literaturę, z której korzystał autor a zarazem stanowią wskazówki bibliograficzne. Liczne, dobrze dobrane ilustracje i mapki ułatwiają zrozumienie i przyswojenie treści.

*) Marian Biskup: *Działalność publiczna Mikołaja Kopernika*. Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Prace popularnonaukowe nr 13, Biblioteczka Kopernikańska nr 5. Toruń 1971, s. 96, cena 12 zł.

Stanisław Pestka

KURHANY ZACHODNIOBAŁTYJSKIE

Stoimy nadal przed ogromem spraw budzących kontrowersje lub przynajmniej mocno dyskusyjnych. Refleksja ta nasuwa się po lekturze książki Łucji Okulicz „Kultura kurhanów zachodniobałtyjskich we wczesnej epoce żelaza”). Jednakże sporo problemów, których archeologia nie zdążyła jeszcze należycie oświetlić, autorka wymienionej pracy interpretuje po nowemu, urzeczywistnia postulat całościowego spojrzenia na stare i nowe źródła archeologiczne.

Jakie miejsce wśród zespołów kulturowych środkowej Europy (wczesna epoka żelaza) zajmowali Bałtowie zachodni? Spróbujmy pójść za tokiem myślenia Ł. Okulicz. Nadmienimy tylko, że jej praca obejmuje obszar Półwyspu Sambijskiego, dorzecze Pregoly, Pojezierze Mazurskie, Wzrosty Elbląską i północny skrawek Mazowsza.

Do tych, którzy pozostawili wartościowe analizy autorka zalicza: Tischlera, Kemkego, Bujacka, Ossowskiego, Kostrzewskiego, Antoniewicza. Omawiając monografię Antoniewicza, wydaną w 1964 r., Okulicz zauważa: „wczesna epoka żelaza na tym obszarze wykazuje cechy „swoistego konglomeratu kulturo-

wego”, gdzie obok zjawisk typowych dla miejscowego środowiska bałtyjskiego, występują w dużym natężeniu elementy „łuzyckie” i „pomorskie”. A więc związki Bałtów z plemionami kultury pomorskiej nie były zjawiskiem przelotnym. W oparciu o źródła wyłącznie archeologiczne autorka dokonuje wielu cennych ustaleń faktograficznych, rozstrzygniętych raczej definitywnie, jak np. charakterystyka obrządku pogrzebowego, rola osiedli obronnych, jako podstawowej formy budownictwa osad itd.

Oczywiście, każda kultura archeologiczna ma pewne cechy przewodnie, toteż jedną z ważniejszych czynności jest uzyskanie odpowiedzi, skąd owe cechy się wzięły i w jakim kierunku poszła ich ewolucja. Dlaczego u Bałtów występowały naczynia kulistodenne, nie spotykane w kulturze łuzyckiej czy pomorskiej? Tej ostatniej zawdzięczali zachodni Bałtowie formy urn twarzowych, pokryw czapkowate. Znaleźiska pochodzące z kurhanów potwierdzają tezę, iż szczególnie ożywione kontakty z obszarem Pomorza wschodniego przypadły na epokę brązu. O wzajemnych kontaktach międzykulturowych jest mowa też w rozdziale poświęconym środowisku naturalnemu, uprawom rolnym, zbieractwu, rybołówstwu, hodowli. Interesujące są także spostrzeżenia dotyczące wymiany lokalnej i dalekosiężnej. Najistotniejszym bodźcem do rozwoju wymiennych kontaktów był bursztyn. „Od końca epoki brązu przodujące miejsce w eksporcie bursztynu zajmują południowo-wschodnie wybrzeża Bałtyku. Ponieważ wysoko rozwinięta „pomorska” wytwórczość metalurgiczna była w stanie zaspokoić własne potrzeby i zapotrzebowanie kontrahentów zachodniobałtyjskich, przeto plemiona te „stają się pośrednikami w przekazywaniu wytworów, najpierw „łuzyckich”, później pomorskich i własnych, dalej na północ i wschód”. Czy były jakieś próby nawiązania łączności ze Skandynawią? Okulicz odpowiada: „Niewielka ilość importów skandynawskich w zestawach zabytków omawianej kultury wcale nie świadczy o słabych kontaktach. Skandynawia ze swoimi możliwościami wydobyczymi metali mogła być jednym z głównych eksporterów surowca metalowego na omawiane tereny, czerpiąc w zamian inne dobra materialne.

Południowo-wschodnie wybrzeże Bałtyku w XIII–XIV wieku zamieszkiwały plemiona pruskie, tworząc 12 okręgów: Pomezania, Pogezania, Warmia, Natangia, Sambia, Nadrowia, Skalowia, Sudowia, Galindia, Barcja, Ziemia Sasińska i Lubowia. Rzecz zrozumiała, że nie można tu pominąć nazwy Aesti (Estowie), terminu, którym posłużył się Tacyt, oznaczając nim lud zamieszkujący wschodnie wybrzeża Bałtyku. Łucja Okulicz słusznie zwraca uwagę, iż „w nowszej literaturze przeważa pogląd o bałtyjskim charakterze Aestów — nazwa ta mogła oznaczać bądź Prusów, bądź też ogólnie Bałtów”. Z ustaleń językoznawczych wynika, że najstarszą warstwę hydronimów (nazwy wodne) pochodzenia bałtyjskiego stwierdzono w dorzeczu górnego Dniepru, na północ od ujścia do niego Desny, w lewym dorzeczu Pregoly. Od wschodu bałtyjskie nazewnictwo opiera się o dorzecze górnej Oki i Moskwy”. A więc tam w dorzeczu górnego Dniepru i Niemna, po lewe dorzecze zachodniej Dźwiny i zachodnią część międzyrzeczja Wołga–Oka, należy lokalizować pierwotne siedziby Bałtów.

Analiza filologiczna nazewnictwa miejscowego wykazuje, iż we wczesnym średniowieczu obszar zachodniobałtyjski rozciągał się od dolnej Wisły po Niemna. Na owym obszarze badacze wykryli także ślady pobytu staroindoeuropejskich Wenedów, co znajduje wyraz w reliktach nazw miejscowych, starszych od bałtyjskich. Nie zmienia to faktu, iż podstawowy zrab ludności przetrwał na tych terenach po I tysiącleciu naszej ery. Trudno mówić o pełnym autochtonizmie etnicznym zachodnich Bałtów. Na kształtowanie się tego zespołu etnicznego, który należy utożsamiać nie tyle z ciągłością biologiczną, co językową, oddziaływały wpływy zewnętrzne, szczególnie zaś „pomorskie”.

Książkę uzupełniają tablice, dokładne orientujące w ceramice i zabytkach metalowych ze skarbów i kurhanów różnych zachodniobałtyjskich grup kulturowych, kilku-

dziesięciostronicowy wykaz stanowisk oraz bogata literatura przedmiotu.

*) Łucja Okulicz, *Kultura kurhanów zachodniobałtyjskich we wczesnej epoce żelaza*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich PAN 1970, str. 264, cena 55 zł.

Zapiski wydawnicze

IRENA REMBOWSKA: *Gdański cech złotników od XIV do końca XVIII w.* Studia i materiały do dziejów Gdańska pod redakcją Edmunda Cieślaka, t. 4. Gdańskie Towarzystwo Naukowe, Wydział I Nauk Społecznych i Humanistycznych. Seria monografii nr 39. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Gdańsk 1971, s. 252 + tabl. ilustr., cena zł 70.



Zmieniona wersja rozprawy doktorskiej, napisanej pod kierunkiem prof. dra Edmunda Cieślaka. Praca składa się z dwóch części: w pierwszej autorka omawia organizację, technologię produkcji i udział cechu w życiu miasta, w drugiej zaś omawia warsztaty złotnicze i ich dzieła w układzie chronologicznym. Wartościowy jest wykaz zabytków złotnictwa gdańskiego, zachowanych w Polsce według stanu badań do końca 1967 roku. Jest to pierwsza polska monografia gdańskiego cechu złotników, bardzo sumiennie opracowana na podstawie źródeł archiwalnych i ikonograficznych.

JERZY SZUKALSKI: *Środowisko geograficzne Trójmiasta (Gdańsk–Sopot–Gdynia)*. Uniwersytet Gdański. Skrypty uczelniane. Gdańsk 1971, s. 192, w tekturce mapki i szkice.

Skrypt przeznaczony dla studentów geografii, ale z pewnością będzie z pożytkiem wykorzystywany również przez turystów i krajoznawców, którzy znajdą w nim pełny obraz trójmiejskiego środowiska geograficznego. Autor omawia m.in. takie zagadnienia, jak położenie i obszar Trójmiasta, budowę geologiczną, rzeźbę terenu, warunki klimatyczne, szatę roślinną, dotychczasowe użytkowanie obszarów Trójmiasta i perspektywiczne plany rozwoju. „Środowisko geograficzne zostało... przedstawione w ujęciu kompleksowym wraz z próbą regionalizacji fizyczno-geograficznej. Ocena środowiska, krytyka dotychczasowego użytkowania obszaru Trójmiasta i plany perspektywiczne jego rozwoju ukazują ponadto drogi do racjonalnego wykorzystania istniejących tu warunków naturalnych”. Bardzo pożyteczna praca.

SERGIUSZ MIKULICZ: *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej*. Książka i Wiedza, Warszawa 1971, s. 314, ilustr., cena 45 zł.

Rozprawa naukowa rozpatrująca polskie wydanie prometeizmu, czyli penetrację przedwzręsnowej Polski w stosunku do Związku Radzieckiego poprzez inspirowanie ruchów nacjonalistycznych wewnątrz ZSRR. Rozbudzanie świadomości narodowej poszczególnych republik służąc miało osłabieniu systemu radzieckiego.

Ferdinand Neureiter

ODDZIAŁ SALZBURSKI TOWARZYSTWA AUSTRIACKO-POLSKIEGO

W październiku 1969 r. — po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej — miasto Salzburg oglądało przez cały tydzień imprezy pod hasłem „Polska”. Okazję tę stworzyli zorganizowane przez Czytelnię Polską w Wiedniu i Towarzystwo Austriacko-Polskie Dni Polskie. Dostarczyły one ludności Salzburga mnóstwo imprez: dla jednych były koncerty muzyki klasycznej w wykonaniu Wielkiej Orkiestry Polskiego Radia z Krakowa, z występem pani Haliny Czerny-Stefańskiej, dla innych muzyka jazzowa zespołu Jana Boba, który wystąpił w bajecznie kolorowych strojach góralskich na jednym z najbardziej ozdobionych placów Salzburga. Dalej zorganizowano wystawę plakatu pod gołym niebem, wystawę gobelinów, wyświetlano filmy oraz wygłaszano odczyty (m. in. prof. dr Stanisław Turski i dr Władysław Markiewicz). W oknach wystawowych sklepów wyłożono polskie towary, a przed jednym z największych sklepów żywnościowych Salzburga, dziewczyna w polskim stroju ludowym częstowała przechodniów czystą wyborową. Nie muszę tu podkreślać, że przed tym sklepem przechodziłem kilkakrotnie! W dwóch lokalach można było konsumować polskie potrawy, które przyrządzał polski kucharz. Wszędzie polskie afisze zapraszały do udziału w quizie o Polsce; 1000 nagród przyciągało uczestników. Nagrodą dla zwycięzcy był 14-dniowy pobyt w Polsce.

Ta impreza — najlepsza w swoim rodzaju z dotychczasowych — szczegółowo omówiona w prasie, wzbudziła wśród ludności Salzburga wyraźne zainteresowanie Polską. Jeszcze w czasie trwania Dni Polskich wysunęto propozycję wykorzystania tego zainteresowania i powołania do życia Oddziału Towarzystwa Austriacko-Polskiego w Salzburgu. Tak więc w dniu już dziś historycznym — 16 października 1969 r. — zebrał się w jednym z salzburskich hoteli z p. dr. Kanitzem, kierownikiem centrali wiedeńskiej Towarzystwa Austriacko-Polskiego i omówiliśmy możliwość działalności w Salzburgu. Było nas wtedy 7 osób: emerytowany radca do spraw kultural-

nych prowincji salzburskiej, żony 2 lekarzy (obie Polki), tłumaczka sądowa języka polskiego, studentka, dziennikarka i moja skromna osoba. Uchwaliliśmy na miejscu założenie Oddziału Towarzystwa Austriacko-Polskiego w Salzburgu. Datę 6 listopada 1969 r. ustanowiliśmy jako dzień naszej pierwszej imprezy. Prace organizacyjne — zarezerwowanie lokalu, powołanie zaproszeń, adresowanie kopert oraz ich wysyłkę, jak i odpowiedzialność za układ programu — wzięliśmy na siebie. Pierwszy wieczór wypełniłem sam odczytem o polskiej literaturze powojennej, do którego udało mi się pozyskać znakomitego recytatora, nagrodzonego za występ butelką wódki! Od tego czasu stale do mnie telefonuje i pyta, czy będzie mógł znów kiedyś recytować. Na imprezę przybyło 15 osób, które zafascynowane były bogactwem polskiej prozy i poezji powojennej oraz różnorodnością pokazanych kierunków i stylów w literaturze. Ten pierwszy sukces osmielił mnie do dalszych poczynań i tak spotykamy się już od półtora roku regularnie raz w miesiącu, omawiając polskie tematy. Sam mówięm już o Mickiewiczu i Słowackim, jeden z wieczorów poświęciłem polskim kolegom, inny modnym przebojom. Oczywiście odbyło się także spotkanie poświęcone literaturze kaszubskiej. Nie pominęliśmy również tematów z zakresu historii polskiej, omówiliśmy niemiecko-polski układ z 1970 r. Udało mi się — dzięki pomocy attaché kulturalnego Ambasady Polskiej w Wiedniu — wzbogacić nasz program. Gościliśmy już wiele osób z Polski. W dniu 8 kwietnia 1970 r. skrzypaczka Opery Warszawskiej, p. Iwona Wawrzyniewicz, wygłosiła odczyt o Chopinie, którym uczciliśmy 160 rocznicę jego urodzin. Dalszym wydarzeniem był odczyt p. dr. Haliny Donath z Warszawy, żony kierownika Towarzystwa Polsko-Austriackiego, na temat „Sławne Polki”. Na ten wieczór, który po raz pierwszy został obszernie zapowiedziany przez prasę salzburską, przybyło 23 osoby. Nowy rekord frekwencji — 26 osób został ustanowiony 12 lutego 1971 r. w czasie spotka-

nia z Michałem Rusinkiem, sekretarzem polskiego PEN-Clubu. Rusinek mówił na temat: „Polska literatura w kraju i za granicą”. Wyowiedzi jego zostały w radio i w prasie oższernie skomentowane. Od następnego spotkania zainaugurowaliśmy nowy rozdział naszej działalności — organizowanie imprez wspólnie z innymi instytucjami i organizacjami, dzięki czemu mogliśmy rozszerzyć zasięg naszej działalności i pozyskać więcej osób. 17 marca 1971 r., przyjechał do nas, na zaproszenie Austriacko-Polskiego Towarzystwa w Salzburgu oraz Instytutu Muzykologii, polski kompozytor Bargielski z odczytem o współczesnej muzyce polskiej od Lutosławskiego do Góreckiego. Fragmenty tej muzyki odtworzył nam z taśmy. To spotkanie odbyło się w domu, w którym urodził się Mozart. Niejeden z 30 uczestników słuchając muzyki współczesnej, na pewno zadał sobie pytanie, co powiedziałaby na to Mozart? Odczyt Bargielskiego wywarł niezapomniane wrażenie, a dyskusje z nim związane jeszcze po dziś dzień nie ustały. Cokolwiek byśmy sądzili o współczesnej muzyce, nie można przejść obok niej obojętnie. Bargielski wyraźnie i chyba słusznie zaznaczył, że Polacy niepodzielnie przodują w muzyce współczesnej.

Nasze plany na przyszłość: z końcem maja odwiedził nas poseł na Sejm, dr Jan Frankowski, który wygłosił odczyt na temat „Polska-Watykan”, 15 czerwca odbyło się spotkanie z historykiem sztuki, dr. Janem Białostockim, który wygłosił w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu w Salzburgu odczyt o twórczości Wita Stwosza. Może uda nam się jeszcze w tym sezonie zorganizować wieczór z wyświetleniem przezroczy filmowych o Gdańsku, Sopocie i Gdyni i prelekcję p. Alfonsa Wysokiego, po czym nastąpi 2-miesięczna przerwa wakacyjna. Jesienią rozpoczniemy pracę z nowymi siłami.

Nasi przyjaciele rekrutują się ze wszystkich kręgów ludności. Mamy w naszym kole rencistów i dyrektorów, studentów i robotników, Austriaków i Polaków. Jedynym warunkiem uczestniczenia w naszych spotkaniach jest zainteresowanie Polską i jej bogatym, lecz niestety jeszcze bardzo mało nam znanym życiem duchowym. Nasz Oddział Salzburski Towarzystwa Austriacko-Polskiego — mimo krótkiego jeszcze żywota — stał się już trwałym elementem życia kulturalnego miasta. Byłbym niezmiernie ucieszony, gdyby na terenie Trójmiasta znalazła się dostatecznie duża grupa osób interesujących się kulturą austriacką, która zorganizowałaby na Wybrzeżu Oddział Towarzystwa Polsko-Austriackiego. (Tłum. Maria Malicka).

Mikulicz na podstawie bogatych, aczkolwiek niepełnych, źródeł archiwalnych przedstawia genezę i program prometeizmu polskiego, problem ukraiński, akcję prometejską w stosunku do innych narodowości, organizację prometeizmu w Polsce oraz międzynarodowy aspekt planów federacyjnych i prometeizmu. Książka niewątpliwie ciekawa, rzucająca trochę nowego światła na politykę obozu belwederskiego.

HENRYK SYSKA: *Mazurski generał*. Pojezierze, Olsztyn 1971, s. 140, cena 28 zł.

Na książkę składają się szkice poświęcone wybitnym działaczom mazurskim, bojomnikom o polskość. Syska, autor wielu książek opiewających bohaterstwo Kurpiów i Mazurów, tym razem kreśli biografię Hugona Barkego, Bogumiła Labusza, Bogumiła Linki, Karola Neumana, Fryderyka Mirosława Leyka. Prosty styl, emocjonalne zaangażowanie się w opisywane wydarzenia i erudycja sprawiają, że książkę czyta się z przyjemnością.

JÓZEF MILEWSKI: *Jan z Jani. Wojewoda pomorski 1454—1461*. Starogard Gdański 1971, s. 36.

Popularna książeczka (druk powielany), której autor snuje opowieść o wybitnym przywódcy antykrzyżackiego ruchu powstańczego na Pomorzu w okresie wojny trzynastoletniej, wojewodzie pomorskim Janie z Jani.

KWARTALNIK HISTORYCZNY. Instytut Polskiej Akademii Nauk. R. LXXXVIII, 1971, nr 1, s. 266; nr 2, s. 269—524. Cena numeru 30 zł. Redaktor: Bogusław Leśnodorski. Pierwszy tegoroczny numer cennego czasopisma historycznego otwiera artykuł Tadeusza Gruzickiego „Zagadnienie podziałów dynastycznych w Polsce do schyłku XI wieku”. Z innych publikacji na uwagę zasługują artykuły Romana Wapińskiego „Najnowsze badania nad nurtami politycznymi w Polsce w XX wieku” (uwagi o stanie badań, postulaty). W drugim numerze

zwracamy uwagę na artykuł Krystyny Kersten „Historyk — twórca źródeł” oraz na materiały z dyskusji w redakcji na temat obrazu Polski w historiografii obcej. Na ten temat wypowiadają się m.in. Aleksander Gieysztor, Jerzy Kłoczowski, Janusz Tazbir, Karol Górski, Stanisław Salmonowicz, Andrzej Wyczański, Czesław Madałczyk. W dziale *Przegląd badań* Zbigniew Wójcik opublikował artykuł „Problematyka dziejów powszechnych i obcych XVI—XVII wieku w historiografii polskiej (Stan badań i postulaty badawcze)”. W numerach jest oczywiście wiele innych wartościowych publikacji.

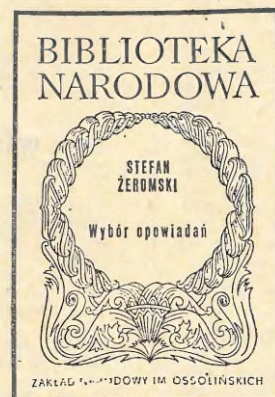
PRZEGLĄD HISTORYCZNY wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie. T. LXII, 1971, z. 1, s. 176, cena 25 zł. Redaktor: Stefan Kieniewicz.

W zeszycie umieszczono nekrolog prof. Tadeusza Manteuffla — wybitnego człowieka i historyka, zmarłego w ub. roku. Nekrolog skreślił Stefan Kieniewicz. Z innych publikacji zwracamy uwagę na artykuł Jerzego W. Borejszy „W stulecie wojny francusko-niemieckiej i Komuny Paryskiej”, Władysława Zawiejskiego „Prowokacja partyzanta Schilla w Gdańsku w 1809 r.” i Stefana Krzysztofa Kuczyńskiego „Projekt godła państwowego z 1831 r.”.

STEFAN ZEROMSKI: *Wybór opowiadań*. Opracował Artur Hutniakiewicz. Biblioteka Narodowa, seria I, nr 203. Zakład Naukowy im. Ossolińskich, Wrocław 1971, s. CXXXII + 516 + 1 tabl. ilustr., cena 45 zł.

Obszerny krytyczny wstęp Artura Hutniakiewicza, nota bibliograficzna i 15 opowiadań, w tym mniej znane. Obok np. „Siłaczki”, „Doktora Piotra”, „Zmierzczu”, „Ech leśnych” umieszczono „Do swego Boga”, „Mogile”, „Pavancello” i in-

ne opowiadania znakomitego pisarza. Bardzo staranna redakcja.



PRZEGLĄD ZACHODNI. Dwumiesięcznik. Instytut Zachodni w Poznaniu. 1971, nr 1, s. 278, cena 30 zł. Redaktor: Antoni Władysław Walczak.

W numerze Józef Konieczny pisze o „Obliczu politycznym radia i telewizji zachodnoniemieckiej”, Frank Wagner o „Stosunkach polsko-niemieckich w literaturze NRD”, a Bernard Piotrowski omawia „Skandynawski okres działalności politycznej Willy Brandta (1939—1946)”. Na szczególną uwagę zasługują publikacja Antoniego Czubińskiego „Socjaldemokratyczna analiza stosunków niemiecko-polskich w latach 1933—1939”. Autor omawia i publikuje pełne odpisy dwóch dokumentów hitlerowskich, z których jeden poświęcony jest analizie procesu historycznej Wolnego Miasta Gdańska, drugi przedstawia krótką analizę stosunków niemiecko-polskich w latach 1933—1938. Są to dokumenty niezwykle interesujące i cenne nie tylko dla badaczy. Opublikowane one zostały w oryginalnej wersji językowej.

NAUKA POLSKA Dwumiesięcznik. Polska Akademia Nauk. Warszawa 1971, nr 2, s. 204, cena 30 zł. Redaktor: Janusz Groszkowski.

Jerzy Topolski i Andrzej Wycański przedstawiają „Badania historyczne w Polsce w latach 1945—1970”. Przedstawiają i zarazem dokonują skrótovej analizy stanu nauki historycznej, jej organizacji, rejoniacji, przemian w założeniach metodologicznych, rozwoju środowiska badaczy, rezultatów badań itp. Osobno omówiono prace syntetyczne, monograficzne (dot. różnych okresów dziejowych) i poświęcone historii powszechnej. Artykuł daje przejrzysty obraz rozwoju badań historycznych w Polsce. (T.B.)

Książki nadesłane

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX”

Antoni Gołubiew, Bolesław Chrobry (6 tomów, cena 320). Trzecie wydanie wielkiego cyklu powieściowego.

Jerzy Piechowski, Rzym płonie (s. 242, cena 28). Powieść.

Zbysław Górecki, Pierwsza księga moich przygód (s. 159, cena 18). Powieść.

Zbysław Górecki, Delta powraca na ziemię (s. 130, cena 12). Powieść.

Teresa Bojarska, Cierniowa mitra (s. 327, cena 32). Powieść biograficzna o ks. biskupie M. Kozalu, sufraganie wrocławskim, zamordowanym w Dachau.

C. A. van Peursen, Antropologia filozoficzna (s. 213, cena 25). Pracę tłumaczył — T. Mieszkowski i T. Zembruski.

Graham Green, Podróż z moją ciotką (s. 255, cena 35). Powieść.



TEATR „A” PWSP GDANSK: „WĘZEL” — REALIZACJA ZE-
SPOŁOWA

(FOT. A. POLAKOWSKI)

WIOSNY TEATRALNE

Komisja Kultury ZSP i Klub Studentów Wybrzeża „Żak” zorganizowały przegląd gdańskich teatrów studenckich. Przegląd pt. „Studencka Wiosna Teatralna 71” odbył się w dniach 10-13 V 71 r.

Nazwa imprezy sugerować może, że tę jedynie i tę tylko porę roku studenci uznają, bowiem wcześniej trochę, bo w dniach 29 IV — 2 V 71 r. odbyła się w Lublinie VI Studencka Wiosna Teatralna. Bezpośrednia strona organizacyjna festiwalu — jak napisano w biuletynie prasowym — spoczywała w rękach zespołu Akademickiego Teatru UMCS „Gong 2”. Automatycznie więc niejako dyrektor Teatru „Gong 2”, Andrzej Rozhin (znany gdańskim widzom reżyser „Kartoteki”) był również dyrektorem biura organizacyjnego. Przypadkiem (lub nie) na przedostatniej stronie tegoż biuletynu, zawierającego wyżej wspomniane informacje, znajduje się napis treści następującej: „Co szef to balon!”. Odważni w tym Lublinie...

Natomiast uznanie jury, pod przewodnictwem Marka Okopińskiego, zyskał spektakl Teatru „Gong 2” pt. „Každy” (scenariusz: Andrzej Rozhin, reżyseria: Andrzej Rozhin, realizacja: Andrzej Rozhin, Leon Barański, scenografia: Leon i Elżbieta Barańscy). Premiera „Każdego” odbyła się w czasie trwania festiwalu 29 kwietnia 1971 r. Tak piszą o tym spektaklu jego twórcy:

„Každy” to własne tłumaczenie moralitetu „Everyman”. Przyjęcie tego tytułu dla całego widowiska jest prawdopodobnie bez znaczenia, chociaż tekst „Everymana” stanowi ramę kompozycyjną całości. Scenariusz oparto wyłącznie na starych XVI i XVII-wiecznych tekstach. Włączono obszernie fragmenty dialogu satyrycznego „Nedza z Bidą z Polski idą”, fragmenty dramatów rybałtowskich, m. in. „Komedii rybałtowska nowa 1615”, „Tragedia Żebracza z 1552 roku”, „Kazania sejmowe” Piotra Skargi, „Satyrę” Krzysztofa Opalińskiego, fragmenty „Odprowy posłów greckich” Jana Kochanowskiego, stare pieśni religijne.

Widowisko „Každy” jest kontynuacją linii repertuarowej teatru prezentującej współczesnemu widzowi stare teksty polskie. Poprzednią próbą była realizacja neomisterium z 1647 roku „Dialog na Święto Narodzenia Chrystusa Pana”.

„Každy” został nagrodzony wielką nagrodą VI Studenckiej Wiosny Teatralnej. Nagrodę tę ex aequo dostał Teatr 77 z Łodzi za „Spisek” i „Homage a Apollinaire”.

Miło odnotować, że gdański Teatr „A” znalazł się również w gronie laureatów festiwalu, zdobywając nagrodę rektora KUL za opracowanie muzyczne spektaklu „Węzeł”.

Lista nagród jest zresztą długa. Znajduje się na niej: Teatr „Nawias” (Wrocław) — nagroda rektora Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Teatr „Pleonazmus” (Kraków) — nagroda Wydziału Kultury WRN w Lublinie. Nagrody indywidualne za debiuty dramatyczne zyskali: Zdzisław Hejduk za „Spisek” i Antoni Szosek za pomysł scenariusza do spektaklu „Koncert”.

(EHM)

CZERWONA RÓŻA

Doroczny plebiscyt czytelników o nagrodę „Czerwonej róży” — organizowany przez GTPS i WDK — przyniósł rozstrzygnięcia, satysfakcjonujące autorów Wybrzeża. W dziale literatury społeczno-politycznej laureatem został Jerzy Afanasjew (książka „Okno Zbyszka Cybulskiego”, nagrodzona wcześniej orderem „Stańczyka”), w dziale beletrystyki natomiast Stanisław Fleśzarow-Muskat (książka „Milionerzy”).

Nagrody — w postaci statuetek i żywych czerwonych róż — wręczał dyrektor WDK, Andrzej Cybulski, w obecności licznie zgromadzonych przedstawicieli środowisk kulturalnych Trójmiasta. (m.m.)

TEOLOGIA WOJŚŁAWA BRYDAKA

Tej ostatniej wieczery nie ma, jest tylko to, czym mogą się częstować w ostatnią noc kapelan i skazaniec. Pierwszy mówi o szczególności życia wiecznego, drugi o życiu nie-wiecznym, którego nie oddałby za żadne szczęśliwości zagrobowe. „Niechże książd zamiennie się ze mną — zdaje się mówić skazaniec. — Skoro tamto drugie życie jest tak piękne i godne pożądania, chętnie ustąpię księdzu pierwszeństwa”.

Figura retoryczna nie jest specjalnie odkrywcza, a cała krótka sztuka Wojśława Brydaka „Ostatnia wieczera”, pokazana w końcu maja w gdańskim klubie ZMS „Rudy Kot”, przypomina dziecięce przekomarzenia, które w szesnastym roku życia nazywają się... aż!... „dyskusją światopoglądową”. Interesująca jest jednak sytuacja psychologiczna: oczywiście taki skazaniec, chwytający się jak wiadomo każdej deski ratunku, zapewne uczerpi się i tej absurdalnej myśli (nadziei?), że może jednak książd zechce...

Jako materialista nie jestem teologiem i w ogóle dziwię się, o czym to mi przyszło

rozprawiać, a jednak muszę wytknąć autorowi i tę usterkę: otóż ów książd, jeśli by tylko chciał pozostawać na gruncie swojej religii, nie może zgodzić się na rozwiązanie, proponowane przez więźnia. I nic tu nie będą miały do rzeczy strach czy konformizm: książd nie może, bo on swoim życiem nie rozporządza...

Reżyserował autor — co przyjęliśmy z radością — a aktorzy Andrzej Piszczatowski (skazaniec) i Florian Staniewski (kapelan) dzielnie prowadzili dialog aż do ostatniej kropki, postawionej przez Wojśława Brydaka.

(m.m.)

JERZY KWIATEK

W Trójmieście przebywał Kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, Jerzy Kwiatek. W dniu 29 maja spotkał się on z pracownikami aparatu propagandy komitetów partyjnych, a w godzinach popołudniowych z przedstawicielami środowisk artystycznych i działaczami kultury. Przedmiotem żywej rozmowy, która odbywała się w klubie pracowników kinematografii „Helikon”, były problemy rozwoju kultury w najbliższym 4-leciu. W czasie spotkania odbyła się również uroczystość wręczenia plebiscytowych nagród „Czerwonej róży” dla autorów najbardziej poczytnych książek, o czym informujemy osobno.

W spotkaniu i uroczystości uczestniczyli także sekretarz KW PZPR w Gdańsku, T. Fiszbach oraz wiceprzew. PWRN, Łukasz Balcer. (m.m.)

STAŃCZYK

Przed podniesieniem kurtyny w 2 części „Ulissesa” w Teatrze „Wybrzeże” (3. VI. br.) redaktor naczelny „Liter”, Edgar Milewski, wręczył order Stańczyka reżyserowi przedstawienia, Zygmuntowi Hübnerowi, przyznany przez naszą redakcję za wybitne osiągnięcie artystyczne w pracy nad realizacją sztuki Joyce’a — Słomczyńskiego. Zgromadzona publiczność przyjęła Z. Hübnera — w latach 1958-60 kierownika artystycznego Teatru „Wybrzeże” — oklaskami.

(m.m.)

DOC. WAPIŃSKI O PZZ

Na majowym spotkaniu dyskusyjnym z cyklu „Współczesna kultura Pomorza” (organizatorem jest Oddział Miejski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku) o Polskim Związku Zachodnim mówił doc. dr hab. Roman Wapiński, dyrektor Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego. Jego wprowadzenie do tematu było niezwykle interesujące, o czym świadczyła m. in. dyskusja, w której uczestniczyli: dr K. Ciechanowski, doc. dr M. Pelczar, dr M. Borowikowa, dr S. Potocki, L. Bądkowski, A. Arendt i inni. (b)

MEDALE ETK

5 czerwca w kawiarni „Uśmiech” w Elbląskim Domu Kultury odbyła się uroczystość wręczenia Medalu Elbląskiego Towarzystwa Kulturalnego. Medale te przyznawane są za zasługi w krzewieniu kultury, za osiągnięcia twórcze i organizacyjne służące rozwojowi kulturalnemu i naukowemu środowiska elbląskiego.

Tegorocznymi laureatami Medalu ETK są: prof. dr Marian Biskup z Torunia, doc. dr hab. Stanisław Gierszewski z Gdańska, Włodzisław Sak z Tczewa, Gerard Kwiatkowski, Mirosław Demichowicz, Stanisław Barański z Elbląga, Amatorski Klub Filmowy „Jantar” z Elbląga, Muzeum Narodowe i Filharmonia Narodowa z War-

szawy, Teatr im. S. Jaracza z Olsztyna i Olsztyńska Pantomima Gluchych. (b)

IX TORUŃSKI MAJ POETYCKI

W dniach 8-9 maja 1971 r. odbywał się w Toruniu IX już z kolei Toruński Maj Poetycki. Organizatorzy tak piszą o założeniach imprezy:

„...przypomnijmy tych, którym najwięcej zawdzięcza literatura polska XX wieku, spojrzmy raz jeszcze w twarz tym, którzy mieli odwagę walczyć o nowego człowieka i nową sztukę w imię wiary, że «artysta, który narzuca nowe piękno, narzuca nową przyszłość». Takim artystą był zmarły dwa lata temu Tadeusz Peiper. W maju tego roku mija 80 rocznica urodzin autora «Nowych ust» — zapytajmy się siebie w jakim stopniu poezja i koncepcje artystyczne T. Peipera oddziałują na naszą literaturę, czy jest to dzieło, które powinno być nam, młodym poetom i krytykom, dziś jeszcze szczególnie bliskie, spojrzmy na poematy i marzenia autora «Tędy» naszymi oczami, zapytajmy ile naszych doświadczeń odnajdziemy u Wielkiego Poprzednika. A może jego dzieło należy pozostawić już tylko historykom literatury, może jest ono nam obojętne? Miejsny odwagę udzielić na te pytania odpowiedzi.”

Dwutygodniowy program majowego poetyckiego obejmował poza referatami i dyskusjami także spektakle Teatru Peipera — „Kronikę dnia” i „Dancing” (obydwa te spektakle były już omawiane na łamach „Liter”), 9 maja odbyła się w Klubie „Azy!” premiera nowego spektaklu Teatru Peipera pt. „Nowe usta”. Wykonnawcą był, jak zwykle Lech Gwit, aktor Teatru „Baj Pomorski” w Toruniu. Ostatni spektakl Teatru Peipera ukazuje — duża w tym zasługa wykonawcy — Peipera jako twórcę, teoretyka, a także — odbiegającą daleko od normy przeciętności — osobowość pełną urazów i obsesji.

(EHM)

KOMANDORIUM NECLA

Papież Paweł VI przyznał kaszubskiemu pisarzowi z Władysławowa, Augustynowi Neclowi, Komandorium Orderu Św. Grzegorza, należące do najwyższych odznaczeń państwowych. Necl otrzymał ten order m. in. za książkę „Nie rzucim ziemi...”, wydaną przez wydawnictwo „Novum” w 1969 roku. Uroczystego wręczenia orderu dokonał ordynariusz diecezji chełmińskiej, ks. biskup dr Kazimierz Kowalski, we władysławowskim kościele. (b)

LITERATURA NA ŚWIECIE

W maju ukazał się pierwszy numer nowego miesięcznika zatytułowanego „Literatura na świecie”. Redaktorem jest znany dramaturg, prozaik i uczonej polonista Wacław Kubacki.

Zgodnie z tytułem — pismo powinno informować o problemach literatury na świecie i prezentować nowości z tej dziedziny. Niestety, pierwszy numer nie spełnia zapowiedzi: jest to raczej pismo tłumaczy, które — jak się zdaje — więcej uwagi poświęca problematyce przekładu literackiego, niż samej literaturze na świecie. Tymczasem „A” duże nie jest tym samym, co „A” średnie, choć granicznie znaki są podobne: sądzimy, że bardziej potrzebne jest nam pismo, poświęcone literaturze światowej, niż pismo problemowo-zawodowe tłumaczy. Aby jednak uniknąć nieporozumień dodajemy zaraz, że tłumaczy cenimy i kochamy, że bez ich udziału

nie wyobrażamy sobie nie istniejącego jeszcze pisma „Literatura na świecie”.

Nowy miesięcznik, który ukazał się w 15-tysięcznym nakładzie, wyróżnia się wygórowaną ceną: za egzemplarz płacimy 20 złotych. (m.m.)

TEATR ZIEMI GDAŃSKIEJ

W siedzibie Teatru Ziemi Gdańskiej w dn. 7 maja 71 r. odbyła się dyskusja nt. dotychczasowej działalności tej placówki i jej planów repertuarowych na bieżący sezon. Głos w dyskusji zabrali m. in. goście z terenu — ich opinie były szczególnie cenne — kierownik Wydziału Kultury w Malborku, Arkadiusz Binebesel i kierownik Wydziału Kultury w Starogardzie, Roman Miszewski.

Odnotać należy cenną inicjatywę teatru zrealizowania sztuki poświęconej Mikolajowi Kopernikowi. (EHM)

JAKUB PENSON

20 kwietnia zmarł w Warszawie prof. dr med. Jakub Penson — uczonej i klinicznie niezwykle zasłużony dla nauki polskiej.

Prof. Jakub Penson urodził się w 1899 roku w Płocku. Studia medyczne ukończył na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego, następnie pracował w szpitalach warszawskich, zajmując się jednocześnie badaniami naukowymi. Po wojnie habilitował



się na Uniwersytecie Łódzkim, w 1949 roku został profesorem gdańskim Akademii Medycznej i kierownikiem Kliniki Chorób Wewnętrznych. W Gdańsku przepracował 22 lata, przez wiele lat był prorektorem i rektorem Akademii Medycznej, organizatorem pierwszego w Polsce północnej ośrodka leczenia sztucznej nerką i tym, który wprowadził nowoczesną aparaturę kardiologiczną. Był autorem 75 prac naukowych, habilitował 6 docentów i 22 osoby doktoryzował. Był jednym z najlepszych w Polsce znawców chorób nerek i nadciśnienia.

Zmarły Profesor posiadał wysokie odznaczenia państwowe, m. in. Order „Sztandaru Pracy”, Krzyż Komandorski i Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Był też członkiem honorowym wielu krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych. (t)

ADAM BARTOSZEWSKI

10 maja zmarł nagle red. Adam Bartoszewski — kierownik działu terenowego redakcji „Dziennika Bałtyckiego”, członek Zarządu Oddziału Morskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Red. Bartoszewski rozpoczął karierę dziennikarską w redakcji „Głosu Wybrzeża” (1955), następnie pracował w „Wieczornym Wybrzeżu”, a ostatnie cztery lata w „Dzienniku Bałtyckim”, uprawiając m. in. publicystykę społeczną. Zmarły odznaczony był Brązowym Krzyżem Zasługi i Medalem za Wolność. (t)

FIŃSKA UCZONA



W dniu 7 maja z inicjatywy Zarządu Kola Uniwersyteckiego Polskiego Towarzystwa Historycznego odbyło się w Instytucie Historii UG spotkanie, na które przybyła p. Maria Vasala z Uniwersytetu w Turku (Finlandia). P. Vasala zapoznała obecnych z programem studiów historycznych w Finlandii oraz przedstawiła zwięzłe główne problemy badawcze historyków fińskich. W czasie swego pobytu w Gdańsku, związanego z poszukiwaniami archiwalnymi, fińska uczona wygłosiła na zaproszenie Gdańskiego Towarzystwa Naukowego referat: „Gdański handel solny w XV wieku”. P. Maria Vasala pracuje pod kierunkiem znanego w Polsce historyka fińskiego — profesora Oihlo Nittmaa — kierownika Katedry Historii Powszechnej Sredniowiecza w Turku. (ed.)

PROF. K. GÓRSKI

W dniu 22 kwietnia br. na zaproszenie Gdańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego przybył do Gdańska prof. dr Karol Górski z Uniwersytetu M. Kopernika i wygłosił wykład „Geografia historyczna mórz na przykładzie Bałtyku”. Interesujące tezy zawarte w nowatorskim temacie referatu wzbudziły długą dyskusję, w której m.in. wypowiedzieli się: doc. dr habil. Stanisław Mielczarski, doc. dr habil. Stanisław Gierszewski, mgr T. Biernat i inni.

Po dyskusji nastąpiło wręczenie zasłużonemu uczonemu medalu pamiątkowego wybitego dla uczczenia 25-lecia Wyżolenia Gdańska, przyznawanego przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdańsku. (ed.)

WYDAWNICTWA MUZEUM WEJHEROWSKIEGO

Pod przewodnictwem kierownika Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, mgra Pawła Labudy, odbyła się w Wejherowie robocza narada poświęcona wspólnemu omówieniu planu wydawniczego na lata 1971–1975. W naradzie, oprócz pracowników muzeum, uczestniczyli m.in. wiceprzewodniczący Rady Naukowej muzeum i prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Jerzy Kiedrowski, kierownik Wydziału Kultury Prez. PRN Mieczysław Baran, kierownik wejherowskiej drukarni Wiesław Pater oraz członkowie prezydium ZG ZK-P i redaktor wydawnictw tej organizacji, Wojciech Kiedrowski. Paweł Labuda poinformował, że muzeum wydało dotąd 5 pozycji (dwie prace M. Barana i po jednej R. Kukiera, F. Mamuszkii, T. Bolidana) w łącznym nakładzie

7.500 egzemplarzy. Wydawnictwa te, w niektórych przypadkach bardzo skromne, wydane zostały wspólnie z Gdańskim Towarzystwem Przyjaciół Sztuki, Zarządem Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Handlu i Społdzielczości, Kaszubskim Okręgiem Śpiewaczym i oddziałem miejskim Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku. W bieżącym roku ukaże się zbiór felietonów A. Labudy, wybór poezji L. Heykego, zbiór pieśni o morzu M. Barana (dwie pierwsze pozycje wspólnie z oddziałem miejskim ZK-P w Gdańsku) oraz informator muzeum wejherowskiego. W następnych latach przewiduje się wydanie monografii Piaśnicy (największe miejsce zbrodni hitlerowskiej na Pomorzu) B. Bojarskiej, monografii powiatu wejherowskiego (praca zbiorowa), „Problemów regionalnej literatury kaszubskiej w latach 1920–1939” J. Drzeżdżona i ewentualnie Kubińskiego monografii drukarni Cystersów w Oliwie. Rozważa się również wydanie poematu L. Heykego „Dobrość i Miłość” oraz Wisława III „Pieśni i inne utwory”. Niektóre pozycje zostaną zlecone prawdopodobnie Wydawnictwu Morskiemu i innym wydawnictwom.

Wiele ciekawych tematów znajduje się w opracowaniu. Przypuszczam, że znajdą się one w planie wydawniczym, który zostanie przedstawiony do rozpatrzenia i zatwierdzenia Radzie Naukowej. I tak Paweł Labuda przygotowuje biografię Mściwoja II i Grzymisława, Barbara Jagalska opracowuje monografię powojennego czasopisma literackiego „Wiatr od Morza”, Mieczysław Baran przygotowuje śpiewnik kaszubski i monografię pt. „Muzyka w działalności towarzystw społeczno-kulturalnych Wejherowa w latach powojennych”, Edmund Kamiński zamierza opracować historię wejherowskiej poligrafii.

Na naradzie przedyskutowano też plan pierwszego zeszytu informatora muzeum, który ukaże się drukiem pod koniec bieżącego roku. Zgodnie stwierdzono, że celowe jest wydawanie prac objętościowo niewielkich, zarówno naukowych jak i popularnych. (b)

MEDYCINA W OBOZACH HITLEROWSKICH

W sali im. Rydygiera gdańskiej Akademii Medycznej odbyła się 22 maja sesja naukowa poświęcona problematyce medycyny w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, zorganizowana przez Studium Nauk Politycznych AM w Gdańsku i Muzeum Stutthof, pod patronatem Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa.

Podczas sesji wygłoszono siedem referatów: „Eksterminacja ludności Pomorza Gdańskiego w latach 1939–1945” (prof. dr D. Steyer), „Selekcja więźniów obozów koncentracyjnych w problematyce przedawiania zbrodni hitlerowskiej” (doc. dr K. Daszkiewicz); dr med. S. Sterkiewicz mówił o moralności więźniów obozów koncentracyjnych i o chorobie głodowej w tych obozach; dr M. Kluska przedstawił sytuację więźniów chorych w Stutthofie w l. 1939–1945, mgr M. Gliński omówił miejsce szpitala w systemie organizacyjnym Stutthofu, lek. med. B. Waluk — warunki życia więźniów w Policach koło Szczecina, a mgr St. Mikulski omówił „Historyczne i organizacyjne aspekty organizacji medycyny i służby zdrowia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych”. Jeszcze przed sesją wydrukowano referaty w zawar-

tym tomie, stanowiącym cenny materiał do upowszechnienia wyników sesji.

W czasie sesji dyrektor Muzeum Stutthof, mgr T. Matysiak, wręczył rektorowi Akademii Medycznej, prof. drowi Marianowi Górskiemu Medal Pamięci Narodowej, przyznany uczelni przez Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. (b)

NAGRODY REMUSA

Wejherowski Oddział Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki przyznał tegoroczne nagrody „Remusa” za osiągnięcia w twórczej pracy i w upowszechnianiu kultury nst. osobom oraz instytucjom: Andrzejowi Świętiewiczowi za całokształt osiągnięć w dziedzinie rzeźby; Franciszkowi Formelli za aktywną działalność w ruchu śpiewaczym; Teatrowi Ziemi Gdańskiej za osiągnięcia w propagowaniu sztuki teatralnej, a szczególnie za podjęcie systematycznych przedsięwzięć we wsi Linia; Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Linii za podejmowanie różnorodnych inicjatyw w zakresie upowszechniania kultury; kinu „Świt” w Wejherowie za szczególne osiągnięcia w popularyzacji filmu; zespołowi realizatorów filmu „Kaszëbé” (nagrodę wręczono w czasie uroczystej premiery w Wejherowie). Wręczenie nagród odbyło się 9 czerwca. (b)

TERESA LASSOTA

Rolę Pulcherii w reżyserowanym przez Jerzego Kreczmara „Domu otwartym” Bałuckiego (Teatr „Wybrzeże”) objęła w czerwcu Teresa Lassota. Nie jest w naszym zwyczaju odnotowywanie tego rodzaju zmian w obsadach sztuk, tym razem czynimy jednak wyjątek ze względu na dobry rezultat artystyczny nagłego zastępstwa.

W praktyce teatralnej tego rodzaju zastępstwa nie należą do rzadkości. Zdarza się jednak, że na skutek nagłej choroby kolegi — aktor czy aktorka obejmują poważną, wymagającą wysiłku i doskonałego opanowania pamięciowego rolę na kilka godzin przed podniesieniem kurtyny. Tak było przed kilku laty w „Skapcu” Moliera reż. K. Brauna, kiedy Tadeusz Borowski w kilka godzin zastąpił Zenona Burzyńskiego, tak było w „Smaku miodu” Dejaney reż. K. Swinarskiego, gdzie Stanisław Michalski zastąpił Lecha Grzmocińskiego. (m.m.)

BIOGRAFIE POMORSKIE

Staraniem Komitetu Redakcyjnego wydawnictwa „Pomorze Gdańskie”, 31 maja odbyło się w Instytucie Historii Uniwersytetu Gdańskiego spotkanie naukowców poświęcone przedyskutowaniu inicjatywy zredagowania tomików biograficznych ludzi Pomorza. Tomiki te mają się ukazywać w serii „Pomorze Gdańskie”, wydawanej przez Gdańskie Towarzystwo Naukowe. Spotkaniu przewodniczył redaktor serii „Pomorze Gdańskie”, doc. dr hab. Stanisław Gierszewski, który na wstępie zapoznał zebranych z projektem tomików biograficznych, pomyślanych jako „rozszerzony słownik biograficzny”.

Słownik ma zawierać biografie osób historycznych pochodzących z Pomorza, lub związanych z nim swoim życiem i pracą. W każdym tomiku o objętości nie przekraczającej 10 arkuszy wydawniczych przewiduje się umieszczenie ponad 30 rozszerzonych biografii.

W ujętym dyskusji, prowadzonej przez dr. Zenona Ciesielskiego, uczestniczyli m.

in. doc. dr Z. Binerowski, prof. dr A. Bukowski, mgr J. Borzyszkowski, dr K. Ciechanowski, doc. dr B. Cygler, prof. dr K. Kubik i doc. dr K. Trzebiatowski. Było sporo wątpliwości, dotyczyły one m.in. kryteriów, jakimi winna się kierować redakcja przy kwalifikowaniu sylwetek, układu (chronologiczny, czy alfabetyczny) i zasadniczej chyba kwestii: pełny słownik biograficzny, czy wybór? A więc uwzględniający wszystkich zasłużonych dla Pomorza, czy tylko tych najwybitniejszych? Opinie były podzielone, sądzimy jednak, że wybór zbyt mocno wyselekcjonowany nie byłby dobry, że obracanie się wciąż wokół tych samych nazwisk może się okazać po prostu nudne. Zgodzamy się z

prof. A. Bukowskim, że ci pozornie najbardziej znani Pomoranie w rzeczywistości są społeczeństwu prawie nieznanymi, albo nawet znanymi tylko z nazwiska. Ale tym razem nadarza się po prostu okazja, żeby przedstawić społeczeństwu, w zarysie oczywiście, biografie większego grona ludzi, którym zawdzięczamy ciągłość tradycji i współczesny kształt Pomorza. I chyba tej szansy nie powinniśmy zmarnować. Zresztą dyskusje na ten temat jeszcze potrwoją, przede wszystkim w samej redakcji, która ostatecznie zdecyduje, jakie tomiki biograficzne otrzymamy. A będą to tomiki popularyzatorskie, dostępne dla każdego. (b)

Płacz i zgrzytanie

ŁADNE MI DUPE RELE

I

Pan Andrzej Malinowski twierdzi, że moja świadomość wzrosła „najbardziej intensywnie” w latach 1961–63. Jednakże pan Andrzej Malinowski myli się, ponieważ moja świadomość „najbardziej intensywnie” rozwijała się od Trzech Króli 1965 do Święta Leśnika i Drzewiarza 1966 roku.

„Okresem najbardziej intensywnego rozwoju świadomości — pisze pan Andrzej Malinowski w swej pracy zamieszczonej w wydanej ostatnio książce „GDANSKIE” — wśród ludności miejscowej, głównie Kaszubów, były lata 1961–63”. Jeżeli nie traktować tego zdania jako klinicznego okazu pryncypialnego bełkotu, to wypada stwierdzić, że jest to propaganda toporna, koślawia, wynikająca z kompleksu utożsamiania. Pan Malinowski — jak się wydaje — reprezentant „ludności zamieszczonej” utożsamia się w pewnym momencie z solą i pieprzem tej ziemi, Gallupem i amboną. Jest to oczywiście przypadek z pogranicza psychologii i czarnej magii, albo prościej — ze zjawiska zwanego wróżeniem z fusów lub wmawianiem dziecka w brzuch. Można jeszcze z zupełnie innego punktu, spojrzeć na zdanko, które uleciało ptaszkiem, a wraca wołem. Można mianowicie zapytać, komu to pan Malinowski chciał się podmasłać i zacząć mówić o przemysle chemicznym, czyli o wazelinie. Ale to już zupełnie inna historia.

Jak widać trzeba czasami mówić truizmy, czyli prawdy oczywiste. Jedną z tych prawd brzmi, że świadomość nie wzrasta z piątku na sobotę („lata 1961–63”), lecz jest procesem długotrwałym, mozolnym i trudnym. Powinni o tym pamiętać „głównie” autorzy laurek.

II

Cieszymy się wszyscy z dodatkowej pracy załóg, pracy przynoszącej namacalne korzyści. Często w gazetach można znaleźć wiadomości pod hasłem: „dodatkowa praca marynarzy przysparza dewiz”.

Oto jedna z nich, której przyjrzyjmy się bliżej: M/s „Toruń” wyszedł o dwie doby wcześniej z Recife dzięki własnoręcznemu zabezpieczeniu i zamocowaniu przez marynarzy 324 ton sardynek i 38 ton chemikaliów. Oszczędność z tego tytułu wynosi 2.800 dolarów”.

W niedoinwestowanym porcie gdyńskim, dwóch „dziadków” czyli dokerów o — jak to pięknie nazywają spece — niepełnej sprawności, tę chwalebna pracę wykonałoby w ciągu 8 godzin za 112 złotych na łebka. W tym czasie zdążyliby wypalić paczkę „Sportów” i dwa razy skoczyć na piwo do „Fregaty”. Zakładam przy tym najgorsze, że chemikalnia były żrące i cuchnące, a sardynki sztautowane w tak zwany komin, aby mogły w ładowni tańczyć niedźwiedzie.

Może po prostu dzielni marynarze mocowali ładunek na kominie. Być może, choć tej metody nie pochwała prof. Kunert, autor „Sztutowania ładunków okrętowych”.

III

Na Przymorzu wyrósł piętrowy gmach „Domu Socjalnego w Ogródku Jordanowskim”. Siedzą w nim drухowie nad dokumentami państwowej wagi. Tuż obok kilkadziesiąt dzieci gnieździ się w przedszkolu TPD zrobionym ze zwykłego mieszkanka. Na Przymorzu straszy gmaszysko administracyjne ośrodka sportowego; wśród rżących lamp wroble sposobą się do olimpiady. W nowych pawilonach otrzymały locum wytwórnia siatki ogrodzeniowej, biura spółdzielni kominiarskiej, warsztat wytwórni skomplikowanych wchajstrów elektrycznych. Na Przymorzu nikt nie czego nie ogradza, nie ma kominów, nikt nie potrzebuje skomplikowanych wchajstrów elektrycznych. Z Przymorza po puszkę farby emulsyjnej trzeba jechać do Wrzeszcza, po śrubkę do Sopotu, po zdrowy rozsądek do Gdańska.

Na Przymorzu obrodziły salono-swieclice. Jest gdzie pogadać jak zbawic ojczyznę, tylko chętnych do gadania coraz mniej. Bowiem, w tej dzielnicy zrozumiano, że od samego mieszkanka herbaty nie staje się słodka. Znam parę osób, które przepracowały społecznie dwieście i więcej godzin na rzecz swojej dzielnicy, choć ich inicjatywa nie poczęła się w salono-swieclicach.

O co mi chodzi? Chodzi mi o to, aby zanim wydamy społeczną złotówkę na salono-swieclicę, na biurowiec miłych drухów, na stadion treningowy dla ptaszków, obrócić ją trzeba w ręku pięć razy, jak własną.

Wbrew pozorom nie jest to problem z cyklu: myć ręce, czy nogi?

MAREK GRAD



HADRIAN Z GZYMŚÓW

Jak wynika z informacji w programie, „Hadrian z Gzysów”, komedia Wacława Klemensa Klicperę, grana była już w 1953 roku w Teatrze Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, a w 1956 roku w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Bydgoszczy. Ostatnio zobaczyliśmy ją 20 IV 1971 roku w wykonaniu Teatru Ziemi Gdańskiej. Mamy więc do czynienia z potrójną omyłką. Nie ujmując wcale Wacławowi Klemensowi Klicperze zasług dla odnowy języka czeskiego i rozwoju czeskiej dramaturgii, należało się jednak zastanowić nad zasadnością grania (a raczej celebrowania) jego dzieła w Polsce, w Teatrze Ziemi Gdańskiej. Zostawmy Czechom ich zabytki. Mamy swoje. Lepsze.

Dla kronikarskiej ścisłości odnotować należy (tym bardziej, że prasa codzienna przemilcza działalność tego teatru), że przedstawienie reżyserowała Maria Chodecka, autorką monografii jest Ewa Nahlik, w roli tytułowej zobaczyliśmy Andrzeja Wrone.

(EHM)

W SIENI GDAŃSKIEJ

Dwie interesujące wystawy plastyczne zaprezentowano nam w kwietniu w galerii „Sien Gdańska”. Pierwsza z nich nosiła tytuł „Kolo” i była ekspozycją zbiorową: dziesięciu malarzy, grafików i rzeźbiarzy wystawiło tam swe prace, których wspólną cechą była forma kola. Ten dość niecodzienny zestaw prac plastycznych przyniósł kilka bardzo ciekawych, udanych dzieł, choć niestety nie wszyscy spośród wystawców przyłożyli równie dużo uwagi do kompozycji kołowej — niektóre z obrazów równie dobrze mogłyby mieć formę np. pięciokąta, czy tradycyjnego prostokąta, co kola. Za najciekawsze uważam prace Andrzeja Markowskiego, Jana Góry, Macieja Dziedzica, Adama Harasa.

W drugiej połowie kwietnia wystawił w tej galerii swe prace malarskie autor z Wrocławia, Józef Hałas. Była to

sztuka dostępna widom nieco bardziej wyrobionym; spora ilość zwiedzających wzruszała ramionami że „takie coś” jest malarstwem. Jest to jednak na pewno malarstwo i to na wysokim poziomie. Sztuka wysublimowana intelektualnie, kokietująca pozorami prostotą posunięta aż do perwersji, o ogromnej sprawności technicznej. Może jedynym zarzutem, jaki można by tu postawić (choć nie wiem, czy to na pewno minus) jest pewien kosmopolityzm tego rodzaju malarstwa. Najbliższe wydają się tu być pokrewieństwa ze sztuką hispańską, ale tego typu znaki plastyczne odbiera równie dobrze Japończyk jak Norweg czy Brazylijczyk i podobny nurt istnieje współcześnie w sztuce różnych narodów. Być może minął już bezpowrotnie okres szkół narodowych w sztuce? Jeżeli tak, to jednak szkoda.

(mk)

MARYNISTYKA INACZEJ

W galerii „Grand Hotelu” wystawiał swe prace olejne o tematyce marynistycznej Andrzej Trzaska. Wystawa ta jest o tyle godna odnotowania, że była próbą — i to w pełni udaną — odejścia od tradycyjnych schematów malarstwa marynistycznego, mocno już dzisiaj zwietrzałych i „opatrzonych”. Trzaska, być może dzięki temu że sam sporo pływał, potrafi patrzeć na morze inaczej. Nie rezygnując z realizmu, sugestywności nastroju, fascynacji potęgą żywiołu, zmienności charakteru morza w zależności od pogody — a więc z tego, co zawsze, z większym lub mniejszym powodzeniem starali się nam przekazać malarze-maryniści — potrafił to wszystko zanotować na płótnie środkiem w pełni współczesnymi, czysto malarskimi, nie uciekając się do pomocy romantyzmu i literatury. Morze, niebo, statki to dla niego plamy barwne, bryły i linie czasami niemal abstrakcyjne, a jednak w sumie bardzo prawdziwe.

Wystawa udowodniła, że temat marynistyczny może być w pełni współczesny, ciekawy, że wiele jeszcze można

w tej dziedzinie powiedzieć nowego i chyba warto, aby malarze częściej się nim interesowali, niż dotychczas.

(mk)

OBRAZY JANUSZA ROŻYCKIEGO

W Teatrze „Wybrzeże” na Targu Węglowym eksponowana była wystawa malarstwa Janusza Rożyckiego. Autor znany szerszemu ogółowi raczej jako szermierz jest przecież przede wszystkim absolwentem Wydziału Architektury Wnętrz warszawskiej ASP i utalentowanym malarzem.

Ekspozycja w teatrze była pokazem bardzo jednolitym. Prace Rożyckiego najogólniej biorąc można zaliczyć do abstrakcji, choć dość wyraźnie widać, że są to w bardzo silnym stopniu przetworzone motywy pejzażowe. Żywa, czasem jaskrawa kolorystyka i nerwowa, nieco secesyjna linia wywołują wrażenie niepokoju, napięcia i powodują, że prace te pełne są dynamiki. Płynne, żywe formy Rożyckiego są bardzo materialne i mięsiste. Dość często autor kontrastuje je z gładką płaszczyzną bieli czy jasnej, cienko położonej barwy, przez co nabierają w jeszcze większym stopniu materialności, charakteru trójwymiarowej bryły.

Ciekawe, że w obecnej dobie całkowitej wydawałoby się integracji kulturalnej ciągle zachowują się pewne odrębności ośrodków twórczych naszej plastyki. Patrząc na obrazy Rożyckiego widzi się na pierwszy rzut oka, że jest to malarstwo „warszawskie”, że nie powstało w Gdańsku, tak jest inne — choć „inność” ta jest trudna do uchwycenia i wyraźnego określenia.

(mk)

TRUD KASZUBÓW

W „Tygodniku Kulturalnym” (1971, nr 21) Stefan Włoszczewski opublikował bardzo ciekawy artykuł pt. „Pionierski trud Kaszubów” (Z dziejów Polonii amerykańskiej). Autor stwierdza na wstępie, że „...najpierw z Polski ruszyli do Ameryki Kaszubi”, potem dopiero ludzie z innych regionów. Kaszubi byli więc pionierami osadnictwa polskiego za oceanem, co zresztą Włoszczewski uzasadnia licznymi przykładami.

(b)

WYDAWNICTWA POLITECHNIKI I GTN

Ukazały się kolejne Zeszyty Naukowe Politechniki Gdańskiej, poświęcone XXV-leciu tej zasłużonej uczelni. W 20 numerze „Chemii” o XXV-leciu Wydziału Chemicznego, jego strukturze i organizacji piszą Ignacy Adamczewski i Jan Dobrowolski; w 26 numerze „Elektryki” ten sam temat omawia Piotr Ciechanowicz. Poza tym publikacje specjalistyczne.

Gdańskie Towarzystwo Naukowe wydało III i IV zeszyty XV tomu „Acta Biologica et Medica” oraz „Rozprawy Wydziału III Nauk Matematyczno-Przyrodniczych” (z. 7). Są to wydawnictwa specjalistyczne.

(b)



Pocztynion Literacki

M.R. Ross (ps.) — Gdańsk-Wrzeszcz

Mam kilka pytań: Jaka idea skakała przez litery i, d, a? Jak kleks robi kleks skacząc, unikając jednak poezji narodowej? Dlaczego oparł pan drzewo figowe przy modelce? (Gdzie w Polsce można nabyć drzewo figowe, to już pytanie z dziedziny zaopatrzenia.) Pytań wiele, wiersz mało. W ogóle wiersze malutkie.

Andrzej D. — Gdańsk-Wrzeszcz
Zbyt to proste, by mogło poruszyć sercem, czy nawet wyobraźnię czytelnika: drewniany ptaszek tęsknie spoglądał na szare wróble... W innym wierszu (o konformizmie) problem został sprowadzony do „roju egocentryków napelniających swe brzuchy, piodących dzieci...” Wszyscy jakoś bierzemy udział w napelnianiu brzuchów, a Pan żyje pewnie poezją?

Jan P. K. — Bytom
Wykaz pism, w których Pan „zawierzył” do druku swoje wiersze, rzeczywiście imponujący. Ale po pierwsze — my w tym spisie nie figurujemy i po drugie — nie sądzę, byśmy w najbliższej przyszłości w nim figurować mieli.

MUZEUUM SZUKI DALEKIEGO WSCHODU

Mieszczące się w kamienicy „Pod Gwiazdą” w Toruniu Muzeum Sztuki Dalekiego Wschodu liczy sobie już rok; otwarcie nastąpiło bowiem w maju ubiegłego roku. Muzeum cieszy się zasłużonym zainteresowaniem zwiedzających — „monotematyczny” charakter zbiorów sprawia, że ta, tak odległa od naszych tradycji sztuka, wciąga nas w orbitę swego przyciągania. A uśmiech bogini Kwan-yia — choć tak różny — jest równie tajemniczy, jak uśmiech Giocandy. Chętnie ulegamy nastrojowi wnętrza, nie nuży nas nadmiar, podziwiamy sztukę umiejętnie ekspozycji, która tu w pełni doszła do głosu. Większa część zbiorów jest darem dla muzeum, dla społeczeństwa, dla nas właśnie — historia sztuki z Warszawy, Tadeusza Wierzejskiego. Miło, że pracownicy muzeum podzielała entuzjazm zwiedzających. Po prostu bardzo swoje muzeum lubią. Dyżurnie panie nie omieszkają opowiedzieć, że kamienica „Pod Gwiazdą” ma 600 lat, była własnością Kallimacha, ażurowa jak korona

Zutawiak — Nowy Dwór Gdański

Zarzuca Pan naszą redakcję wierszami, co dobrze świadczy o Pańskiej pracowitości i dobrej komitetywie z Panią Muzyką, lecz co musi Pana narażać na nasze milczenie. Po prostu nie jesteśmy w stanie tak często te wiersze omawiać. A poza tym, niech Pan sam dokona przed wysyłką selekcji. Będzie tego trochę mniej, ale jakoś na tym zyska. Pozdrawiamy.

Krystyna F. — Jantar, pow. Nowy Dwór Gd.

Wiersze są rzeczywiście szalone. Czytałem je z wypiekami na twarzy, ale sądzę, że jestem po prostu przewrażliwiony. I ostatnio coś źle sympiam. Może się zakochałem do szaleństwa? A co najgorsze — żadna korzyść dla mnie. Nie napisałem wiersza. Ani jednego!

Jan G. — Malbork

Prośbę złożoną na papierze bezdrzewnym musimy niestety oddalić z przyczyn od nas niezależnych. Ani „otwieranie okna”, ani „krajobraz z pierwszym deszczem”, ani „na przedwieśniu” — nie są dobrymi łącznikami do tego podania.

Adam B. — Szczecinek

Bardzo jestem Panu wdzięczny za chwilę szczerego zawartą w ostatnim zdaniu. Nasze poglądy na nadesłaną „poezję” leżą rzeczywiście na antypodach. Mówiąc poważnie, trzeba Panu radzić większego opanowania osobistych emocji, które przejawiają się w „nadużywaniu imienia Boga nadaremno”. Nawet wiersze katolickie trzeba traktować i rozpatrywać poważnie, również w kategoriach artystycznych.

(abf)

metalowa klatka schodowa pochodzi z drugiej połowy XIX wieku, drewniana — ma 300 lat i zrobiona jest z jednego pnia dębu. Wystawa grafiki jest zmienna...

Warto więc, bawiąc w Toruniu wejść do kamienicy „Pod Gwiazdą”.

(EHM)

WYSTAWY W TORUNIU

Wśród ciekawych wystaw, jakie można było zwiedzać w maju w Toruniu, przeważały wystawy o tematyce kopernikańskiej. Zainteresowani, poza Domem Kopernika, mogli zwiedzić w Muzeum Okręgowym wystawę pt. „Tematyka kopernikańska w medalierstwie i numizmatyce; Kopernik, jego idea (grafika)”, czy też w Galerii i Ośrodku Plastycznej Twórczości Dziecka wystawę pt. „Kopernik naszej wyobraźni”.

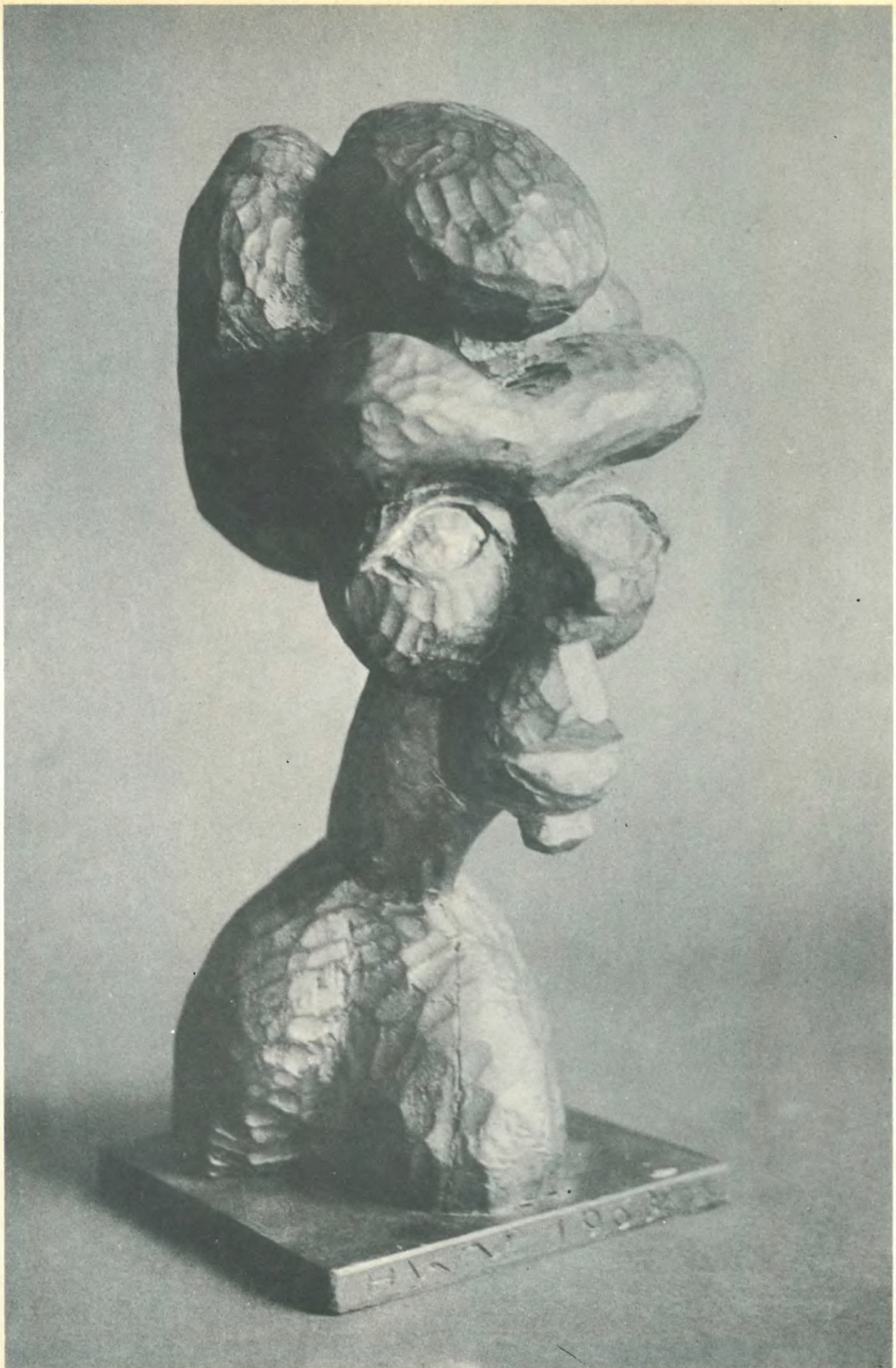
Prócz tego w Ratuszu czynna była wystawa „Kobieta w sztuce”, a 8 V 71 r. w Klubie Związków Twórczych „Azy!” otwarto poświęconą Tadeuszowi Peiperowi wystawę obejmującą listy, dokumenty, projekty kostiumów do „Szóstej, szóstej!”

(EHM)

REDAGUJE ZESPÓŁ: EDGAR MILEWSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ BOLDUAN (zastępca red. naczelnego, sekretariat, dział nauki), BOLESŁAW FAC (poezja), STANISŁAWA FLESZAROWA-MUSKAT (proza), MICHAŁ MI-SIŃSKI (dział krytyki), EWA MOSKALÓWNA (publicysta), STANISŁAW PESTKA (dział społeczno-kulturalny), RYSZARD STRYJCZAK (dział graficzny), TADEUSZ WOŹNIAK (publicysta).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Gdańsk, Targ Drzewny 3/7. telefon 31-18-25. Warunki prenumeraty: kwartalnie, zł 15. półrocznie zł 30, rocznie zł 60. Zamówienia indywidualne przyjmują placówki pocztowe oraz listonosze do 10 każdego miesiąca na następny okres prenumeraty. Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” i urzędy pocztowe. NIE ZAMÓWIWANYCH REKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA.

Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. 2033. — F-1. WYDAWCA: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa”.



HEIKKI W. VIROLAINEN — PORTRET PENTTI SAARIKOSKI (1963)



CHRISTIANSØ – FRAGMENT PORTU, WIEŻA FORTECZNA Z LATARNIA MORSKĄ I DAWNY DOM
KOMENDANTA WYSPY

(FOT. H. SCHMIDT)